

Anira Wojan

Innowierca

PROLOG

Bar na szóstym piętrze hotelu „Inglaterra” miał urok kolonialnego azylu. Gdyby nie zużyta tapicerka foteli i bezczelne twarze kelnerów zbijających tu fortuny na handlu twardą walutą, można by sądzić, że jest rok czterdziesty trzeci, najdalej siódmy, i nikt nie słyszał jeszcze o Fidelu. Od południa powietrze nawet nie drgnęło. Zwykle o tej porze roku bryzy, smagające lekkim prysznicem stały łąd, cichły, a Santiago de Cuba szykowało się do tropikalnych deszczów.

Chmara małych ptaszków, nie większych od europejskiego wróbla, opadała co i raz tęczową wstęgą na balustradę, obryzgując łądem stolik zarezerwowany dla gości z pokoju pięćset trzy.

– Una mierda! – ryknął na całe gardło stary Guillermo. On jeden mógł sobie na to pozwolić. Tego wieczora, podobnie jak przez ostatnich dwadzieścia osiem lat, to on rządził tarasem „Inglaterra”. A przecież nawet tak ustawiony agent aparatu bezpieczeństwa, przez kelnerów i sprzątaczkę nazywany Senior Primero, nigdy nie zdołał doprosić się o zamontowanie kawałka siatki, choćby nad samym barem. Cholerny burdel – pomyślał na widok pary z pokoju pięćset trzy. – Niech im nasrają do talerza!

Skinął jednak na młodego kelnera, uprzejmie wabiąc pana i panią Perez Diaz uśmiechem pełnym imponujących, białych zębów.

– Jak zwykle pod parasolem? – zagadnął albinos, chłopak z wypomadowaną kępą zupełnie jasnych włosów, jakie na Karaibach widuje się niezmiernie rzadko.

– Nie, usiadzimy z widokiem na calle. – Pan Perez Diaz sprawiał wrażenie wyluzowanego faceta. – Muszę popatrzeć na dziewczyny. Moja jest wyłączona.... – mrugnął porozumiewawczo do kelnera za plecami swojej żony, Catherine.

Tego wieczora Pani Perez Diaz była piękniejsza od innych kobiet. Złota kaskada lśniących włosów spływała na obnażone plecy, parząc oczy tubylców nielicznych jeszcze gości. Prawdziwy tłum schodził dopiero po dziewiątej i wtedy cały hotel zaczynał się upajać rumem nocy... Kto przy zdrowych zmysłach siedziałby w dusznym pokoju z wyjącą klimatyzacją?

– Prawdziwy skarb – pomyślał z satysfakcją Perez Diaz, obserwując zza ciemnych szkieł spojrzenia kelnerów pożerające wystawny biust kobiety, która od niedawna była jego żoną. – Do tego jesteś mi potrzebna, francesca...

Rozejrzał się po tarasie. Trzy stoliki zajęte przez gringos, a raczej cojones, jak nazywał holenderskich dziennikarzy, których widywał tu przez ostatnie dni, a z boku zupełnie nowa twarz człowieka z Azji.

– Podobny do indigeno – zdziwił się Perez Diaz. Sam był Metysem. Królem Kolumbii i obywatelem świata.

– Dawno nie byłem w tak podłym miejscu, Cachorro – westchnęła Francuzka Catherine Jacob, jego żona.

– Wiesz, że ci to wynagrodzę... – ze śmiechem skinął na kelnera. – Szampana para la senora!

Przez następne półtorej godziny państwo Perez Diaz bawili się dosyć dobrze. Tuż po dziesiątej Cachorro niespodziewanie zostawił żonę samą i zniknął na trzy kwadransy. Catherine chętnie wdała się w drinki przy barze, który o tej porze był już mocno oblegany przez hotelowych gości. Człowieka z Azji wśród nich nie było. Pół godziny wcześniej pan Lee Fu wrócił do pokoju, który zajmował w najgorszym skrzydle budynku, na pierwszym piętrze, bez okna, z wylotem na ponurą i pozbawioną światła studzienkę wentylacji.

Perez Diaz spodziewał się zastać drzwi otwarte. Takie szczegóły ustalono kilka tygodni wcześniej w Miami, gdy sekta nawiązała kontakt z kokainowym baronem, don Pedro Navarro vel Chico, jednym z najmocniejszych ludzi pracujących dla Cachorro. Zgodził się na spotkanie, mimo odrazy. Nie miał zaufania do tych, co dużo mówią. A już ci z Gorącego Słońca! Jednak musiał przyznać, że właśnie to stanowiło o ich sile. Blisko sto milionów wyznawców na całym świecie, armia nie do pokonania. – Cachorro miał nadzieję, że człowiek z Azji okaże się tym, kogo od wielu miesięcy szukał.

Zależało mu na tym, żeby go spotkać. Właśnie jego. Przyjął do wiadomości „scenariusz kubański”, choć w duchu planował odwet za trzy spędzone na wyspie dni, gdy czekał na pojawienie się Azjaty. Nie miał w zwyczaju przyjmować cudzych reguł. Tym razem zrobił wyjątek, coś więcej niż wyjątek... to był kredyt, krótki i drogi, jak wszystkie.

Pchnął drzwi – jeżeli ustąpią, znaczy że Santiago z bratem są już w środku i zabezpieczają teren. Los perros stali po dwóch stronach niewielkiego pokoju, w znużeniu obserwując Azjatę, który zastygł pomiędzy nimi w pokracznej pozycji startującej do lotu czapli. Chińczyk nie zwracał uwagi na towarzystwo obcistych białych polo, lecz widok Cachorro natychmiast przekształcił węzeł jego ciała w głęboki ukłon powitalny. Uśmiechnął się wciąż nie podchodząc. Sięgnął po pilota i włączył ekran telewizora. Lokalna stacja nadawała zabawny czeski film z lat siedemdziesiątych. Z satysfakcją podciągnął głośność do granicy niezrozumiałego bełkotu, a sam zwrócił się

do Kolumbijczyka bulgocząc jak zatkana kanalizacja:

– Bienvenido Senior Perez Diaz. Es un honor de veros hoy dia. El Sol es Caliente. – Cachorro już nie lubił tego faceta. Azjata wskazywał teraz z uśmiechem fotel przystawiony tuż do ryczącego telewizora. Sam usiadł obok, na ratanowym krześle. Santiago z bratem nawet nie drgnęli, jakby ich obecność była tylko optycznym złudzeniem. Główne przykazanie ochrony: patrzeć i nie być widzianym.

Po chwili milczenia Lee Fu sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, skąd wyjął złożoną we czworo kartkę cienkiego, luksusowego papieru. Perez Diaz bez słowa rzucił okiem na coś, co przypominało rysunek czarnym tuszem na półprzezroczystej kalce. W rzeczywistości był to schemat struktury Gorącego Słońca w bazach wojskowych na półkuli północnej. Cachorro zrozumiał to dopiero, gdy Chińczyk zakreślił palcem w powietrzu koło i wskazując na plan kilkakrotnie powtórzył:

– El Sol Caliente, el Sol Caliente, el Sol Caliente.....

Perez Diaz pokiwał głową:

– Esta bien, don Lee, esta bien...

Nie silił się na komentarze. Był uprzedzony, że Azjata zna zaledwie kilka zdań po latynosku.

– Senior Perez Diaz – odezwał się w końcu człowiek z Azji – usted problema? Policia internacional? Interpol? Europa? Asia? America? El Sol Caliente no problema... El Sol Caliente toda informacion, todo servicio... Senior Perez Diaz mucho negocio con El Sol Caliente.

– Alemania?

– Puede ser...

– Rosia?

– Si, puede ser todo el mundo, senior Diaz.

– Vale. Que sea... Polonia. Cuando?

Twarz Azjaty zastygła na dłuższą chwilę, jakby nie chodziło o wysiłek umysłu, lecz o kontemplację dzieła sztuki.

– D o s m e s e s, – powiedział w końcu – dos meses algo especial. Espectaculo para senior.

Perez Diaz obdarzył go szerokim uśmiechem bulteriera. W ciągu jednej sekundy mógł Chińczyka wydmuchać jak żabę.

– Me gustan los espectaculos, don Lee. Hasta pronto, entonces.

– Gracias, senior Perez Diaz...

* * *

ROZDZIAŁ I

Tego dnia kawa wydawała się lepsza niż zwykle. Joan przymknęła powieki wspominając słodki zapach Montrealu. W głębi serca usłyszała echo ostatnich słów Pierre'a:

– Don't go there. I tell you: „War Saw” to Wojenna Piła.

Wtedy, sześć miesięcy wcześniej, nie posłuchała przestrogi Pierre'a. Stała na górnym pokładzie w tłumie tysiąca innych pasażerów ostatniego rejsu „St. Ferdurke”, którzy, jak ona, zapragnęli ujrzeć Europę. Jechała do Warszawy odnaleźć kamienicę na ulicy Złotej, suterenę, w której urodził się ojciec, wszystko co znała z opowiadań „doktora”. Jeszcze w szpitalu, gdzie w końcu sam leżał chory na białaczkę, Joan nigdy nie mówiła papa, pere, czy jak chciała matka dear father, zawsze „doktor”.

Tymczasem zamiast domu pod numerem piątym od dwóch lat stał wieżowiec Hyatta. Zaraz po przyjeździe Joan poszła tam na kawę. Wstuchując się w beztroski gwar młodych prawników opartych o wypolerowane blaty zrozumiała, że czeka ją w tym mieście samotny los nauczycielki angielskiego.

Po przeciwnej stronie ulicy mężczyzna w ochrowym kapeluszu wszedł do budki telefonicznej. Przez krótką chwilę trudno było mieć pewność, ale mignął znajomy profil

– Stefan?

Mężczyzna szybko odwiesił słuchawkę, czy się nie dodzwonił – zaraz wybiegł. Nie wiedzieć czemu wyszła mu na spotkanie.

Z Nowego Świata wpadł wprost w jej objęcia.

– Stefan ?!

– Taaak...? – Joan miała wrażenie, że podskoczył na dźwięk swojego imienia.

– O, Joan! Nie wierzę własnym oczom!

Znali się jeszcze z końca lat osiemdziesiątych, kiedy Joan opuściła po raz pierwszy centralne rewiry Montrealu uciekając z ekipą kilkunastu obserwatorów Amnesty International, najpierw samolotem do Hamburga, a stamtąd statkiem na Bałtyk, w porządną zimę, tak ostrą jak w Kanadzie. W tetrowych plecakach z rzeczami osobistymi zawieźli do Gdańska dwadzieścia kilogramów czekolady i pięć małych maszyn do pisania „Olympus”. Ich lokalny przewodnik, socjolog Stefan Rozmus zrewanżował się maszynopisem, gdzie po francusku opisano prawie pięćdziesiąt przypadków ludzi, których trudne położenie chciano ujawnić po tak zwanej „dobrej” stronie. Po trzech dniach oszołomienia ciężkim zapachem strajkujących robotników, specjalnym rejsiem Air France wrócili na tę „dobrą” stronę, gdzie nikt niczym nie chciał się zajmować. Ani Jean Poireau, który był szefem chyba setki dziennikarzy na co dzień zajmujących się represjami we wszystkich stronach świata, ani kanadyjscy tajniacy, do których poszli zaraz po powrocie, ani

związki, do których wystali obszerny raport. Teraz, kilkanaście lat później, Joan zaczynała w końcu rozumieć dlaczego tak się działo. Świat nigdy nie był dobrze urządzony.

Ze Stefanem widzieliśmy się jeszcze kilka razy w tych latach, zawsze w Paryżu, na uniwersytecie, gdzie przez dwa sezony tłumaczyłam na francuski polskiego Norwida (połączenie smutne, nic się nie zmieniło, na moich oczach grzebali go tłumnie). W tym czasie Rozmus z powodzeniem wykładał najnowsze dzieje robotniczego podziemia, co podobało się studentom, którzy z braku podobizny Wałęsy robili solidarnościowe zbiórki do puszek z podobizną Fidela.

Ucieszyłam się na jego widok. Łysa czaszka, okulary, wzrok słowiańskiego inteligenta. Poza nim nigdy takiego egzemplarza nie spotkałam.

Powiedziałam, jak przykro jest mi widzieć go w ostatniej chwili, tuż przed wyjazdem z Polski, ale jemu wyraźnie to nie przeszkadzało. Poprosił o drobną przysługę.

Umówiliśmy się po południu w szkole Bristola, gdzie odbębniałam ostatnie godziny kursu angielskiego dla pracowników ministerstwa rolnictwa.

Stefan przyniósł niewielkich rozmiarów plastikowe pudełko w niedomkniętej szarej kopercie. Napis „blues harp” był błękitny, co pamiętam z powodu następującej rozmowy:

– Dziękuję, że jak zwykle c o ś dla mnie w i e z i e s z, ale, sama rozumiesz, nie chcę jej wysłać przez obce ręce... to pamiątka. Popatrz jaki błękitny napis – dziś już takich nie tłoczą. Pięćdziesiąty trzeci rok. Seria „The King”.

– Jestem ci wdzięczna, że to nie saksofon.

Niejaki Jean Traffaluc, właściciel harmonijki, miał ją ode mnie odebrać za dwa dni, prosto z lotniska de Gaulle'a.

Rozmus poszedł, a przede mną otwierał się wieczór zgagi i melancholii. Poprzedniego dnia Pierre wydusił w końcu ze mnie to wyznanie, że wracam przez Paryż. Domyślał się, że planuję wyjazd do Petersburga z Marianne, która miała tam poprowadzić schronisko dla dzieci ulicy. Wszyscy wolontariusze Médecins Sans Frontières przy tym projekcie musieli mieć parafkę Ambasady Rosyjskiej w Paryżu. Niemcy, Czesi, Hiszpanie, Amerykanie i Kanadyjczycy – wszyscy szli przez Paryż.

Pierwszy raz od dziesięciu lat znajomości, która pochłonęła co najmniej dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów kanadyjskich na rozmowy telefoniczne, Pierre nie wytrzymał i odłożył słuchawkę.

W podróży nie ma nic bardziej praktycznego od torby fotograficznej. Joan

miała taką torbę. W trzech głębokich kieszeniach leżały trzy półlitrowki koczowniczej wódki, jakie zamierzała ofiarować przyjacielom „doktora” po powrocie z Warszawy.

– Upić się czy dać sobie spokój? – dylemat.

Zamiast tego z wewnętrznej przegrody wyciągnęła kopertę. W środku niebieskiego pudełka leżała harmonijka w stroju D Hohnera. Był to dobrze wystuszony instrument.

Poszła do łazienki i przepuściła silny strumień wody przez wysuszone wnętrza membrany. Znała ten patent od dziecka. Przez całe lata na podobnym instrumencie nieznanemu bluesowi kombinacje dźwięków grał „doktor” przywołując wspomnienie pewnego pociągu. Nawiasem mówiąc był to pociąg do Treblinka.

– Wir suchen einen Doktor? Ist hier irgendwo ein Arzt?

Słyszając to Cichowski, przyjaciel „doktora” zaczął walić nieodłączną harmonijką w deski bydlęcego wagonu:

– Ja, ja! Hier ist einer der besten Ärzte! Wenn nicht der Beste!!!

Chwilę później, „doktor” stał na peronie oglądając złamaną nogę niemieckiego żołnierza. Transport poszedł dalej. Bez Chałata. Bez harmonijki. I tak dalej.

Coś wygłuszało niskie tony. Od razu miałam wrażenie, jakby kanały między membranami były zatkane. To się zdarza harmonijkom, oczywiście. Jeszcze raz podstawiałam ją pod strumień wody. Dalej nie grała. Byłam pewna, że to paproch. Coś, co wpadło do środka i utknęło między

blaszkami. Rozkręcać czy dać sobie spokój? Najpierw pożegnalna wódka. Po dwóch pierwszych setkach postanowiłam ratować się rosyjską szkołą zakąszania. W mieszkaniu nie było do jedzenia nic prócz lodów z wieczoru pożegnalnego, jaki urządzili tu moi uczniowie, na co dzień dwunastu podstarzałych urzędników, w większości z żonami. Zostawili po sobie prawie sto pustych butelek od piwa i dwa kartony lodów.

Czubkiem kuchennego noża odkręciłam bez trudu dwie małe śruby. Były całkiem poluzowane. Wyjęłam nagwintowane tulejki i rozchyliłam pokrywy instrumentu. Widok wnętrza był dość zaskakujący, lecz jeszcze przez dłuższą chwilę usiłowałam znaleźć wytłumaczenie dla czegoś, co z powodzeniem można było wziąć za jego d u s z ę. Był to kawałek plastiku najwyżej trzech cali długości, nadrukowany numerami serii oraz informacjami: „Complies Canada”, co mnie zadziwiło i „Made in Japan”, co wydawało się o wiele bardziej na miejscu. Pomyślałam, że zamontowano tu przystawkę akustyczną, jakiś japoński patent dla miłośników harmonijek. Do głowy mi nie

przyszło, że ktoś mógłby w takie miejsce wetknąć kartę japońskiego cyber-shota Sony. Dokładnie 2 giga pamięci.

– Koniec wódki. Zen kucu dacji – zobaczyłam wyświetloną w głowie twarz nauczyciela ze szkoły ju-jitsu – Pozycja obronna i atakująca, Joan.

* * *

ROZDZIAŁ II

Biały citroen Berlingo stał od godziny pod rozłożystym kasztanem, skąd roztaczał się widok na mikroskopijny park dolinki szwajcarskiej. Dwóch mężczyzn, których sylwetki ledwie majaczyły w mroku, zapalało raz po raz papierosy. Uważny obserwator mógł dostrzec jarzące się bez ustanku czerwone ogniki. Była godzina jedenasta. O tej porze życie miasta zamierało na dobre.

Ostatni samotni spacerowicze z psami zniknęli z pola widzenia pasażerów citroena. Tamci odczekali jeszcze kwadrans, po czym bez pośpiechu wysiedli z samochodu i w milczeniu przeszli na drugą stronę ulicy. Ich cel znajdował się na tyłach budynku Ambasady Królestwa, który sam w sobie dobrze był znany przynajmniej jednemu z nich. Temu, który nazywał się Aleksander Siergiejewicz Dunin i w tej właśnie chwili mamrotał pod nosem przetykając co grubsze przekleństwa:

– Durny pies... swotocz.... że też was matiuszka na świat wydała. Takich, jak wy to w feb...i na „czeczeńów”! Pies...

Jego towarzysz, na oko wyższy o głowę i znacznie poważniejszej postury, szedł obok w milczeniu i widać było jak kuli się w cieniu tego drugiego, jak chlaszcze go każde słowo. Jednak nie próbował nic wtrącić do urywanego monologu Dunina. Co i raz rzucał niepewne spojrzenie na błyskające okna kamienic, jakby czegoś szukał w pamięci.

Minęli ochronę Ambasady, nie zwracając uwagi na sennego wartownika odmierzającego monotonnym krokiem chodnik Alei Róż i bez wahania zniknęli w bramie kamienicy pod numerem dwunastym.

– Trzecie piętro – rzucił wystraszonym głosem milczący dotąd człowiek.

Nie przywołali jednak windy, lecz ciemnymi schodami, spokojnie, jak gdyby stąpali po ogonie śpiącego tygrysa, wspięli się na przedostatnie piętro. W końcu stanęli przed drzwiami u wylotu korytarza, wstrzymując oddech. Dunin skinął głową. Jego towarzysz zdecydowanym ruchem trzykrotnie nacisnął dzwonek. Po chwili jeszcze raz powtórzył serię dźwięków – dwa krótkie, jeden długi – i zamarł w oczekiwaniu.

– Kto? – usłyszeli w końcu męski głos zza drzwi.

* To ja, Kola.

Zapadła cisza. Minęło co najmniej pół minuty zanim usłyszeli odgłos otwieranego zamka. Drzwi uchyliły się lekko, a w smudze światła ukazała się tusa głowa z resztką jasnych włosów. Dunin, niezauważony, w bezpiecznym oddaleniu przyknął oczy z wyrazem napięcia na twarzy.

– Czego tu szukasz, człowieku? – stęknął właściciel tysej czaszki.

– Muszę wam skazać...powiedzieć – poprawił się człowiek o imieniu Kola – coś bardzo ważnego. – Bezradnym wzrokiem omiół ciemny korytarz, jakby

chciał dać do zrozumienia, że nie jest to najlepsze miejsce na rozmowę.

Łysy otworzył nieco szerzej drzwi.

– Minuta – warknął nieprzyjemnym głosem, nie pozostawiając wątpliwości co do roli, jaką pełnił w jego życiu niespodziewany gość.

Trzydzieści sekund później drzwi znowu się uchyliły. Tym razem stanął w nich Kola.

– Aleksandrze Siergiejewiczu! Droga wolna.

– Psst, – syknął tamten.

– Co za dureń z niego – pomyślał też kolejny raz tego nieskończenie długiego dnia, który zaczął się o piątej rano waleniem w drzwi apartamentu Dunina. Pijany Kola dobijał się nie na żarty, co raz to klnąc i zawodząc głośnym szlochem.

– A ten czego tu chce? – westchnął Dunin na widok pijanego osiłka, by po chwili walić go na odlew po pysku, jak zwierzę, jak psa. Miał ku temu ważne powody....

Teraz wynurzył się z mroku i bezszelestnie wsunął do mieszkania Łysego. Znalazł go od razu na progu pokoju. Omiótł czujnym spojrzeniem wnętrze i rozkazał:

– Okna!

Kola rzucił się do rozsuniętych stor i szarpnięciem przesłonił widok na ulicę.

– Tak...dobrze, co my tu mamy...? – Dunin pochylił się nad leżącym człowiekiem. Nieco powyżej zegarka odnalazł przyssany do skóry izotermiczny pasek syntetycznego kryształu.

– Mówiłem, pod paskiem!!! – Zmiał przekleństwo w ustach i sprawnym ruchem wyrwał żądło. – Do roboty....

Kola rzucił mu pytające spojrzenie.

– Co oczy wywalasz? Związać, usadzić... tam przy biurku, zakneblować. W y k o n a ć.

Nareszcie Kola mógł udowodnić swoją przydatność. Z ochotą i wprawą uporał się z nowym zadaniem w kilka minut. Był dobrze przygotowany. Wojskowym pasem, który jednym ruchem wyzwolił z własnych spodni, spętał bezwładne ciało i mocno przytwierdził do oparcia wysokiego, biurowego fotela.

– Wykonano. – Zadał głowę ruchem wilka, który zagryzł ofiarę, lecz Dunin nie zwracał na niego uwagi. Z wewnętrznej kieszeni płaszcza wyjmował właśnie podłużny brązowy futerał.

– Milczeć – skarcił swojego psa, nie podnosząc głowy.

W skupieniu przystąpił do przeglądu gąbczastych rynek, gdzie spoczywały oznaczone numerami ampułki, choć już na pierwszy rzut oka różniły się między sobą kolorem i gęstością płynów. Ta, którą wybrał Dunin, miała numer osiem i pozwalała przyspieszyć zwolniony rytm serca w ciągu nie więcej

niż trzynastu sekund.

Zaciągnął płynem żądło izoplastra. Pochylił się nad ciałem pokracznie uwieszonym na oparciu fotela i znalazł całkiem dobre miejsce na karku Łysego.

Nie minęło piętnaście sekund, a bezwładny korpus poruszył się.

– Szczęśliw – powitał go rosyjski głos zza pleców. – Teraz – ciągnął Dunin po polsku z wyraźnym wschodnim akcentem – obudziliśmy się i będziemy... śpiewać.

Łysy próbował unieść znad kolan skrępowaną głowę.

– Spokojnie, spokojnie, zaraz zaczniemy... numer „cztery” – powiedział Dunin sam do siebie i dopiero po drugim zabiegu, tym razem plaster przykleił na wewnętrznej skórze przedramienia zadzierając lekko koszulę, mógł chwilę odpocząć. Nie rzucił nawet okiem na Łysego, jak demiurg, któremu zbędna jest wszelka satysfakcja poza jedyną oczywistą radością tworzenia.

Dunin spojrzął na zegarek i odczekał jeszcze trzy minuty. Kola zszedł mu z pola widzenia, stojąc w bezpiecznej odległości w rogu pokoju, za telewizorem. Dobrze pamiętał ostatnie polecenia z samochodu: niczego nie ruszać, nic nie dotykać. Rozumiał, że sytuacja wymagała nadzwyczajnych środków, a biorąc pod uwagę swoją rolę, jedyne czego pragnął to wrócić szczęśliwie do rodzinnej chaty w pieremieszlańskim powiecie. Na wszelki wypadek jak najciszej oddychać i jak najmocniej bić, gdyby padły rozkazy.

Z ust Łysego skapywały na dywan packi śliny. On również zamarł bez ruchu, choć głośny, rytmiczny oddech świadczył o wyrównanej pracy serca.

– Dla kogo pracujesz?

– Dla Francuzów – odpowiedział natychmiast tamten.

* Co wiesz?

Tym razem Łysy milczał przez chwilę. W końcu pozbawionym emocji głosem udzielił wyjaśnienia:

– Nic nie wiem. Dostałem zlecenie. Miałem przekazać zdjęcia.

– Ile razy?

– Dwa razy.

Dunin z satysfakcją pokiwał głową, jakby słyszał dobrze nastrojony silnik iż.

– Jak to szło dalej?

– Przez kuriera.

– Więcej...

– Kurier Czerwonego Krzyża...

– Ostatnio kiedy?

– Wczoraj miał przewozić nerkę, ale Szwajcarzy odwołali zamówienie...

– Mów.

– Znalazłem jokera.

– Kogo? – zdziwił się Dunin.

– Jokera, wyjście awaryjne... – głos Łysego zaczął się łączyć, z coraz większym trudem opanowywał ślinotok.

Dunin szarpnął go z boku za rękę sprawdzając plaster. Jeszcze raz powtórzył dawkę serum. Odczekał chwilę i dobitnie wysylabizował:

– Czy przesyłka została już dostarczona?

– Jutro w Paryżu.

– Kto?

Łysy mobilizował resztki sił, by nie powiedzieć nic więcej.

Kola bezszelestnie zbliżył się do Dunina. Ten jednak wstrzymał go ruchem ręki. Uważnie spojrzął na zegarek, po czym przeniósł wzrok na tysą czaszkę.

– Łysy – powiedział w końcu. – Ty i ja mamy mało czasu. Trzy minuty. Dokładnie trzy minuty i piętnaście sekund. Kto to jest?

– Kobieta. Joan.

– Joan kto?

– Joan nie ma z tym nic wspólnego.

– Joan kto? Pytam?!

– Joan Chalat.

– Jak ?

–... rejsowy samolot do Paryża....

– A d r e s.

– Wieżowiec przy kinie Atlantic. Jedenaste piętro. Nic więcej nie wiem. Spotkałem ją u Bristola.

– U kogo?

– Szkoła, szkoła Bristola na Placu Trzech Krzyży.

– Palisz?

– Tak.

Na biurku leżała paczka Pall Mall. Dunin skinął na Kołę.

– Przypał.

W czasie gdy ten posłusznie uwijał się nad skuloną głową Łysego, wciskając mu do ust papierosa, Dunin sięgnął po swoje podręczne ambulatorium. Krytycznie przejrzał jego zawartość, poprawił pozycję ampułek tak, by numery stanęły w nienagannym szpalerze, po czym pobrał liquidum numeru „trzeciego”. Zbliżył się do zlanego potem karku i wymamrotał:

– Nawet nie poczujesz, ljubowczik, to lepsze niż currara.

Po chwili ciało Łysego skurczyło się na ułamek sekundy i wszelkie życie w tym człowieku zgasło.

Dunin pokiwał głową.

– Posprzątać.

Gdy półtorej minuty później opuszczali ciche mieszkanie, ciało spoczywało bezładnie na biurku, niedopalek tlił się jeszcze w popielniczce i nic nie wskazywało na to, żeby tego fatalnego wieczoru samotny gospodarz w wieku zawałowym, nadużywający nikotyny i alkoholu pracownik naukowy, pocieszył się u progu życia obecnością jakichkolwiek gości.

* * *

ROZDZIAŁ III

Tuż po dwunastej w południe Joan wjeżdżała na jedenaste piętro wieżowca, który przez ostatnie miesiące nazywała swoim domem.

Dwie godziny wcześniej, punktualnie o dziesiątej dopadła do drzwi centrum technologii Sony, lecz trzeba było determinacji, by wytrzymać nieskończenie długą godzinę, dzielącą ją od otwarcia sklepu.

– Czy pani bardzo zależy, żeby odtworzyć zawartość tego dysku?

– Och, tak, wie pan, to sprawa osobista... – spojrzała mu w oczy z miną cierpiącej kobiety.

Mężczyzna zniknął za matowym szkłem. Po kilku minutach wrócił niosąc w ręku cd-roma.

– To wszystko, co możemy zrobić. Zgrałem to pani w formacie czytelnym dla najprostszego peceta.

Teraz niecierpliwie przekręcała klucz w zamku, który jak zawsze stawiał opór, co od miesięcy było powodem telefonów do Karpia.

Pan Karp był właścicielem co najmniej pięciu apartamentów, jakie szkoła Bristolu dzierżawiła w centrum miasta i nic nie wskazywało na to, by ten zajęty człowiek miał kiedykolwiek głowę skupić się na sprawie tak błażej jak zepsuty zamek.

Następnego dnia rano miałam samolot. Wszystkie sprawy warszawskie były właściwie zamknięte. Na stole zostawiłam jeszcze laptopa.

Spodziewałam się niezwykłego widoku, jednak to, co zobaczyłam wprawiło mnie w osłupienie. Dwanaście zdjęć ekranu komputera, na którym wyświetlono schemat budowy c z e g o ś, co na dobrą sprawę mogło być nawet przekrojem kartofla. Zapisy tego samego ujęcia powtarzały się. Dopiero po pewnym czasie zrozumiałam, że jest to osiem tablic różnej treści, składających się być może na całość.

Zaskoczyły mnie opisy podane nie w alfabecie łacińskim, lecz cyrylicą. Mogłam się tylko domyślać – rosyjski, bułgarski, serbski...? Jako znawca literatury polskiej wypadałam tu raczej słabo.

Pomyślałam, że trzeba zawiadomić Pierre'a. Każdy sejsmolog ociera się w końcu o nauki ścisłe i potrafi z czegoś takiego zrozumieć cokolwiek nawet b e z cyrylicy.

Pierwszego maila wysłałam do Pierre'a kwadrans przed drugą.

Joan siedziała przed ekranem laptopa i czekała na wiadomość od Pierre'a. Stawało się dla niej jasne, że cokolwiek by to nie było, z całą pewnością nie

było to nic legalnego. Jako obywatelka Kanady, nawet tak kontestująca praktyczne znaczenia, miała wysoko wyrobione poczucie szacunku dla prawa. Poza tym, choć Stefan nie wyglądał na mordercę, Joan zaczynała się bać. Myślała o Traffaluc'u, który miał czekać za kilkadziesiąt godzin na lotnisku Charlesa de Gaulle'a. Widziała siebie w wejściu do rękawa, czając się na widok każdego mężczyzny. Biały czy Arab...? Blondyn? Brunet?

– Shiiiiit, – krzyknęła w końcu, zatrzasnąwszy z impetem wieko komputera.

Pierre nie dawał znaku życia. Dochodziła czwarta. Po polsku szesnasta.

Tego dnia wewnętrzna lista dyskusyjna Urzędu Ochrony Państwa świeciła żenującą pustką. Oficerowie UOP, doborowa kadra wywiadowców w strukturze państwa członkowskiego NATO, ludzie nieprzeciętnej inteligencji, mieli sobie zazwyczaj o wiele więcej do powiedzenia niż gruby kawał o sposobach na upartą babę, który od rana krążył po wszystkich skrzynkach mailowych urzędu.

Konrad siedział wyjątkowo w biurze, z trudem zabierając się do mało zajmującej i żmudnej roboty – przejrzania około tysiąca plików na temat diaspory rosyjskiej w Europie, szczególnie Romanowów. Stanowczo wolałby na swoim miejscu posadzić kogoś innego. Nie był typem jajogłowego analityka i jak tylko mógł, uciekał z biura. Tym razem chciał to jednak zrobić osobiście, na prośbę samego Szefa. Nazywali to bronowaniem, gruntownym przygotowaniem gleby, czyli nową filozofią działania Urzędu Ochrony Państwa.

Jako oficer odpowiedzialny za wizytę wielkiej księżnej rosyjskiej Marii i jej siedemnastoletniego potomka – księcia Grigorija, miał teraz dogłębnie poznać genealogię rodziny aż do Kiryła, który był wnukiem cara Aleksandra II.

Dawał sobie na to siedem godzin. Spojrzał na zegarek. Dochodziła szesnasta.

„Może wyskoczmy na kawę do bufetu. Czy mnie jeszcze pamiętasz?” – napisała Ruda Kicia, jak nazywał piękną dziewczynę z sekretariatu Nadzoru Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

„Nie dziś, Kicia. Muszę wypić czaj” – odpowiedział po namyśle i na chybił traf chciał otworzył dokument oznaczony jako „Siergiejew Posad”. Zdjęcia klasztoru. Portret Aleksego II. Notatka z wizyty Kanclerza Niemiec. Pod „Sotżenicyn” – trzystronicowy poemat prawosławia i rosyjskiej duszy. Zanotował jedno zdanie...

„Mam dyżur, wpadnij potem.” – napisała błagalnie Kicia.

W kopertę włożyła zdjęcie samotnej lwicy na skale.

Odpowiedział : „Nie kuś – skąpa męska tza” i zajął się Paryżem.

Tamtejsi Romanowowie nie bardzo lubili oficjalnych pretendentów do tronu.

Scheda po zamordowanym w Jekaterynburgu Carze Rosji Mikołaju II miała wielu amatorów w Europie. Wyglądało na to, że aktualnie prowadził Madryt przed Londynem. Tak czy inaczej szanse powodzenia kampanii na rzecz powrotu monarchii w Rosji były jak jeden do dziesięciu.

Obsługa wizyty księżnej i Grigorija była rutynową akcją podejmowaną z urzędu. Trzy osoby ochrony i on, oficer prowadzący, jako czwarty. Leniwie pomyślał o Rudej Kici.

Za kwadrans piąta. List od Dodo.

„Byłem dziś u Starego. Słyszałem twoją melodię! Dodo.”

Konrad aż gwizdnął. Czyżby po czterech latach zdecydowali się jednak uruchomić agenta w Kapsztadzie!?

Joan siedziała przed komputerem, a uczucie mrowienia w palcach nasilało się. Miała to kilka razy w życiu. W Meksyku, gdzie przeżyła trzęsienie ziemi, w Ontario, gdzie odbyła pierwszą lekcję pilotażu małych samolotów sportowych i teraz, w cholernej „Wojennej Pile”. Zastanawiała się gdzie szukać pomocy. Niewyraźny ślad zapisany w pamięci, twarz mężczyzny z gazety, typ, jaki lubiła, „twarde szczęki”, „facet z wywiadu”, tak wtedy pomyślała, powiódł ją do polskiej przeglądarki. Po chwili internet wypluł na ekran dwadzieścia dwa adresy. Zdecydowała się wystać same zdjęcia, bez słowa komentarza do kogoś, kto figurował na liście jako „poczta@uop.gov.pl”.

Skupiła całą siłę woli, by dotrzeć do kiosku z papierosami. Już w windzie zapaliła Marlboro, pierwszego od sześciu miesięcy. Wytrawny dym nikotyny zakotował w głowie. Znowu szamotanina z zamkiem. Kąpiel. Nikotyna. Setka koszernej. Kawa. Wszystko trwało nie więcej niż trzy kwadransy. Bez nadziei podeszła do komputera. Odpaliła.

– Oh, yeah! – na widok listu zrobiło jej się gorąco. Nadawca: „postman@uop.gov.pl”.

ROZDZIAŁ IV

Konrad otworzył trzeci list od Kici.

„Może t o cię w końcu zainteresuje?” – W załączniku znalazł dwanaście zdjęć. Na pierwszy rzut oka sprawiały wrażenie materiałów operacyjnych wyciągniętych z jakiejś ogólnodostępnej teczki ze źródeł rosyjskich. Czyżby Kicia wiedziała już o Kapsztadzie? – pomyślał.

Słowo k r z e m pojawiało się na każdej stronie we wszystkich możliwych przypadkach. Ale było coś jeszcze...Napisano je po rosyjsku.

„Źródło?” – zaraz zapytał.

Po dwóch minutach Kicia odpowiedziała: „Przyszło przed chwilą do skrzynki. Nadawca „jo@hotmail.com”.

Konrad spojrział jeszcze raz na zdjęcia. Widział, że były to plany konstrukcyjne, czy montażowe. Przeleciał wzrokiem rosyjskie opisy. Należało zareagować. Po chwili namysłu wystukał na klawiaturze krótki list.

„Urząd Ochrony Państwa prosi o pilny kontakt w celu identyfikacji przestanych materiałów. Proszę podać kod nadawcy, źródło ich pochodzenia oraz wszelkie dodatkowe informacje.”

Czuł lekkie napięcie, jak zawsze, gdy pojawiał się nowy wątek. W końcu to właśnie miłe uczucie randki w ciemno było największym smakiem roboty, której poświęcił siedem ostatnich lat życia. Jako inżynier lotnik miał w tym czasie wiele możliwości, by osiąść w lepszym układzie. Lepszym, znacząco bezpieczniejszym, dobrze płaconym, czystym moralnie.

Poszedł do automatu po kawę. Kwadrans później – nowy list od „jo”.

„Mam to niechący.”

– N i e c h c ą c y...? – powtórzył na głos, wsłuchując się w znaczenie tego słowa. Jak coś takiego mogło trafić w przypadkowe ręce?

Konrad dobrze znał rosyjski. Należał do pokolenia, dla którego znienawidzony język wrogów, jak w Polsce mówili o Sowietach, był pierwszym kontaktem z obcą myślą techniczną. Jako chłopiec uczył się pilnie rosyjskiego, studiując instrukcje klejenia najpierw drewnianych, potem plastikowych modeli szybowców. Dlatego tu, w Urzędzie, zawsze dostawał „Ruskich”. Nie narzekał na tę specjalizację. Było wiele do zrobienia. Tak jak teraz – wszystko się mogło zdarzyć.

Zdjęcia przedstawiały być może ogromną wartość. Nie mógł jeszcze ustalić szczegółów, lecz nawet pobieżna lektura dawała wiele do myślenia. Brał pod uwagę, że był to „śmierdziel”, jak nazywali fałszywki i prowokacje... Może „jo” był hakerem, który grzebiąc w cudzych sprawach, wy dostał te instrukcje

z jakiegoś instytutu naukowego w Rosji? A jeśli nie był to zwykły instytut? Należało czym prędzej ustalić kim był „jo”.

„Proszę podać tożsamość i źródła pochodzenia materiałów.”

Wydrukował zdjęcia i popędził do chłopców z Biura Analiz. Zastał tylko Piotrowskiego.

– Rzuć na to okiem.

– Dobra, zostaw. Dziś nie mogę, ale jutro ma dyżur Wrona, to mu pokażę.

– Piotrowski jak zwykle bronił się przed dodatkową robotą. W domu czekała trójka dzieci i wściekła żona. Klasyczny przypadek błędu natury.

– Piotrowski, zrobisz to t e r a z. – Konrad podał mu plik zadrukowanych kartek. – Wiesz, co powiedział ostatnio Stary? Powiedział, że nie przyjmują do roboty dzieciątych facetów. Uważaj, bo mogą być redukcje i co wtedy? Kto się za tobą wstawi? Chyba tylko koledzy, którzy widzą jak się starasz.

– Dobra, – jęknął blondynek – ale masz po to przyjść sam. Nie będę za tobą latał. Za godzinę. Wrzucę na scanner i sprawdzę co mamy. Nic więcej i tak nie zrobię. „Ruskich” opracowuje Wrona. Pamiętaj – muszę wyjść przed szóstą.

Konrad wrócił do siebie i otworzył skrzynkę. Cisza. Zastanawiał się jak zlokalizować informatora, lecz nie minęła minuta, a przyszedł kolejny list: „Nic nie wiem.”

– Zaraz cię będę miał, skurwysynu. – syknął z radością i przez intercom wywołał dyżurnego BBŁI, Biura Bezpieczeństwa Łączności i Informatyki.

– Jak szybko możecie ustalić, skąd idzie poczta na moją skrzynkę z amerykańskiego serwera?

– Po łączach TPSA – w ciągu dziesięciu minut.

– Dobra, zawiadomcie mnie, jak tylko się coś wyjaśni.

Natychmiast zabrał się do pisania. Wymagało to rozważań. Nie byłoby dobrze stracić „jo” z pola widzenia. Zdecydował się uchylić rąbka prawdy, na wszelki wypadek, gdyby tamten wiedział c o jest na zdjęciach.

„Na zdjęciach jest instrukcja montażu. Nie rozpowszechniać. Daj sygnał do kontaktu.”

„?????” – wyskoczyło w skrzynce po kilku minutach.

Tym razem Chlebowski dobrze przemyślał każde słowo. Mógł stracić „jo”, a z nim być może coś bardzo cennego. W takich wypadkach istniały dwie możliwości – straszyć ustawą o tajemnicy państwowej, prokuratorem, w osłabieniu tymczasowym zatrzymaniem lub apelować do szeroko pojętych władz umysłowych. Wybrał to drugie.

Przełączył się do informatyków.

– Mamy go. Właściciel linii nazywa się Zbigniew Karp. Chmielna osiem. Co jeszcze możemy dla pana zrobić, poruczniku?

– Na razie to wszystko. Aha. Nie wpisujcie tej sprawy do raportu. To jest...

prywatny kontakt...wiesz, o co chodzi... siedzę sam w biurze. Chciałem komuś zrobić niespodziankę...

– Rozumie się. Drobnostka.

– Mam cię, Karp – pomyślał zadowolony. Informatycy nie należeli do elity Urzędu. Byli traktowani jak piąte koło u wozu, a przecież nie dawali powodów do narzekań. Robota zawsze na czas. Bez reklamacji.

„Znane ci jest nazwisko Karp?” – zaryzykował. „Masz jeszcze jakieś pytania?”

Czekał na odpowiedź. Pięć, dziesięć minut nie budziło jeszcze niepokoju, lecz gdyby cisza przedłużała się musiałby natychmiast podjąć odpowiednie kroki. Zawiadomić Zarząd. Włączyć procedurę. Ale czy to był Karp? – Chlebowski porządnie się nad tym zastanawiał. Dlaczego korzystał z zagranicznego serwera „hotmail”? Zanim wyciągnął wnioski, przysłała odpowiedź: „Kino Atlantic. Kasa. Bilet na nazwisko Karp”.

– Dobry jest! – krzyknął. W czasie dziesięciu lat pracy w kontrwywiadzie pierwszy raz spotkał coś takiego.

Spojrzał na zegarek. Było pięć po szóstej. Piotrowski! Pędem rzucił się do windy i w chwilę później wylądował na opustoszałym korytarzu analityków. Podobnie jak laboranci mieli stałe godziny pracy, a Urząd traktowali jak pocztę. O tej porze wszyscy dawno już grzali tyłki we własnych domach. W pokoju pięćset dwanaście paliło się jednak światło.

– No i co? – rzucił od progu.

– Mam coś. Wygląda na to, że taki sam motyw wypłynął jakiś czas temu w Kongo Kinszasa. Jeśli to jest t o, oczywiście.

– To znaczy c o ?

* Niezbyt dobrze znana jednostka SI-32. Bomba krzemowa, mówiąc inaczej. Uroczysta premiera zlikwidowała Kabilę, o ile pan to pamięta, poruczniku, całkiem niedawno. Oczywiście... ruski patent.

Czułam się jak Vicky Meissner, którą poznałam na stypendium w Londynie. Poszłyśmy razem na prawdziwie anarchistyczną balangę. Vicky nienawidziła futer i tak darła się na Trafalgar Square, że wreszcie zatrzymali ją na kilka godzin w pudle.

Spotkałam Vicky trzy lata później. Nie patrząc mi w oczy wyjąkała, że pracuje u Marksa&Spencera. Była to jedyna robota, jaką mogła znaleźć. Anarchistka w londyńskiej tramtadracji!

Tak jak Vicky nie przepadałam za futrami z norek. Ale jeszcze bardziej nie lubiłam tajniaków. Wysłałam to z mlekiem matki, która popierała IRA. Na widok tajniaków dostawała mdłości. Nigdy zresztą tego nie kryła. Wręcz przeciwnie. W domu otwarcie popierano wszystkich buntowników – tych z Tybetu i tych z Washington DC.

Teraz jednak to ja wybierałam się na randkę z tajniakiem. Miałam nadzieję, że na spotkanie przyjdzie pojedynczy „egzemplarz”, choć wyobrażałam sobie, że w ich stylu byłoby obsadzić agentami całe kino.

Byłam chora ze strachu. Byłam zmęczona i przygnębiona. Na wszelki wypadek włożyłam czarny sweter. Wydawał mi się stosowny do opowieści o szpiegach. Poza tym chciałam jak najbardziej zniknąć z pola widzenia w ciemnym kinie. Przy kasie nie było żywej duszy, na sali jakieś pięć, sześć par.

Film zaraz się zaczął. Po kwadransie dalej siedziałam sama. Już szykowałam się do wyjścia, gdy nagle ktoś obok mnie usiadł.

– Porucznik Chlebowski. Co chce nam pani powiedzieć? – usłyszałam matowy głos.

– Ja? – zdziwiło mnie to pytanie. Zaczęłam już wierzyć, że to oni mieli mi coś do powiedzenia.

– Zaprosiła nas pani na film... i...?

– ... Znalazłam te zdjęcia przez przypadek i... mam nadzieję, że to nic poważnego...

– Na ekranie zamarł wszelki ruch. Całe kino chciało postuchać tej rozmowy.

– K t o s prosił mnie o... – wydukałam w końcu, – o przewiezienie tych zdjęć... g d z i e ś.

– Musimy wiedzieć więcej. Znacznie więcej. Kto to jest?

– ... Wyjdźmy, proszę.

Po chwili szliśmy w kierunku Nowego Świata. Chlebowski robił wrażenie słowiańskiego... Adonisa.

– Wszystko zaczęło się tutaj – pokazałam mu bar, z którego zobaczyłam Stefana. Nie było sensu wymyślać kolejnych historii. W tym wielkim, obcym mieście Chlebowski wydawał się teraz przyjacielem.

Słuchał w skupieniu, co pewien czas pytając o szczegóły. Chciał wiedzieć, czy Stefan znał mój kanadyjski adres. Czy był w mieszkaniu Karpia? Czy?... mieliśmy seks?

– Nie! Wie, że mieszkam koło kina, na jedenastym piętrze...to wszystko.

– Joan, – odbiliśmy się od ronda de Gaulle’a. – Nie ukrywam, że na pierwszy rzut oka to pachnie niezłym błotem. Mam nadzieję, że niczego pani nie zataiła. No i oczywiście, zakładam, że cała ta historia jest prawdziwa. Sprawdzimy to. Tak czy inaczej, nie ulega wątpliwości, że pani jutrzejszy wyjazd do Paryża stoi pod znakiem zapytania. Teraz dojdziemy do Świętokrzyskiej i rozstaniemy się. Na jakiś czas. Wróci pani do siebie i tam poczeka na następne instrukcje.

– Instrukcje?! – byłam zaskoczona. – Jakie instrukcje?

– Powiedzmy sobie – instrukcje operacyjne. Chwilowo nie jest pani osobą

zupełnie niezależną. Musimy wziąć pod uwagę różne scenariusze. Pani udział w tej sprawie jest już niestety faktem. Dlatego lepiej będzie, jeśli bez pośpiechu przespaceruje się pani z powrotem na Chmielną. Proszę oczekiwać sygnału w ciągu najbliższych dwóch godzin. Uprzedzam – żadnego alkoholu. I oczywiście, od tej chwili obowiązuje panią całkowita dyskrecja. Czy na pewno nie rozmawiała pani z nikim o tej sprawie?

* Może pan być spokojny – palnęłam bez wahania, mając nadzieję, że Pierre zapadł się w otchłanie piekieł.

Od ponad czterdziestu minut Konrad tkwił w gabinecie Szefa. Przy długim konferencyjnym stole razem z nim siedziało jeszcze trzech ludzi. Sytuacja była niezwykła nawet jak na standardy tego szczególnego Urzędu. Na ogół wszystkie prowadzone sprawy były wynikiem miesięcy żmudnych dochodzeń, przecieków, wymian agenturalnych, wielotygodniowych analiz, łączących sprzeczne wątki po stokroć sprawdzanych informacji.

Tymczasem przypadek, z jakim musieli się zmierzyć, ich samych wprawił w zdumienie. W końcu niezbyt często zdarzało się mieć do czynienia z tak podręcznikową formą wsypy. W ciągu czterech godzin, jakie minęły od dziewiętnastej, kiedy Konrad zgłosił pilny tryb kontaktu z samą górą, na biurku Szefa urosła niezła sterta dokumentów. Oficjalny życiorys Joan Chalata, pierwsze analizy do jej teczki personalnej, informacje o kamerach cyfrowych Sony. Najważniejsze, raport o SI-32 leżał na samym wierzchu.

A jednak, mimo że było o czym rozmawiać, wszyscy zebrani siedzieli od kilku minut w milczeniu jakby żaden z tych dokumentów nie przyniósł im dostatecznej satysfakcji. Rozmowa zaczynała dopiero ruszać, z wolna kręcąc długimi zwojami mózgow.

– Czy to możliwe, panowie, – odezwał się w końcu niski mężczyzna w szarym swetrze, – że nic nie wiemy o agenturalnej działalności tego... Rozmusa, mając go pod bokiem?

–...

– Prawdopodobnie od lat pracuje dla kogoś, ale czyżby to byli Francuzi? Szczerze wątpię. Powinniśmy w każdym razie mieć jakiś ślad. Daję głowę, że nic nie umknęło naszej uwadze, przynajmniej od osiemdziesiątego piątego – powtórzył po raz kolejny tego wieczoru porucznik Bąberski z Biura Ewidencji i Archiwum.

– Tak czy inaczej, Rozmus może nas doprowadzić do źródła. W tej chwili trzeba przede wszystkim zabezpieczyć Paryż. Nie wiadomo jaką rolę miała naprawdę spełnić ta kobieta. Zakładając, że Rozmus nie chciał palić kontaktu, można rzeczywiście zgodzić się z tezą, że użył jej jako ślepego kuriera.

– „Traffaluc” pojawi się na lotnisku, po czym zniknie. Tu nie widzę problemu, możemy go poprowadzić. Chalata twierdzi, że Rozmus nie wykazywał oznak

niepokoju. Jednak biorąc pod uwagę skalę tematu, skłonny jestem przypuszczać, że na lotnisku może czekać przykra niespodzianka. Ja bym nie ryzykował. To po pierwsze. Po drugie – w całej tej sprawie czuję najlepiej wątek SI-32 i chciałbym przedstawić moją osobistą opinię, jeśli panowie pozwolą... – po tej przemowie Chlebowski podniósł oczy znad stosu kartek, lecz twarze pozostałych mężczyzn zdawały się wykute z kamienia. – Najwyższy czas, żeby zająć się tą sprawą.

Sięgnął po papierosa. Teraz miał do powiedzenia coś, co powinno być podane w sposób bardziej niż ostrożny. Popołudniowa wiadomość od Dodo mogła mieć związek z tematem, nie mógł sobie pozwolić nawet na jedno zbędne słowo.

– Jak wiecie panowie – wyraźnie rzucił spojrzenie w stronę, gdzie siedział w milczeniu Stary – od czterech lat jestem zaangażowany w wątek, który mnie samemu jeszcze się nie wykuł. Tu obecni znają go jako „Kapsztad”. W rzeczywistości chodzi o...krzem. Być może też o SI-32. Jak na razie nasza wiedza o tej jednostce jest niewielka, ale chcę wyraźnie powiedzieć, że technologia użyta do produkcji tej bomby ma wszelkie dane, żeby skutecznie wyprzeć wszystko, co w tej dziedzinie i na taką skalę zrobiono do tej pory – przede wszystkim wodór, ale też materiały popularne, takie jak semtex. Z uwagi na niezwykle właściwości krzemu idealnie nadaje się do transportu, przy czym siła rażenia bomby krzemowej może być wielokrotnie większa od tego, co jest stosowane na rynku. Mamy tu raport z Kongo Kinszasa.... Chyba nie ma więcej pytań. Po raz pierwszy zastosowano ładunek krzemowy w praktyce. Efekt? Zniszczenia w promieniu siedmiuset metrów od epicentrum. Dodam – bez żadnych skutków ubocznych, bez promieniowania, bez skażenia. Etap pierwszy – emisja cieplarniana, etap drugi – fala uderzeniowa. Etap trzeci... No właśnie. Nie ma etapu trzeciego. Po eksplozji zostaje garść piachu. W praktyce nic. Nie licząc trupów, oczywiście. – Potoczył wzrokiem po obecnych. Przystanął. Dał im czas, by skojarzyli jego słowa z plikami informacji, jakie na pewno mieli w głowach. Zwłaszcza oni. „Dream team” Starego. – Dodam, że krzem, który zaraz po tlenie jest najpowszechniejszym pierwiastkiem na naszej planecie, praktycznie nie występuje w czystej postaci. Z jednym znanym dotychczas wyjątkiem... Kapsztad. – tu Konrad zawiesił głos i porozumiewawczo zerknął na Starego. – Myślę, że te sprawy jakoś się ze sobą wiążą. No cóż...

Znowu zapadła cisza. Tym razem wszyscy czekali na Starego. Zbliżała się jedenasta w nocy. Należało w końcu podjąć jakąś decyzję.

Szef Zarządu nie należał do ludzi szczególnie wymownych. Rozkazy były krótkie i precyzyjne. Joan Chalata miała być wycofana z akcji. Do Paryża należało wysłać agentkę wyselekcjonowaną z warszawskiej delegatury. Wybór, z uwagi na warunki fizyczne, padł na podporucznik Wiśniewską. W ciągu najbliższych godzin człowiek od charakteryzacji miał się zająć upodo-

banieniem podstawionej agentki do tak zwanego modelu. Kolejnych trzech ludzi wystawiono w Paryżu do poprowadzenia człowieka, który używał nazwiska Traffaluc.

Co sześć godzin należało zmieniać dwójkę obserwatorów pod domem Rozmusa. Zresztą pierwsza zmiana była tam już od ósmej, na polecenie Konrada, którego kompetencje pozwalały w takich wypadkach na samodzielne działanie „do późniejszej konsultacji”.

Na koniec padły słowa, których wszyscy oczekiwali:

– Za całość jest odpowiedzialny.... – Stary lis dramatycznie zawiesił głos – porucznik ... Chlebowski.

– To wszystko ? – zarepetował Konrad.

* Tak, możecie się brać do roboty, panowie. Pierwszy raport chcę mieć na biurku za dwanaście godzin. Tylko nie tak krótko jak ostatnim razem... Poruczniku Chlebowski....coście tam napisali?

– Napisałem: „wszystko w porządku”, panie pułkowniku.

– Wszystko w porządku... wszystko w porządku.... – i Stary uśmiechnął się po raz pierwszy od wielu, wielu godzin.

* * *

ROZDZIAŁ V

Tuż przed drugą w nocy Joan została sama. Tym razem spotkanie trwało dobre półtorej godziny i coraz bardziej przypominało seans filmowy. Chlebowski pojawił się w mieszkaniu Joan w towarzystwie psychologa. Chciał, żeby z kilkunastu fotografii mężczyzn wybrała swój własny portret psychologiczny. Postukała palcem w napompowaną klatę dresiarza. Psycholog wydawał się uszczęśliwiony.

– Bardzo dobrze – powtarzał – bardzo dobrze. Wszystko jasne. Wszystko jasne.

Nie zapytała go o wnioski, gdyż jej uwagę przyciągnęło zachowanie trzeciego człowieka. Na jej oczach i bez cienia reakcji ze strony Chlebowskiego, co przyjęła ze szczególną irytacją, mężczyzna dobierał się do jej torby fotograficznej. Zielona torba podróżna była już na w pół wybebeszona, a różne sztuki odzieży, w tym najbardziej intymne, walały się po łóżku.

– A to co ma znaczyć?! – krzyknęła gotowa do obrony. Koniec z tajnikami, pomyślała. – Zostaw moje rzeczy, ty palancie!

Milczący do tej chwili Chlebowski podszedł do Joan i położył jej palec na ustach. Poczwała mocny płomień.

– Psssy – usłyszała, – dowiesz się w swoim czasie.

I za chwilę nie była już dawną Joan Chalat. Jej miejsce, jak powiedziano, przynajmniej na następne kilkadziesiąt godzin miała zająć zupełnie inna kobieta. Inna, a jednak taka sama. W jej staniku, majtkach, z torbą fotograficzną przewieszoną przez ramię, z jej pierścieniem na palcu prawej dłoni! Szczególnie ten ostatni szczegół wydawał się irytujący. Miała przywiązanie do kawałka srebrnego odlewu, tak starego, że relief wyryty nieznaną ręką był już całkowicie nieczytelny w chwili, gdy znalazła go w swoje trzydzieste trzecie urodziny. To zdarzyło się naprawdę. W arabskiej części Jerozolimy. Ostatnie wakacje z ojcem. Przywiesiła wtedy na Ścianie Płaczu karteczkę z prośbą o cudowne ocalenie przed pustką.

– Chcecie mnie aresztować? – spytała Joan, nie podnosząc oczu znad kartki, którą położył przed nią Chlebowski.

– Nic podobnego. Co za pomysł! Jest pani świadkiem, pani Chalat. I to bardzo ważnym świadkiem. Dlatego chcę, żeby pani to podpisała.

– Co to jest?

– Zobowiązanie. Do milczenia. I posłuszeństwa. My to nazywamy współpracą.

– Nie podpiszę.

– Obawiam się, że nie jest to możliwe. Naszym celem jest panią chronić.

– Chronić?

– I jeszcze jedno. Nie wciągaj się za bardzo w temat, dziewczyno – ostatnie

zdanie powiedział tak łagodnie, że zadrżała.

– Nie życzę sobie takich tekstów! Chcę natychmiast zawiadomić Ambasadę!

– Wiesz, jak my tu w Polsce mówimy? Kto mniej wie, ten mniej siedzi. Stara, ludowa mądrość.

– Nie. Nie. I nie.

* Proszę, długopis.

Po wyjściu Chlebowskiego wypaliłam kilka ostatnich papierosów i padłam jak długa na podłogę. Leżałam, chłonąc stan kompletnej pustki w głowie, który mnie samą wprowadził w osłupienie. To co się działo, było czymś więcej niż scenariusz kiepskiego filmu.

Dzwonek postawił mnie na równe nogi. Skoczyłam do drzwi wywalić im w twarz to, co naprawdę o nich sądzę. Ale wtedy d r g n ę ł a mi ręka.

Spytałam:

– Kto tam?

– Joan Chaląt? – usłyszałam obcy głos. Spodziewałam się Chlebowskiego.

– Taaak... Kto tam?

– Mówi do pani Radca Ambasady Rosji w Warszawie...Niech pani będzie uprzejma wpuścić mnie do środka...

– Sprowadza mnie do pani sprawa najwyższej wagi. Pani sama rozumie, że o tej porze...

Poczułam jak włosy stają mi dęba.

– Nie rozumiem...

* Madame Chaląt – głos ciągnął dalej czystą oksfordzką frazą – jestem bardzo skonfundowany, ale Ambasada... nie miała innego wyjścia. Chyba nie wyobraża sobie Pani, żebyśmy tak w środku nocy...bez powodu...

Ciało Joan, które przyjęło prysznic prawie 12 tysięcy volt z paralizatora, nie wykazywało oznak życia. Lecz nie to było najwyraźniej zmartwieniem nastpników. Ich zachowanie zdradzało pośpiech. Kola przeciągnął ciało na niski fotel, a Dunin użył jak zwykle „osy”, genialnego nanoplastra do iniekcji, jednego z tych patentów, które w zamęcie Gorbaczowa powstały jeszcze z laboratoriach Układu Warszawskiego. Nigdy nie wprowadzony na stan armii. Plaster eksplodujący czymś na kształt miniaturowych owadzików żądeł.

Przeszukiwali pokój, łazienkę, szafy.

– Ekipaża niet – bąknął w końcu ten, którego nazwano Kola.

– Przecież, durniu, mam oczy – ofuknął go z przyzwyczajki Dunin i ostrożnie podszedł do okna. Nie usuwając zasłony, zerknął w dół. Z tej wysokości widać było niewiele. Miasto zalała bezgwiezdna, pochmurna noc. Łysy nie kłamał – pomyślał w końcu. Ale ta blać wystąpiła już bagaże na lotnisko.

– Co robić, Aleksandrze Siergiejewiczu ?

– Co robić? Swotocz! Trzeba się było zastanawiać, co robić, kiedyś zdradzał! Bodajbyś pęktł, pieski synu, jakżeś do ręki brał ten aparat!

Mimo jasnego planu, Dunin pograżał się w panice. Po dysku nie było śladu. Kobieta wkrótce odzyska przytomność, a więc za siedem minut powinni być już w samochodzie. W e t r o j e.

Spojrzał z ukosa na kobietę. Ruda, nawet ładna. Nie lubił rudych. Dobrze wiedział, ile są warte. Ta wyglądała mu na Żydówkę. Jak się mówiło w Matiuszcze Armii, rude niedobre, mają w poprzek. Miałby to może teraz ochotę i sprawdzić, gdyby nie wredny pies, który nie odstępował go na krok.

Do czasu... – pomyślał Dunin i zmierzył Kolę spojrzeniem – do czasu.

– Bierz ją!

Kola podszedł do łóżka i szarpnął ciałem. Była tak drobna, że mógł ją sobie opasać wokół tułowia. W ten sposób, jakby niósł manekina szedł z nią po stopniach z jedenastego piętra w ciszy. Już na chodniku zmienili system. Szli we troje, wzięli ją między siebie, jak zmęczone nocną zabawą towarzystwo. Do przejścia mieli nie więcej niż sto kroków. Citroen Berlingo opuścił Chmielną dokładnie kwadrans przed piątą.

O tej porze ulice miasta świecą puste. Przez most Berlingo skierował się na wschód, przez jakiś czas objeżdżał Pragę, by znów przekroczyć Wisłę, nieco dalej.

Kola zajmował się ofiarą. Zdążył rozebrać Joan ze wszystkiego i nadziać na śmierdzące, brudne łachy. Nie wyglądała jak nauczycielka angielskiego. Raczej jak kloszardka.

– Prędej, głowa! – Dunin syczał, z niepokojem patrząc w zegarek. – Szybciej! Szybciej!

A co ja? Za fryzjera ma tu robić!? – pomyślał Kola z rosnącym gniewem, lecz sięgnął do płaszcza po sprzęt. Złapał Joan za włosy i mocnym ruchem zadął głowę do podsufitki. Wciąż była nieprzytomna. Pasma włosów spadały na tapicerkę.

Podjechali od strony starego nasypu kolejowego. Dunin znał ten pejzaż nie od dzisiaj. Lubiał ciekawe miejsca, inspirujące wyobraźnię „spiskowca”, jak sam o sobie myślał z pewną dozą dumy i satysfakcji. Zatrzymał auto pod ścianą magazynu na węgiel, pozbawionego okien bungalowu. W ten sposób przesłonił widok citroena, a Kola zrzucił ciało wprost na węglowy podjazd. Stąd niezauważeni skoczyli w dół i zaciągnęli Joan na tory.

– No – Dunin rzucił na w pół pochwałę, na w pół naganę. – Teraz jeszcze zakraplać...

Jak go uczyli w Instytucie, przeciwnikowi trzeba zadawać zawsze podwójny cios. Gdyby, na przykład, ona przeżyła, patrzył na tory, którymi za niecały kwadrans miały przetoczyć się pierwsze wagony kolejki podmiejskiej, już nigdy nic by nie ujrzała, pomyślał, bo lubił zmieniać chemię i w jednej akcji

nie miał zwyczaju się powtarzać. Odpstryknął blok amputki i skroplił oczy Joan. Dobrze mu wyglądała, koszerna dziwka, zgolony miała łeb, jak po wyroku na melinie.

Kwadrans później Dunin wysiadł z Berlingo na Rozdrożu i nieśpiesznie udał się w dół Belwederską. Szedł mocno zawiany, piersiówka – jednym haustem trzy setki, zrobiła swoje. Nie pierwszy raz wracał do domu o tej porze.

– Trzeba umieć działać bez rozgłosu – pomyślał z pewną dozą dumy i satysfakcji.

* * *

ROZDZIAŁ VI

– Raport ?!

W głośniku odezwał się głos Chlebowskiego. Para w średnim wieku, mężczyzna i kobieta wyglądający na skromnych urzędników państwowych, raczyła się suchymi kanapkami ze stacji benzynowej, kiedy znów zatrzeszczało radio. Mężczyzna stuknął porozumiewawczo kobietę ramieniem.

– Ty mów – przeżykał akurat kęs chleba.

– Co jest, do cholery? „Emjeden” zgłoś się!

– Jestem...jesteśmy, panie poruczniku.

– Meldunek ! – zaskrzeczało radio.

– Nic się nie dzieje. „Szopen” nie wychodził. Renówka stoi jak stała, panie poruczniku. Jeszcze wcześniej. Melduję, że mamy zmianę za pięć minut, o ósmej trzydzieści.

– Nie odstaniał okien?

– Melduję, że nie odstaniał.

– Przed zmianą zgłóście się na „czternastce”.

– Tak jest, panie poruczniku.

Konrad odwrócił się od intercomu. Przymknął oczy, odganiając zmęczenie. Co też mogło zatrzymywać Rozmusa tak długo w domu? Cisza była zawsze niepokojąca. W dzisiejszym świecie cisza i bezruch zwiastują katastrofy. Konrad zaczynał mieć złe przeczucia. Połączył się jeszcze raz z BBŁI.

– Dzwonił?

– Nie, poruczniku, ale zarejestrowaliśmy dwa połączenia, których nie odebrał. Dosłownie przed chwilą. Sygnał z satelity. Wygląda na to, że gdzieś z Europy.

– Macie rejestrację głosu? Numer?

– Przykro mi, nic nie ma. Nikt się nie odezwał. Numer był zastrzeżony bez możliwości identyfikacji w tak krótkim czasie.

– Dajcie meldunek do papierów...Aha, jeszcze jedno. Punkt dziewiąta wydzwońcie jego numer z Uniwerka.

– Przepraszam, panie poruczniku, nie zrozumiałem. Skąd?

– A, to „wyście nie z Warsiawy”, sierżancie Królik . Jedźcie na Uniwersytet Warszawski. Mają tam chyba jakąś centralę?!

– To ma być za trzydzieści minut, tak? Nie zdążymy....

– Co nie zdążycie?! – huknął w słuchawkę Konrad. – Co nie zdążycie?! Weźcie kogoś z miasta, niech pojedzie na Krakowskie. Meldować na „czternastce”.

Spojrzał na zegarek. Za dziesięć minut porucznik Wiśniewska vel Joan Chałat oderwie się od pasa startowego. Za czterdzieści pięć minut „Wotsan”, jak

nazywali faceta od charakteryzacji, wyprowadzi Joan z Chmielnej. Za osiem godzin na Dworzec Centralny PKP w Warszawie wjedzie salonka księżnej i Grigorija, prywatnie świeżo upieczonego studenta Oxfordu.

Chlebowski pomyślał o jedzeniu pierwszy raz od kilkunastu godzin. Kto wie, kiedy znowu będzie miał spokojny kwadrans?

W bufecie na parterze rozłożystego gmachu przy ulicy Rakowieckiej było dosyć pusto. Zamówił jajecznicę na maśle, kawę, wielki kawałek tortu i poszedł przejrzeć prasę. Zadzwoiła komórka. Dziewczyna z za bufetu skinęła, pokazując palcem jajecznicę.

– Tak. Słucham? – ruszył w stronę bufetu.

– Poruczniku, tu „Wotsan”. Jestem na Chmielnej, ale model nie otwiera. Jak zwykle nikt mi nie zgłaszał zmiany. Ja jestem na urlopie, mam w domu remont, urwanie głowy...gnam jak głupi przez całe miasto...!A modela nie ma!

– Co mówicie? K o g o nie ma?

– Nie ma... – „Wotsanem” wstrząsnęło. W momencie pojął błąd swojego rozumowania. – Jestem na C h m i e l n e j, panie poruczniku.

– Zostańcie na miejscu, „Wotsan”. Zaraz tam będę.

– Panie poruczniku, jajeczka! – usłyszał jeszcze z za pleców, znikając w długim korytarzu Urzędu.

Dunin zdobył w tym czasie pewność, że sprawy idą jeszcze gorzej, niż się to mogło wcześniej wydawać. Tatiana, były leutenant byłego KGB, zaśluzona dla Rodiny, miała niezwykły dar jako szefowa warszawskiego Aeroflotu. Dla tej kobiety sprawdzenie jakiegokolwiek informacji o tym co dzieje się w powietrzu stanowiło problem o wiele mniejszy niż wyprowadzanie na spacer psa, ulubionego pekińczyka Kali. I to Tatiana potwierdziła, że Joan Chalát wraz z sześćdziesięcioma trzema innymi pasażerami opuściła płytę lotniska w Warszawie porannym rejsiem Air France do Paryża. Dunin rozumiał, że ta rewelacja zalicza się do przykrych niespodzianek, jakie utrudniają życie spiskowca. Poczł nerwowy ucisk przedramienia i na wszelki wypadek postanowił nie rozstawać się z paszportem dyplomatycznym i pewną ilością gotówki. Tego dnia miał dentystę. Bał się spotkania. Co mógł mu powiedzieć?

Pasazerowie lotu 0421 z Warszawy zgodnie z planem pojawili się przy taśmie z bagażami na lotnisku Charlesa de Gaulle’a o godzinie dziesiątej trzydzięci. Jak zwykle w czwartek o tej porze samolot przyleciał na w pół pusty.

Drobna, rudowłosa, na oko trzydziestoparoletnia kobieta w długim skórzanym płaszczu, z torbą fotograficzną na ramieniu i słuchawkami na uszach, nie śpiesząc się odebrała z taśmy bagaż i poszła w kierunku kontroli granicznej. Młody Belmondo spojrzł przelotnie na kanadyjski paszport.

– Bon sejour – Belmondo skinął głową.

Kobieta odprawiła bagażowego i rozejrzała się za wózkiem. Ktoś mógł tu na nią czekać. W końcu ruszyła w kierunku wyjścia, do taksówek.

Dwóch młodych Algierczyków głośno dyskutowało, pokazując palcem w jej kierunku. Minęła ich w chwili, gdy wózek zahaczył o kratkę wentylacji.

– Madame Chalát? – człowiek, który ją dotknął z tyłu był Francuzem. Białym. Długie, jasne włosy spinał na karku.

– Yes? – kobieta podniosła na niego wzrok i uśmiechnęła się.

– Moi, Je suis Jean Traffaluc. Vous etes une amie de Stephane? Vous avez quelque choses pour moi?

– Oh, nice to meet you. – Kobieta podała mu rękę w mocnym uścisku, po czym sięgnęła do torby fotograficznej, którą miała przerzuconą przez ramię

– Stefan bardzo się martwił, że nie może pan bez niej żyć – dorzuciła po francusku, tak niewyraźnie, jak to potrafią tylko w Kanadzie.

Mężczyzna o nazwisku Traffaluc schował szarą kopertę w bocznej kieszeni spodni.

– Może panią gdzieś podwieźć? Nie wiem czy będzie to wygodna podróż, jestem furgonetką. Jadę na Dworzec Północny – jego ton nie był szczególnie zachęcający.

– Nie, nie, dziękuję. Jestem umówiona w Portes de Versailles, wezmę taksówkę.

Jeszcze raz podali sobie ręce.

– Au revoir.

* Au revoir, Madame.

Pani Chalát pozwoliła taksówkarzowi zapakować bagaże do kufra i odjechała na południe w kierunku ogrodu zoologicznego St. Mandé.

Jean Traffaluc odwrócił się na pięcie i pomaszerował na parking. Zanim dotarł na pierwszy poziom i odnalazł mercedesa D-classe oklejonego nalepkami domu towarowego „Printemps” położył szarą kopertę na stalowej rurze wentylacji nieco wyżej, na wysokości sektora C. Zjechał samochodem do bramki, gdzie natknął się na dwóch młodych Algierczyków prowadzących zajadłą kłótnię. Palcami pokazywali na samochód Traffaluc’a wyrwijąc sobie jednocześnie bilet parkingowy. Musiał zatrzeć kilka razy zanim zeszedł z drogi. Zjechał zjazdem na Portes de Lillas, lecz wbrew zapowiedzi nie skręcił na Gare du Nord, ale minąwszy P?re-Lachaise przekroczył rzekę i zaparkował samochód pod Panteonem. Stąd na piechotę ruszył w stronę rue Erasme, gdzie miał wejście do budynku Instytutu Oceanicznego Sorbony.

Studentka z Angoli, która podjechała tuż za nim odrapanym 2CV niemal pod same drzwi Instytutu dowiedziała się, że blondyn, który przekroczył właśnie próg szacownej uczelni nazywa się Claude Bernard i jest wykładowcą w Katedrze Historii Marynistyki.

Tymczasem niecały kwadrans później furgon mercedesa odjechał spod Panteonu prowadzony przez licencjowanego kierowcę w firmowym kombi-

nezonie, lecz i tak zaraz potem definitywnie zakończył kurs na Bulwarze Haussmanna, koło Opery, gdzie mieścił się najbardziej prestiżowy magazyn „Printemps”.

Stamtąd samochód nie odjeżdżał aż do wieczora, kiedy kierowca drugiej zmiany wyruszył w zwykły nocny kurs po towar.

Moment ten dobrze widziało dwóch młodych Algierczyków, którzy głośno wymieniając inwektywy, brali się za bary po przeciwnej stronie ulicy.

* * *

ROZDZIAŁ VII

- Cholera! Znowu dzwonią! Nie można dwóch słów spokojnie zamienić! Gładko zaczesany grubas, pod pięćdziesiątkę, z olbrzymim złotym łańcuchem na przegubie lewej dłoni, walił niecierpliwie tłustymi palcami w klawisze miniaturowej komórki, nie mogąc w żaden sposób utrafić we właściwy przycisk. Po pięciu dzwoneczkach telefon umilkł. Siedząca obok blondynka zachichotała:
- Włącz odbiór wszystkimi klawiszami, matole.
- Ty, Baśka, nie denerwuj, mnie, ja ci mówię – sapnął grubas – coraz mniejsze robią te bajery, cholera by ich jasna wzięła...
- Siedzieli w rozległym pasażu centrum handlowego „Promenada”. Nie zauważyli, kiedy do stolika zbliżyła się nieznajoma kobieta.
- Pan Zbigniew Karp? – nachyliła się nad wypomadowaną fryzurą grubasa i jeszcze raz powtórzyła pytanie – Pan Karp, prawda? – usiadła na wolnym krzeselku.
- Karp. O co chodzi?
- Urząd Ochrony Państwa. Porucznik Lewandowska. Pani tu zostanie, – spojrzała wymownie na blondynkę, w chwili gdy ta zsuwała z blatu stolika małą skórzaną torebkę.
- O co chodzi? Na miłość Boską! J a k i u r z ą d? – Karp przejawiał wolę walki. – Ja w ogóle nie znam takiego urzędu! To coś nowego?
- Niech się pan nie wygłupia, panie Karp. Przejedziemy się na spacer, a pani tu poczeka. O, idzie sierżant to się panią zajmie, żeby się pani nie nudziła.
- Znad sąsiedniego stolika uniósł się wąsaty brunet w czerwonej flajercie.
- Pani nic nie grozi w takim towarzystwie, co? Panie Karp? – porucznik Lewandowska mrugnęła porozumiewawczo do bruneta, który bez wahania usadowił się na czwartym krześle.
- Dużo nas się tu zrobiło. Tłok. Baśka, zbieraj się, idziemy. Ci państwo zajmują stolik. – Karp nie dawał za wygraną.
- Pan się zbierze sam, panie Karp, a żona tu zostanie.
- Ja się mam zebrać? Przecież ja pani w ogóle nie znam! Ja nie wiem kto pani jest!?? Przeczam... telefon dzwoni... Wiesiu, to ty? Dobrze, że dzwonicz.
- Po każdym słowie Karp łapał spóźniony oddech jak wściekły byk. – Wiesz kogo ja tu mam...?

Porucznik Lewandowska wymownie skrzyżowała palce. Karp nagle zaciął się, spłonął, krople potu pojawiły się na czole, a ton buczonego szerszenia zamienił w trel słowika:

–... Wiesiu, znajomy mnie odwiedził, to może pogadamy później... No, to do miłego.

Zmierzył Lewandowską ponurym wzrokiem.

– To gdzie się zbieram i dlaczego? – twarz Karpia z purpurowej zrobiła się

niebieska.

– Niedaleko.

– Legitymacja! – rzucił jeszcze zbierając się do wyjścia.

– Legitymacja?! – zdziwiła się dobrze wytresowana porucznik Lewandowska.

– Jedziemy na Rakowiecką. Zna pan ten budynek, prawda?

Znowu telefon. Dłoń Karpia zawisła nad aparatem.

– Niech pan sobie da teraz spokój. Niech pan nie robi sobie krzywdy.

Blondynka, nie czekając aż znikną w dżugim pasażu, wsiadła na wąsatego.

– I co, będziesz tak siedział na dupie bez słowa?! O co chodzi? Mam fryzjera!

Wąsaty spojrzął wytupiastym okiem na jej cycki.

– Ty siedź na dupie.

– Sam jesteś d u p e k! – syknęła blondyna i skinęła na kelnerkę. – Rybeńko, daj mi Martini, ale duże... miałam gdzieś jechać, cholera, a muszę kiblować... i cappucino... Ale j e d no – dodała, żeby nie było wątpliwości kto za kogo płaci.

– Nazwisko?

– Karp.

– Imię?

– Roman.

– Urodzony?

–... No, tak.

– Data?

– ... Szesnasty września... pięćdziesiąty trzeci. Otwock. Ojciec Władysław, matka Stanisława. A pan jak się nazywa?

Chlebowski bez cienia złości spojrzął w oczy zatrzymanego. Miękką skórzana kurtka na brzuchu Karpia falowała.

– Porucznik Chlebowski. Będę pana przesłuchiwał w charakterze świadka w sprawie zaginięcia Joan Chalata. Tu jest wezwanie.

– Palcem pokazał kawatek zadrukowanego papieru z odręcznymi podpisaniami.

– Chalata? Chalata? Przez jakie „ha”?

– Przez „ceha”.

– I co, że zaginęła?

– ...

– Niech ja pomyślę. Wiem! – wyglądał na ucieszonego. – Ta Żydóweczka z Kanady? Chodzi panu o Chmielną? To moje mieszkanie. Mam z żoną rozdzielność majątkową. Wynajmuję kilka mieszkań. Jakie tam mieszkania! Pokoiki! Ale co zrobić? Z czegoś trzeba żyć. Ale papiery... wszystko... w idealnym porządku. Panie kochany, jak się tyle już widziało co ja, to człowiek z państwową kasą nie zadziera!

Konrad pozwolił mu mówić.

– A co? W ogóle jej nie ma? Dzwoniliście do Bristola? Wyjechała gdzieś, panie kochany. Kto by siedział w mieście w taką pogodę! Pewnie kogoś poznała. Tak to siedziała sama. Wiem, bo mi mówiła, że siedzi sama. Nawet jej powiedziałem, pani Jasiu, pani wyskoczy ze mną i z żoną do Marriota. Mnie to by Baśka spokoju nie dała. Sobota przyjdzie – ona już stoi! Mówi, że w domu nie będzie siedzieć po dziesiątej. W sobotę, ma się rozumieć, bo tak w tygodniu to rodzina przyjedzie, wieczorem posiedzimy, pogadamy, siusiu, paciorek i spać, jak to mówią...

– Kiedy ją pan widział po raz ostatni?

– Baśkę? Przecież ona właśnie została w „Promenadzie”! Z tym wąsatym. Osobiście wolałbym mieć ją na oku – dodał urażonym tonem.

– Pytam o Joan Chalata, panie Karp. Może pan zapali?

– A co pan ma? Lucky Strike? Daj pan! Tyle lat nie paliłem, to w końcu zapalę.

Chlebowski też zapalił.

– No, no, niech pan mówi...

– Prawdę mówiąc, to ja jestem nie ten adres. Ja jej, panie poruczniku, na oczy nie widziałem.

– A? Nie widział pan? A to szkoda! Chciałem, żeby ją pan rozpoznał.

Konrad wyrzucił z żółtej koperty kilkanaście fotografii kobiet od młodych po całkiem dojrzałe.

– Bo ja wiem? Skąd niby mam wiedzieć? Może ta? – palcem postukał w najbliższe zdjęcie smutnej brunetki w okularach.

– A co pan o niej wie w takim razie? Przecież mieszka u pana od pół roku.

– Co wiem? Co wiem? Trzy razy w tygodniu dzwoniła. Poznałbym ją po głosie. Taki niski, chrapliwy. Moja ciotka taki miała. Ale ona to nieźle tankowała. Już nie żyje, biedaczka. Dwa lata. Sam ją chowałem, nie miała nikogo na świecie. Chalata...Chalata...Ja panu powiem, że ona była strasznie uparta. Chciała koniecznie, żebym jej wymienił zamek. Ale pan wie, jak to jest – człowiek ciągle się spieszy. Prosiłem, żeby wezwała ślusarza z administracji, powiedziałem, że wszystkie koszty sam pokryję, ale ona swoje i swoje – żebym ja osobiście się tym zajął. Ja już nawet ten zamek kupiłem. O! właśnie! Kazałem dać najlepszy. Szwedzki.

– Kiedy pan z nią rozmawiał po raz ostatni?

– Z tydzień temu...?

– Dokładnie...

– Chyba w czwartek. Akurat sąsiada chowałem. Teraz te chłopaki jakoś szybciej do piachu idą. Za dużo zmartwień...

– A co z zamkiem?

– Wymienię, oczywiście, zaraz wymienię.

– To chyba będzie konieczne.

Karp uniósł brwi:

– Nie rozumiem...?
– Musieliśmy wejść do lokalu jedenaście dwadzieścia trzy na Chmielnej osiem. To pańskie mieszkanie, prawda?
Karp pozwolił sobie na gwizd:
– Co jest grane, panie poruczniku!?
– Panie Karp – Chlebowski spojrzał zatrzymanemu w twarz. – Po co tyle pytań? Niech pan nie szuka dla tej sprawy rozgłosu. To co, jedzie pan po zamek?
– Najpierw po Baškę. – Karp wstał, a za nim brzuch. – Ojciec Polak był. Polski Żyd. Rodaczka prawie. Szkoda by było dziewczyny, żeby się nie znalazła...
Po jego wyjściu Konrad przez dłuższą chwilę siedział przed pustym ekranem komputera. W tej sytuacji raport, który miał wysmażyć dla Starego był sprawą beznadziejną. W zniknięciu Joan przeczuwał swój własny błąd. Widocznie kobieta nie miała czystego sumienia, skoro zdecydowała się zwać. Powinien był jej pilnować. Na otarcie łez mógł sobie powiedzieć, że Paryż bez problemu podjął kuriera, ale właśnie po tym wątku spodziewał się najmniej.
– Cholera... – rzucił okiem na stertę papierów.
Dochodziła dwunasta. Pod domem Rozmusa miał dwóch ludzi od siebie z jednostki i ośmiu z brygady antyterrorystycznej. Wziął do ręki nakaz rewizji i z ciężkim sercem sięgnął do intercomu.

* * *

ROZDZIAŁ VIII

O tej porze roku nadwiślańskie kępy krzaków toną w gęstej, wilgotnej zieleni. Fetor gnijącego błota i nadrzecznego mułu nie przeszkadza, by w zaroślach kwitło życie pełne uroku i tajemnic. Kawatek prawdziwej dżungli w środku miasta kryje pod parasolami z liści znane jedynie naprawdę wtajemniczonym korytarze, pozornie wyludnione ostępy, gwarną i wesołą osadę miejskich kloszardów i bezdomnych uliczników, którzy latem tu wynajmują pałace i uwodzą syreny. Oto idzie dwóch z nich, nie śpiesząc się, przystają co kilka kroków i bez przesady pociągają tanie wino z brązowej butelki.

– Jak ty myślisz, Grzesiu? – zagadał młodszy do starszego.
– Wiesz, to trudno powiedzieć. Ja się ciebie pytam, skąd to się wzięło?
– Na mój rozum to ona przyćpała, – młodszy wyjął z kieszeni zwiędniętą kanapkę i niezły kęs wpakował sobie w usta.
– Ej ty, Adaś, Adaś. Ty jej nigdy, tej kanapki, nie doniesiesz.
– Pardon, dobrześ mnie upomniał. Jak ojciec, jak brat... Bracie!... – Adaś ciężko westchnął i otarł łzę u wylotu oka.
Ruszyli dalej przez zarośla wąską wydeptaną ścieżką. Co i raz przystawali pokrzepić się alkoholem, po czym krokiem pewnym, choć chwiejnym wędrowali boso stopami, szukając wśród wyschniętego błota najpewniejszej drogi. Zastali ją dokładnie w tym samym miejscu, gdzie o świcie przywlekił ciało z niepewnymi oznakami życia.

– Grzesiu? Ona żyje?
Stary pochylił się, ale musiał uklęknąć, żeby przytknąć wielkie ucho pokryte kołtunami włosów do jej piersi. Długo to trwało.
– Może...- wyjąkał w końcu młody – ... może jej to zdjąć?
Grześ spojrzał na niego z pogardą.
– Ty byś zaraz zdjął kobiecie bluzkę,... hę?
– Co ty, Grzesiu?! Nigdy w życiu! Jak mamusię i tatusia kocham...! Nigdy w życiu kobiecie bym bluzeczki nie zdjął...chyba że sama by chciała – i oblał się prawdziwym, czerwonym jak wiśnia rumieńcem.
Stary wyjął z płóciennej torby ogromną, pogniecioną butelkę po wodzie mineralnej i zrosił kobiecie twarz, delikatnie i z namaszczeniem, jakby to była woda toaletowa lub święcona.
Ciało poruszyło się nieznacznie.
– Ty, budź się, dziewczyno, – stary sapał, próbując unieść ją spod krzaków, które o tej porze nie dawały już cienia na zachodnią stronę.
– Strasznie jej te oczy ropieją – zauważył Adaś.
– Dobrze, że jeszcze nie wykitowała – pocieszył ją Grześ.

Kilka godzin później, pod wieczór, siedzieli już razem we troje na kępie trawy blisko rzeki, smród bardziej przybliżyć się do brzegu nie dał. Kobieta przedstawiała sobą widok nieszczęsny. Niedokładnie ogolona

czaszka z kępami rudawych włosów, jakby rodem z piekła kiwała się to w przód, to w tył, nie znajdując w ciele żadnego oparcia.

Wokół głowy przewiązanej udartym z koszuli rękawem, na wysokości oczu tańczyła osa.

– Adaś, weźże jej tę osę odgoń.

– Grześ, przecież już ją gonilem. Ciągłe tu leci. Jak do miodu.

– Słodka Reneta.

– Mnie się Reneta nie podoba. Chyba ma jakieś imię. Mnie się podoba Irenka, Helenka. He-le-na – powtórzył głośno tuż nad uchem kobiety. Ani drgnęła.

– Skurwysyny, narkomani, dilerzy...! – Grześ westchnął na obraz wielkiej wojny, jaki stanął mu przed oczyma.

– No, bierz tę Helenkę i idziem „nahause”.

Późnym latem, jeśli pogoda pozwalała, mieszkali w luksusowej dzielnicy po drugiej stronie rzeki, w małym parku u wylotu ulicy Książęcej, za źródłem, od lat zapomnianym przez mieszkańców miasta. Zajmowali dwie schowane w zaroślach ławki, szczęśliwe kuszetki obsrane przez szare gołębie, które piętro wyżej trzymały swoje gniazdo.

Kobieta szła całkiem porządnie, przesuwając stopy po wąskim chodniku mostu. Przed wejściem między ludzi zdjęła jej z oczu opaskę. Oczy, z których wysączał się lepki ślaz ropy mrużyła z własnej woli i świadomości, z zamkniętymi powiekami czuła się pewniej.

Do parku dotarli już po zmierzchu. Tam, na starym kocu, zrobili dla niej królewskie postanie. A sami, skuleni na jednej ławce, doczekali do rana kropiąc godziny nocy pięknym, liliowym denaturatem.

Stary podniósł ciężki wzrok znad raportu. Jego twarz wyrażała najwyższy stopień dezaprobaty.

– Poruczniku Chlebowski – wycedził przez zęby. – Czy jest coś, co by pan dodał do tego instruktażu złej roboty!?

– Nie, panie pułkowniku, to znaczy – tak.

Stary spojrzał pytająco.

– Dodałbym to, co sobie pomyślałem i jeszcze... kilka słów niecenzuralnych.

– Poruczniku Chlebowski, przypomnę, że to pan jest odpowiedzialny za całą akcję. A ponieważ nie widzę żadnych przekonujących dowodów, żeby miało to jakikolwiek związek z ochroną wizyty, którą od dzisiaj pan pokrywa, poruczniku – tu spojrzał wymownie na zegarek – zdejmuję was z tej sprawy. – Po czym szef Zarządu Kontrwywiadu westchnął, sam przed sobą przyznając się do błędu.

Konrad znał Starego zbyt dobrze, by nie wiedzieć, że rozmowa dobiegła

końca. Odmeldował się i wyszedł z gabinetu. Na zegarze przy windzie minął godzinę drugą piętnaście i pobiegł schodami w dół. Lecz zamiast skręcić w swój korytarz skierował się do wyjścia.

Pół godziny jazdy, sam na sam z maszyną dobrze mogło mu zrobić.

Normalni tajniacy nie jeżdżą prawdziwymi furami. Jego alfa, alfetta, czarna strzała, a były tylko dwie takie w Warszawie, budziła popłoch Urzędu.

– Zawsze możesz być gdzieś widziany – syczał Stary, ilekroć temat schodził na prywatne życie agentów. A prywatna była tylko ona, alfa gietefauka, pierwsza miłość i jedyna, półtora tysiąca godzin osobiście przepracowanych nad maszyną w kanale u Kotleta.

Z parkingu zjechał przez bramkę na ostrym gazie, z fasonem, na który sobie tu pozwalał. Pożegnał ospowatą twarz wartownika piskiem gumy i zniknął w gąszczu samochodów na Placu.

Wizyta księżnej była standardowo opracowana. Konrad chciał jednak jeszcze raz przemyśleć każdy szczegół. Jak w zwykłym życiu – tu też nieszczęścia lubiły chodzić parami. A biorąc po uwagę fakt, że tego dnia nie tylko zdążył osobiście wyważyć drzwi do mieszkania Karpia, lecz także wystąpił ośmiu ludzi z brygady antyterrorystycznej do Rozmusa, a oni... wiadomo, jak już wchodzi, to tylko „z drzwiami”, przystawiając broń do twarzy każdego napotkanego człowieka. Wszystkich położyli. Dziadka, babcię... Zrobiła się draka na całe miasto! Dziennikarze i hieny nadciągnęli w pół godziny. Do mieszkania obok, w ł a ś c i w e g o mieszkania Rozmusa weszli już grzecznie, na oczach tłumu rozbijając zamek...! Nie dało się tego zatuszować... Stary musiał mnie zdjąć... – pomyślał bez cienia złości.

– Jak to się mogło stać? Jak to się mogło stać? – krzyknął w chórze sześciu cylindrów.

Włączył radio, skręcił w Belwederską i kątem oka zerknął na Ambasadę. Nawet liść na drzewie nie drgnął za ogrodzeniem.... Paryż? Co może stamtąd wyjść? Potwierdzenie, że Rozmus był agentem? Coś więcej na temat SI-32? Francuzi wyglądali obiecująco, na pewno można by się było z nimi dogadać. Ale sprawy poszły dalej. Rozmus nie żył, co miało znaczyć, że temat był gorący, parzył palce.

Co się działo za parawanem przypadku pokaże sekcja – pomyślał – albo i nie pokaże, jak to już nie raz bywało....

– Teraz trzeba będzie samemu, żeby... – zamruczał półgłosem, resztę zdania połykając w myśli.

Co robi Dunin w tej chwili? Dunin je smażone jabłka w ekskluzywnej restauracji w towarzystwie żony Ambasadora Rosyjskiego.

– Aleksander Siergiejewicz Wiertow ma teraz gości, prawda?

– Z rana Francuzi prosili o spotkanie.

– Marina, chcesz pieczone jabłka? – nagle zmienił temat. Skinął na kelnera.

– Daj likier i pieczone jabłka.
Kobieta nazwana Mariną uśmiechnęła się swobodnie.
– A co tobie jabłka w głowie? Aleksandrze?
– Aleksandrze Siergiejewiczu – skarcił ją towarzysz po czym dodał pojednawczo – Francuzi zrobili mi prezent, że w takim towarzystwie mogę zjeść śniadanie.
– Tylko tyle? – było to coś więcej niż wyrzut. Zamieniła te słowa w ciężkie oskarżenie, patrząc na Dunina spod pięknych, migdałowych oczu.
– Marina. Marina. Kiedy ty się zmienisz? Mam dentystę.
– W Ambasadzie u Brytyjczyków leczy się też Nadina.
– Nie miałem pojęcia... – w jego tonie było zdziwienie.
– Ale co ich tak wzięło z samego rana to nie wiem!? – wypaliła nagle ona. Dunin aż podskoczył.
– No, no... O kim myślisz? O Francuzach?
– I to Ambasadora przystąpi, tego Dutronca.
– Interesujące... Opowiadaj, Marina.
– Więc mu powiedziałam, że zrobię zakupy. S a m a... Widzisz? Przez ciebie kłamię!...- dodała jeszcze coś szeptem, który odbił się od uszu kelnera.
– Pamiętasz, Marina, jak masz się ubrać w sobotę, na przyjęcie? – Dunin zmierzył ją oczami twardo, jak chłop babę – ... tak jak lubię...
– Aleksandrze Siergiejewiczu – spojrzała z wyrzutem – przecież, że pamiętam!
– Conjunetivitis gonorrhoeica, – zawyrokował ordynator oddziału, po czym pokiwał ze zdumieniem głową.
* Rzadki przypadek – dodał – bardzo rzadki. Od strony ginekologicznej nie stwierdzono zanieczyszczenia pochwy... a jednak gonokoki pochodzą z cewki moczowej.

Jak zwykle przy rannych obchodach kręcił się tłumek zaspanych studentów.

– Rzęzączkowe zapalenie spojówek powstaje w skutek mechanicznego przeniesienia do worka spojówkowego wydzieliny zawierającej gonokoki. A w wyniku tego mamy, proszę państwa, skutki w postaci... ś l e p o t y – wysyłał ostatnie słowo, ogarniając wzrokiem krąg zaspanych twarzy.

– A więc co podano? Kto to powie?

Odpowiedziała głucha cisza.

Konrad biegł korytarzem szpitala. Minuty dzieliły go od chwili, gdy miał zyskać pewność. Wiedział jak szukać. Dar instynktownego natarcia był w tym fachu nieodzowny. Tym razem rzuciło go na stare śmieci do Rejestru Osób Znalezionych. Pokój numer pięć – dobra znajoma, Sława. Albo tam, albo nigdzie. Chyba, że potem, później, już w kostnicy, gdzie po czasie znajdowali się prawie wszyscy...

Przeraził się na jej widok. Spowita welonem gazy przypominała gniazdo os, nie człowieka. Znalazł ją pod hasłem „kobieta niezidentyfikowana lat około trzydzieści pięć, w stanie ciężkim podrzuczona na izbę przyjęć”. Rzadki przypadek. Rzadkie szczęście.

Zawiadomił Zarząd, że rozpoznał Joan Chalat i w ciągu godziny był z powrotem u siebie. Zbliżała się szesnasta. W czwartek o tej porze według prywatnego planu wizyty księżna zwiedzała zamek. Dwóch ludzi raportowało co godzinę. Zaczynali leniwe popołudnie. Zajrzał do skrzynki mailowej. Z pięciu listów najpierw wybrał ten od Kotleta.

„Sorry, Konrad, ale tuteje i sinenbloki będą dopiero w przyszłym tygodniu. Jedziesz na zlot do Elbląga? Serdecznie pozdro z bazy starych parchów – Kotlet.”

Z powodów zasadniczych prywatna poczta rzadko na ten adres przychodziła, ale dla miłośników alfy, mężczyzn takich jak on, Konrad robił wyjątek – nie dopuszczał myśli o zdradzie.

Listy od Kici pominął. Otworzył ten od Dodo.

„Organizujemy kółko szachowe. Może byś wpadł?”

– Dodo... – syknął z zachwytu.

* * *

ROZDZIAŁ IX

Korespondencji od Joan już nie było. Zadziała automatyczna czyszczarka skrzynki. Poczta nie zabezpieczona specjalnym kodem znikła po dwudziestu czterech godzinach.

Przyjął informację z miasta. Księżna z Grigorijem jechali na późny obiad. Nagle zapragnął wiedzieć, co się dzieje z Joan. Leżała już w klinice, za co był wdzięczny Staremu. Mogli ją potraktować gorzej. Jako świadek nie korzystała z żadnych przywilejów. Konrad wiedział już, że sprawę o kryptonimie „Innowierca” przejął podpułkownik Maj. O czym to mogło świadczyć? Że temat potraktowano poważnie? Że nikogo innego nie było pod ręką?

Napisał krótki list:

„Za pół godziny w barze” – i wysłał do Dodo.

Wszedł do zakodowanych plików w teczce „Atu”. Maj należał do ludzi dobrze poinformowanych. Gdzie go nie było?! I kokaina, i NATO, i handel złotych niewolników! Oko w głowie Zarządu. Numer jeden poza strefą wpływów politycznych! „Uczulony” na punkcie broni. Z jakiegoś powodu nigdy tego tematu nie dostawał. Na rynku broni Maj był czysty jak łaźnia. Taki agent to skarb dla wywiadu. Podpułkownik Maj nie miał przy tym nadmiernie patriotycznego usposobienia, choć nikt rozsądny nie odmówiłby mu powagi. Dla Konrada pobudki jego służby nigdy nie były zbyt jasne. Maj lubił komfort, czystą robotę, a tu nie raz trzeba się było natrudzić, wysłać faks, rozliczyć pieniądze... Urząd to biuro jak inne.

Na korytarzu za bufetem stał Dodo z papierosem.

– No, jak tam? – uśmiechnął się na widok przyjaciela.

– Wiesz, że miałem skuchę z lokatorami na Chmielnej? Stary zdjął mnie ze sprawy...

– Aaa... „Innowierca”...?

– Tak. Dodo! Muszę mieć pewność, że Maj szuka agenta, który informował Sismi o ruchach papieża. Miałbym coś dla niego.

– Więc sam go zapytaj.

– Muszę mieć lekcje wyryte na blachę.

– Chodzi ci o tę sprawę sprzed dziesięciu lat?

– Hm... albo i nie sprzed dziesięciu...

– Zobaczą co się da zrobić...

– Dodo!... Mam mało czasu!

– Wiem, wiem, jak zwykle cholernie mało czasu. Jak to w szachach.

Rozumowanie Konrada szło w kierunku wymiany. Czuł przez skórę, że Maj jest zaangażowany w temat agentów włoskiego wywiadu wojskowego bynajmniej nie ze względu na stare sprawy. Konrad chciał go zwabić dyskieta, na której były teksty przesłuchania pewnego studenta z 1992 roku, których

oryginały, jak wiele innych dokumentów, zaginęły w trakcie likwidacji poprzedniego Wydziału kilka lat wcześniej.

Maj przejął „Innowiercę” równo dwadzieścia cztery godziny temu, kalkulował Konrad. Od tej pory zrobiono sekcję Rozmusa, przesłuchano Joan, ustalono, co się wydarzyło w Paryżu, a może i podjęto kontakt. Na przykład z Francuzami. Tak czy inaczej, Maj mógł dużo wiedzieć, a ta wiedza była teraz Konradowi potrzebna. W jego głowie rodziło się podejrzenie tak szalone i pozbawione sensu, że czym prędzej wrócił na stanowisko intercomu, żeby sprawdzić, co też robiła o tej porze księżna.

Nie mogłam wyłonić z mroku ani okrucucha światła. Czułam zapach szpitala, nie – szmer silnika. Buczały szpitalne klimatyzatory. To była ta dobra wiadomość. Zła była taka, że strach chodził mi od pięt po czubek głowy razem ze starym kawałkiem The Gladiators: „Bad boy, bad boy, whatcha gonna do, whatcha gonna do, when they come for you?”. Febra paranoica.

– Normalnie o tej porze mamy więcej pacjentów, – wyjaśnił kobiecy głos, słysząc moje pytanie:

– Is anybody there?

Potem odezwał się ten drugi głos. Męski. Powiedział, że Stefan nie żyje.

Zamurowało mnie.

– Halo? Tu Chlebowski. Pułkowniku, powinniśmy się spotkać...

Nieczęsto zdarzało mu się nie być na ty z człowiekiem z Urzędu. Od lat mijali się na tych samych korytarzach, chodzili w te same miejsca, jednak żaden z nich nie przejawiał ochoty do bliższej znajomości.

– Na jaki temat? – spytał z wyrafinowaną uprzejmością Maj.

– Na temat silników samochodowych. Chciał się pan przejechać alfą, o ile pamiętam.

W słuchawce zapadła cisza, po chwili jednak Maj podchwycił wątek:

– Kiedy?

– Za dwie godziny schodzę z dyżuru. Powiedzmy o dziesiątej.

– Nie ma sprawy. „Holiday”? Na parkingu?

Jest. Złapał. Konrad miał ułatwione zadanie dzięki inteligencji tego człowieka. Nawet w Urzędzie różnie z tym bywało. Nie miał pewności, czy Maj wiedział coś ciekawego, lecz najważniejsze teraz było odkrycie, że nie unikał spotkania. Mijał piątek. Nastąpiła zmiana frontu atmosferycznego, jak podawali w radiu. Cały dzień padało, wiatr pędził ulicami skłębione wiry liści, temperatura spadła do pięciu stopni, przefom lata i jesieni nie był najlepszą porą na wizyty. Księżna spędziła kilka godzin na obiedzie u Cz., z którymi łączyły ją stare rodzinne koneksje. Młody książę zwiedzał w tym czasie stajnie wyścigowe i Uniwersytet. W hotelu mieli pojawić się za godzinę.

Kiedy przed dziewiątą schodził ze służby mógł napisać:

„20.45. Piątek zgodnie z planem dobowym zamknięto. Meldunki tylko w nagłych przypadkach.”

Jechali w kierunku Gdańska. Na wysokości Łomianek Konrad pochylił się nad radioodtworaczem i włączył UB40.

– Nieźła maszynka – zauważył uprzejmie Maj, gdy dochodzili do dwustu dwudziestu na prostym odcinku drogi.

– Jechałem tym ostatnio na autostradzie w Niemczech... Zresztą pan zna szybkie przeloty, pułkowniku?

Maj uśmiechnął się, przenikając intencje Chlebowskiego. Konrad miał na myśli znany w całym Urzędzie raport w sprawie mandatów Maja, jakie ten zbierał na terenie Unii Europejskiej. Miał takie szczęście, a zwłaszcza Niemcy lubili go zawsze namierzyć.

– Mam coś – Konrad zmienił tempo, szybkościomierz pokazał nie więcej niż osiemdziesiąt na godzinę.

–...? – Maj nie był zaskoczony.

– Tekst przesłuchania Romana W. w sprawie kontaktów z Ambasadą Włoską między osiemdziesiątym dziewiątym a dziewięćdziesiątym pierwszym... – tym razem to Konrad zawiesił głos.

Jechali w ciszy jeszcze przez kilka kilometrów. Na wysokości stacji „British Petrol” Konrad zawrócił. Jadąc w stronę miasta obaj myśleli o tej transakcji. Maj grał w ciemno. Wymiany informacji między agentami zdarzały się niezbyt często. Kiedy jednak do nich dochodziło, były zazwyczaj pewne. Najmniejszy smród puszczonego między swoich oznaczał wyrok śmierci dla agenta. Śmierci w zawodzie, gdzie dyscyplina, odpowiedzialność i samowystarczalność jak alfa beta kappa były wartością niezmienną. Było jednak coś jeszcze. Bezlitosne wyroki czasu. Maj wszedł do służby za Gierka. Konrad był wilkiem „Solidarności”.

Wieczorami ruch samochodów na trasach wylotowych z miasta był znikomy. Po kwadransie podjeżdżali z powrotem pod Kongresową.

– Rozmus dostał serum i zaawansowany elektrolit, który zatrzymał pracę serca, zanim zdołał przestać Francuzom schemat konstrukcyjny SI-32 i potwierdzić, czy do Polski był przetrzucany taki ładunek ... Jeszcze jedno. Wykuczyliliśmy, że „Innowierca” może mieć związek z Ambasadą.

– Maj szeroko się uśmiechnął.

– Nieźle bryka... – jednym szarpnięciem wyrwał z tapicerki alfy korbkę do otwierania szyby – Oh, pardon!... Gdzie to położyć? – złamany maszcik chromowanego plastiku zatknął w kratce wentylacji.

Skusieś co najmniej raz, Maj. Niech zgadnę...Ach, tak! A m b a s a d a! – pomyślał Konrad, nie podając mu ręki.

Zielone cyfry na zegarze alfy pokazywały godzinę dziesiątą czterdzieści. Konrad wjechał w Aleje Jerozolimskie myśląc o Joan Chałat, o Laurencie Kabili, o scenariuszach filmowych, Marku Hfasko i zanim zdołał zaprotes-

tować alfa skierowała się na południe miasta, by wkrótce stanąć pod domem pewnej dziewczyny.

Konrad spędził tam następne osiem godzin. Jednak w tym czasie do niczego pomiędzy nimi nie doszło. Zaraz przy wejściu zażądał mocnej kawy, kanapek i adrenaliny w postaci czegoś do palenia, po czym zniknął w małym gabinecie, gdzie stał dobrze mu znany dwustugigabajtowy komputer IBM, zwany „Tadziem”. Przy jego pomocy chciał skonstruować obraz. Rozpisać orkiestrę splecionych dźwięków na jedną czytelną harmonię. Po sześciu godzinach wślizgnął się do łóżka dziewczyny, wiedząc, że Maj kłamał. „Tadzio” opisał „Innowiercę” jako agenta o dość wąskiej specjalizacji– znawcę medycyny. Skutki działania „Innowiercy” i metody przez niego stosowane wskazywały na Aleksandra Siergiejewicza Dunina, Radcę Handlowego Ambasady Rosji w Warszawie. Od kilku miesięcy Polacy wiedzieli od Sismi, że człowiek ten był podejrzany o spowodowanie śmierci pewnego dziennikarza w Rzymie. Białołosa otrutego atropiną. Strona polska nigdy nie podjęła obserwacji Dunina. Nie włączono procedury, a więc sprawy nie było. Została tylko notatka w brzuchu cyberprzestrzeni.

* * *

ROZDZIAŁ X

– Maj, jestem pod wrażeniem... Zarząd jest z pana zadowolony...
Maj przyjął te pochwały z uśmiechem.
– Co pańskim zdaniem należy robić? – szef liczył się z opiniami agentów prowadzących, choć decyzje były podejmowane niezależnie na poziomie Zarządu.
– Najważniejszy jest teraz Kola Jakaczyn. Jednak skoro Francuzi stracili z nim kontakt, my będziemy szukać go całymi tygodniami. Obserwacja rodziny nie będzie prosta. Wieś zabita dechami, gdzieś w pieremieszlańskim obwodzie. Trzeba działać bez rozgłosu. Szczegółowo opisano w raporcie, że Jakaczyn został zmuszony do sprzedania zdjęć przez matkę. Sama zgłosiła się do Konsulatu Francuskiego we Lwowie. Zaproponowała transakcję zdjęcia za gotówkę, żeby wykupić drugiego syna od czeczeńskich wojowników.
Byli w gabinecie sami. Milczenie, jakie zapadło było oznaką umyślowego wysiłku. Mózg Starego przeliczał dane z różnych źródeł. W końcu westchnął:
– Niech pan kontynuuje, Maj...
– Nie możemy liczyć na współpracę Francuzów. Dali nam wszystko, na co ich było stać i to wyłącznie dlatego, że Rozmus się spalił. Musieli przyznać, że dla nich pracował, musieli trochę lawirować, więc powiedzieli to czy tamto. Ale wszystko to mało, bardzo mało... Najważniejsze nie zostało powiedziane. SI -32 to gorący temat, dla nich także. Wszyscy tego szukają. Każdy chciałby to mieć. Dlatego... sądzę – słowa wydawały się padać nieuchronnie – sądzę, że należy... użyć świadka.
– Co pan przez to rozumie, Maj?
– Joan Chalát jest nam dzisiaj potrzebna, panie pułkowniku. Musimy ją wsadzić na przyjęcie do Ambasady. Liczymy na to, że zostanie rozpoznana. Bardzo na to liczymy.
– To znaczy – liczycie na przypadek! Jakie przesłanki wskazują na Ambasadę? Przecież ten Jakaczyn pojawił się całkiem z offu.
– Tak, panie pułkowniku.
– Jaki to ma związek z Ambasadą?
– Jedna z hipotez mówi, że Jakaczyn brał udział w przerwaniu SI –32 na polską stronę. I wtedy wplątała mu się własna matka. W rezultacie zdradził wszystkich. Najpierw sprzedał Francuzom schematy, a potem sam wykonał wyrok na Rozmusie. Ale jest szereg pytań. Skąd taki, pan pułkownik wybaczy, ukraiński dupek ze wsi miał zdjęcia, za którymi ugania się pół świata? Dla kogo pracował? Nie sądzę, żeby w swej dyspozycji miał środki tak wyrafinowane jak to, co podano Rozmusowi. Robił to fachowiec. Nawet skóra przy iniekcji nie została drażnięta. Z drugiej strony od miesiący nie

odnotowaliśmy żadnych ciekawych wizyt z Rosji. A jednak Jakaczyn miał nie tylko schematy, lecz także wsparcie wystarczające, by pozbyć się Rozmusa i zniknąć.

– Wnioski?
– Tylko takie, że szukamy po omacku. Dlatego proszę o wejście na teren Ambasady ze świadkiem.
– P r e w e n c y j n i e.
– Tu mam informację – stary pułkownik zaczął przerzucać papiery wielostronicowego raportu – że Chalát jest hospitalizowana, zakażone oczy, przewidziana do dłuższej obserwacji, w szoku... Kogo pan chce, na Miłość Boską, wystać na przyjęcie d z i ś wieczorem?
– Nalegam, żeby nie cofać się przed tym krokiem. Ubezpieczymy jej wejście, byłem w klinice dwie godziny temu, ona ma się już całkiem dobrze... Moim zadaniem jest znaleźć tego skurwiela. Jeśli dziś stracę okazję, która sama wchodzi nam w ręce, możemy błędzić przez następne miesiące.
– Ma pan osobisty pogląd na temat powodów, dla których SI-32 pojawiło się na naszym terenie?
– Chodzi o akt terroru, co do tego możemy mieć pewność. Ale kto gra i przeciw komu – tego musimy się dopiero dowiedzieć.
Koniec rozmowy. Stary w dalszym ciągu nie podniósł wzroku znad papierów. Spojrzał na zegarek.
– Za dwie godziny, o dziesiątej.
– Panie pułkowniku, w rozkazie muszę dostać transport śmigłowcem i „Skeleton”.
– A wam się wydaje, Maj, że ja ją puszczę bez t e g o?!
Dunin wysiadł z taksówki na ulicy Sokolej, na wprost wejścia do tunelu, lecz zamiast skierować się na lewo, w stronę stadionu – zniknął na tyłach strzeżonego parkingu. Dochodziła trzecia. W sobotę na największym stadionie miasta nie toczą się turnieje sportowe. Dunin wiedział, gdzie kupić broń krótką, kto ma plastik, kto handluje walutą i kamieniami, znał tutejsze dziwki, co prawda tylko z widzenia, bo sam nigdy nie próbował z tego drzewa. W jego cieniu załatwiał swoje sprawy. Nie był tu częstym gościem. Nie nadużywał schronienia, jakie dawało mrowisko tysięcy blaszanych bud, odmęty Wietnamu, Chin, Rosji, Ukrainy, Armenii...
Buda Iwana stała na uboczu głównej arterii stadionu. Jej cechą charakterystyczną był brak jakichkolwiek cech, które mogłyby ją wyróżnić z szeregu brunatnych blaszaków.
O ladę stała oparta Hała, żona Iwana.
– Zdrowenki buty gospodyni, – zagadał po ukraińsku.
– Dobroho dna, welme szanownyj pane.
– No i szto? Nareszcie doczekalisa pohody...?
– Majmu nadzieju, szto tak...Zahodte, proszu pana, tamże na was czekajut...

Dunin skinął głową na pożegnanie i zniknął w środku.

Na płóciennym rybackim stołku siedział w kącie, w półmroku Kola Jakaczyn. Metr od jego głowy sapał miniaturowy ekran telewizora. Kola beznamyślnie pilnował wzrokiem cycatej blondyny okładającej strumieniem ognia wrak samolotu.

Dunin pojawił się we wnętrzu budy niezauważony i przez dłuższą chwilę obserwował nerwowy gest Koli, z jakim ten wyginał stawy w palcach obu dłoni.

– Sabaka... – Dunin syknął nad uchem siedzącego, że ten aż podskoczył.

– Aleksander Siergiejewicz ... wreszcie...

– Gotowy?

– Gotowy.

– Jak się dziś dobrze sprawisz, wieczorem będzie po wszystkim.

– Po wszystkim... – powtórzył Kola.

– Milcz, ja ci mówię i po mnie nie powtarzaj! Jak? Wszystko zrobiesz?

– Zrobiłem, Aleksandrze Siergiejewiczu.

– Mów!

– Tam, gdzieście mi powiedzieli wszedłem do korytarza... Drzwi nie były zamknięte, ale i tak trzeba było wyważać. Ile to lat nikt ich nie otwierał!? W środku jakaś arena, jakiś cyrk czy co?

– Teatr. Mów dalej.

– Jak u szerszeni – w górę trzy piętra z cegły wymurowane gniazda, ale tam nie poszedłem, tylko prosto do korytarza na lewo, jakżeście kazali, Aleksandrze Sie.....

– Przestań, durny z tym. Zamontowałeś?

– Zamontowałem. W korytarzu na dwudziestym metrze. Słyszałem, jak samochody przejeżdżały.

– Blokady zdjęte?

– Zdjęte według opisu. Czujnik oswobodzony z masy, antena wyciągnięta na dziesięć centymetrów.

Dunin podał mu żółtą plastikową torbę z rysunkiem lwa dosiadającego ok-rakiem osła.

– Patrz, co masz – rozkazał.

Kola wyjął plik dokumentów na nazwisko Grzegorz Kulawiec – polski dowód tożsamości bez piątej strony, w stanie wskazującym na ciężki los właściciela, przetarte zaświadczenie z Urzędu Pracy, fotografię grubej dziewczynki sprzed kościoła, bilet kolejowy z Częstochowy do Rączki, dwa bilety miejskiej komunikacji.

Na dnie torby leżało grafitowe pudełko wielkości futerału od zegarka, jak skała szare i twarde.

– No, otwieraj – ponaglał go Dunin – otwieraj!

Kola z nieufnością, ostrożnie zaczął obracać w dłoni przedmiot przyniesiony

w torbie z lwem i z ostem. Coś jakby futerał na okulary, nieco dłuższy i bardziej spłaszczony. Po kilku minutach zdołał określić linię przecięcia grafitowego bloku, lecz był on tak szczelnie zamknięty, że twarz Koli przybrała wyraz bezradności. Na ten widok nawet Dunin nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Wyjął sześciokąt z rąk Jakaczyna, zwrócił się twarzą na zachód, szukając w pamięci iglicy Pałacu Kultury, jak ludzie nazywali tu pomnik Josifa Wissarionowicza Stalina. Pudełko położył na otwartej dłoni drugą szczelnie je przykrywając, jakby chronił motyla. Stał tak przez trzy, cztery minuty, aż ciepło ludzkiego ciała podniosło temperaturę stopu o pięć stopni. Poruszył pokrywą pudełka, a ta ustąpiła, jakby ją odessało. W środku leżał w gąbczastej koi niewielkich rozmiarów sterownik z dwoma przyciskami – zielonym i szarym.

– Sterownik, durny, oto i sterownik.

Kola obserwował widowisko z napięciem zmarszczonych brwi.

– Sterownik, Aleksandrze Siergieje...

– Milcz. Wiesz, co masz zrobić? Pamiętasz?

– Sterownik zawsze kierować na iglicę. Po wszystkim wetknąć za kratę nieczynnej szatni, po lewej stronie, na samym dole.

– A pudełko?

– Pudełko osobno likwidować – jedną pokrywę od razu jak się da, drugą w rzece.

– No, chociaż tyle potrafisz. Jutro z samego rana autobus do Rogoźna.

– Tak jest, szósta trzydzieści.

– Otóż to Jakaczyn. A teraz, wystaw rękę – twoja kolej.

– Aleksandrze Siergiejewiczu! A to na co?!

– Mam coś, po czym poczujesz się lepiej...jeszcze lepiej...

Dunin wyciągnął z wewnętrznej kieszeni płaszcza sterylnie zapakowany kompakt do tradycyjnej iniekcji.

– Podciągnij wyżej rękaw, Kola, mówię tobie!

Jakaczyn stał jak zamurowany. Dunin szarpnął go i obnażył solidnie zbudowane ramię.

– Domięśniowo – zamruczał ledwie słyszalnym szeptem – opóźnione działanie....

* * *

ROZDZIAŁ XI

Ostatni dzień pobytu Wielkiej Księżnej Marii i następcy tronu Księcia Grigorija zaczął się dość niefortunnie. Zgłoszono dwa głuche telefony do apartamentu, z pominięciem sekretarza, pana Borodina. Księżna przekonana, że nie były to połączenia przypadkowe, wyraziła głębokie zaniepokojenie, zwłaszcza że recepcja potwierdzaławołanie numeru z miasta, przez mężczyznę, po angielsku. Sekretarz Borodin zwrócił się o wyjaśnienie incydentu do strony polskiej.

– Nie mamy zwyczaju zapisywać personaliów osób dzwoniących do naszych gości, – kierownik recepcji skwitował gorzkim tonem pytania podoficera, którego Konrad wystąpił na pierwszy ogień do hotelu.

Była sobota, dziesiąta rano, a Chlebowski miał jeszcze dużo do zrobienia. Nie był pewien czy scenariusz, jaki powstał w jego głowie, był prawdziwy, od „Tadzia” wiedział jednak, że prawdopodobieństwo zamachu na Grigorija w czasie tej wizyty było jak jeden do pięciu. Wobec spokojnego przebiegu ostatnich dni mógł oczywiście sądzić, że teoria ryzyka mija się z doświadczeniem życia, lecz analizy wskazywały, że sytuacja, zwłaszcza po powrocie do polityki bułgarskiego cara Symeona II, konsoliduje najbardziej anarchistyczne frakcje komunistycznego betonu. Nie wiedział, skąd miałyby w tym przypadku płynąć inspiracje, lecz agenci ze wschodu nie od dziś informowali o gotującym się tyglu nastrojów antymonarchistycznych, o radykalnych fanatykach Wielkiej Rosji, o faszystach, o grupach terroru. Nad tym Chlebowski nie chciał się jednak zastanawiać. Jego wnioski nie wykluczały w każdym razie strategicznego udziału byłych kagiebowców, a stąd wiódł interesujący wątek przez całą północną Azję – na Kamczatkę. W bazie floty podwodnej w Jereminie – o której Polska wiedziała więcej od amerykańskiego Echelonu, systemu monitoringu jeszcze z czasów zimnej wojny, niż z wojskowego kontrwywiadu – pilnie strzeżono wielu sekretów Floty Pacyfiku. SI-32, supernowoczesna bomba bliskiego zasięgu, jest i istniała, mogła się stamtąd wydostać do Kongo-Kinszasa wyłącznie kanałami byłego wywiadu przez sieć KGB lub GRU, które do dziś dnia dysponowały „zamrożonymi” agentami, zamieniając ich powoli w terrorystycznych zakładników mafii.

Konrad z trudem posuwał się w rozumowaniu. Skąd Francuzi wiedzieli o SI-32? Maj to przemilczał, a trudno byłoby liczyć na drugą rozmowę. Powiedział natomiast wyraźnie:

„Innowiercy nie szukamy w Ambasadzie”. Konrad instynktownie wyczuwał w tym fałsz. Zwłaszcza, że „Tadzio” kilkakrotnie wyrzucał z siebie Dunina. Zakładając, że w środowisku Ambasady był człowiek lub grupa, ta druga możliwość wydawała się już mniej prawdopodobna, którego zadaniem było zdetonować bombę w jakiś okolicznościach lub po jakimś sygnale, Konrad

mógł dowolnie puścić wodze fantazji. Teoretycznie atak mógł nastąpić w każdej chwili, zwłaszcza, że nic nie wskazywało na to, żeby Maj brał taką ewentualność pod uwagę. Dodo stanowczo twierdził, że Zarząd nie wykonuje żadnych ruchów w stronę Gabinetu Premiera. Wyjęcie kogokolwiek z jakiegokolwiek ambasady zaczyna się od samej góry...

– Jeszcze go szukają... – zamruczał pod nosem i włączył program GPS do monitoringu miasta z uwzględnieniem sieci kanalizacyjno-energetycznej. Dokładność przekazu satelitarnego lryd wynosiła półtora metra, żaden obiekt powyżej dziesięciu centymetrów kwadratowych powierzchni nie mógł ukryć się przed inwigilacją.

Jego oczom ukazał się obraz największego placu Europy na głębokości dwudziestu metrów. Wybrał opcję geologiczną i przesunął mapę, szukając Metra. „Iły mioceńskie” – przeczytał napis nad strzałką. „Głębokość 12,5 metra”. Wrócił do poziomu podstawowego. Program korzystał z bazy zdjęć satelitarnych tak precyzyjnych, że przy zbliżeniu mógł oglądać każdą dziurę w asfalcie. Przeglądanie odcinków trasy, którą o dwunastej w południe miała przemierzać limuzyna księżnej, wyglądało na zabawę.

Nowy Świat, Krakowskie Przedmieście, tu wszędzie kupa ludzi, – odnotował Konrad w myśli. Dalej, droga na Wilanów. Sobota, pierwsza w południe, wycieczki grupowe, ludzie spacerują, wszędzie pełno dzieci. Według planu księżna wchodzi bocznym wejściem. Czekają już na nią dawna właścicielka. Jest z nimi księżę i sekretarz Borodin. Nikt więcej. Konrad zakreślił kursorem miejsce wokół pałacu. Pierwszy czerwony znacznik.

Po wczesnym obiedzie z dyrektorem pałacu księżęca rodzina około piętnastej wsiada do mercedesa. Sekretarz jedzie za nimi, prowadząc volvo. Pojazdy są cały czas obserwowane z nissana przez dwóch ludzi. Praktycznie nic nie może się wydarzyć. Ale poranne telefony wskazują, że może być inaczej. Jeśli nawet miały one coś znaczyć, Konrad nie chciał się teraz nad tym zastanawiać. Czuł spieczę, walkę z czasem, poruszał się po ekranie komputera, co chwilę sprawdzając aktualny czas. Zerknął w zapiski itinerera. O szesnastej księżna z Grigorijem wraca do hotelu. Godzinę później bagaże odjadą taksówką hotelową w stronę lotniska.

Czy Grigorij chce pójść na basen? Robił to codziennie, o różnych porach, w sposób nieprzewidywalny. W czwartek był dwa razy...

Konrad zaznaczył obszar przylegający do hotelu. Do osiemnastej nie planowano żadnych wypraw w miasto, dopiero teraz razem z Borodinem wsiadają do mercedesa (samochód sekretarza ma być w tym czasie oddany do wypożyczalni) i prosto, przez Trakt Królewski pojedą na koktail do Ambasady. Taki przejazd, pod nosem Rady Ministrów, nie dawał terrorystom żadnego punktu zaczepienia.

Do przejścia ostatni odcinek trasy z Belwederskiej przez Plac Trzech Krzyży, gdzie Grigorij chciał rzucić okiem na nowy budynek ING Barings.

Tak przynajmniej napisano w oficjalnym liście Borodina do Ministerstwa Spraw Zagranicznych przedstawiając plan prywatnej wizyty księżnej.

– Czy zechce wysiadać z samochodu? – zapytał samego siebie Konrad. – Może chcieć – zamruczał, zaznaczając trzecim czerwonym paskiem obszar korytarza od Rozbrat do wylotu Mokotowskiej na Placu. – Stamtąd mercedes bezpiecznie mógłby już jechać na Okęcie.

J e ż e l i to będzie mercedes, pomyślał, patrząc na zegarek. Dochodziła jedenasta. Zamierzał zmienić kilka rzeczy w tym planie...

Otworzył skrzynkę poczty i napisał krótki list do Dodo:

„Bilans – trzy strzały, lecz niepewne trafienia.”

Dołączył mapę z zaznaczonymi na czerwono strefami. Teraz Dodo, geniusz strategicznych gier, jeśli zechce – podejmie polowanie. Chlebowski sięgnął do intercomu i wywołał nissana z miasta...

– Sierżancie, zawiadomcie zaraz sekretarza Borodina, że będzie miał gościa z Urzędu Ochrony Państwa.

Pół godziny później, za kwadrans dwunasta, sekretarz Borodin zszedł do hotelowego baru. Rozmowa toczyła się po rosyjsku i trwała nie dłużej niż kwadrans.

Chlebowski dał do zrozumienia, czego Borodin nie omieszkał skwitować kwaśnym uśmiechem, że nie mieli do czynienia z faktami, a jedynie z insynuacją. Jednak względy bezpieczeństwa i zdrowy rozsądek, jak wyraził się porucznik, nakazywały przyjąć, że grupa skinheadów zamierza zaatakować osobiście księcia Grigorija przez napaść słowną, a może bezpośrednio, z uwagi na zbliżającą się za niespełna dziesięć dni rocznicę Bitwy Warszawskiej,

– Ależ jak może pan, poruczniku, sugerować jakikolwiek związek rodziny Romanowów z tą datą? Jest to daleko idący nietakt! Przecież to właśnie księżę jest ofiarą tragicznego wypędzenia przez Czerwonych!

Konrad przybrał minę idioty i bez wahania wypalił:

– Urząd Ochrony Państwa też jest zawiedziony, ale moje kompetencje nie sięgają tak daleko, by to analizować. Siedemnasty września jest tu aż nadto źle kojarzony z Rosją – kłamał bez mrugnienia okiem.

– Ale skinheadzi! – Borodin aż huczał z gniewu – przecież oni w całej Rosji sympatyzują z rodziną, z tego, co wiem... w Polsce także...

– Niestety – Konrad pokiwał głową – dodam, że w niczym interesie nie leży nadawanie tej sprawie rozgłosu. Stąd sugestia, żeby pod jakimkolwiek pozorem zrezygnowano z niektórych punktów programu wizyty w dniu dzisiejszym...

Borodin chrząknął dając do zrozumienia, co myśli o tej koncepcji:

– Proszę kontynuować, poruczniku.

– Chodzi o obiad w Wilanowie oraz zwiedzanie ING Barings przed wylotem

do Kopenhagi, a także sugestią, żeby w dniu dzisiejszym nie korzystać już z basenu hotelowego.

Konrad niewinnym wzrokiem odparł wyzywające spojrzenie Borodina, zanim ten wyskoczył z klubowego fotela waląc zwiniętą gazetą w blacik szklanego stołu.

– Nieprawdopodobne! Czy nie sądzi pan, poruczniku, że wasz Urząd przesadza z ostrożnością? I to teraz, na koniec wizyty, po trzech dniach spędzonych w tym mieście?!

– Aha, i jeszcze jedno. Moim zadaniem jest skłonić pana do korzystania z transportu hotelowego w drodze na lotnisko.

– Co pan powie!

– Tu też mają mercedesy...

– To wszystko, czego oczekujecie od księżnej?

– Wszystko... panie p u ł k o w n i k u.

Borodin podniósł wysoko brwi i nie zaprotestował, zaskoczony przenikliwością rozmówcy i jego wiedzą na swój temat. Ciężko opadł w zagłębienie fotela.

– Zobaczą, co się da zrobić... A teraz żegnaj was, poruczniku, na dobre.

Było to dziwne ubranie. Przezroczyste, ściśle przylegające do ciała kombinezon ze srebrzystej siatki. Z powodzeniem mógł zdobić choreograficzne dzieło Bójarta. Nazwa „Skeleton” wyrażała istotę jego przeznaczenia – zastąpienie ludzkiego szkieletu. Przede wszystkim siatka ceramiczna o strukturze tak finyzyjnej, jakby plecionej z niewidocznych włókien, podłączona do siłowników wzmacniała ruchy człowieka przez nieustanną stymulację mięśni. Drobne węzły pokrywające kombinezon reagowały na najmniejsze bodźce organizmu, dzięki czemu centralnie monitorowano nawet z odległości kilku kilometrów stan psychosomatyczny człowieka – pracę serca, ciśnienie krwi, temperaturę ciała, pobudzenie nerwowe, a nawet procesy hormonalne – wzmocnione wydzielanie adrenaliny czy estrogeny.

„Skeleton” mógł być dowolnie kombinowany z pracą mikroskopijnych kamer, noktowizjerem, chipowymi słuchawkami wprowadzanymi za pomocą drenów do jamy ustnej oraz monitorowaniem akustycznym otoczenia. Najdziwniejsze jednak w tym ubraniu było to, że oryginalny polski patent zawstydziłby Agencję Zaawansowanych Projektów Badawczych NASA, która na zlecenie amerykańskiej armii opracowała podobny kombinezon.

Joan stała nago w niewielkim pomieszczeniu z trzema drzwiami, ale za to bez okien, na terenie Wojskowego Ośrodka Szkolenia i Wdrożeń, o którym niewiele można powiedzieć, gdyż ukryty w lasach białostockich nie posiadał adresu. Po przeciwnej stronie blatu wysłanego folią przypominającą aluminium stała inżynier Margolis i pochyłona nad konsolą z ciekłokrystalicznym ekranem przesuwiała po nim palcem.

– Dobrze – powiedziała w końcu – podobno mamy niewiele czasu.

Po raz pierwszy spojrzała na Joan.

– Moim zadaniem jest panią uzbroić. Przystępujemy do dostrajania. Proszę niezwłocznie informować mnie o wszelkich odczuciach niewygody. Ustawione poziomy odpowiadają pani lambda, z uwzględnieniem wskazówek lekarza, ale mogą wystąpić objawy takie jak swąd, pieczenie, bóle organów wewnętrznych. W takim przypadku musimy się podstroić. Czy pani zrozumiała?

Na tym poziomie gry porozumienie było konieczne.

Joan nie skinęła nawet głową. Nie miała zamiaru odpowiadać. Upierała się ignorować otoczenie od czterech godzin, odkąd została poinformowana, że weźmie udział w akcji polskiego kontrwywiadu na terenie Ambasady Rosji w Warszawie. Pierwszy raz w życiu leciała tego dnia Bellem.

Kombinezon był dobrze dostrojony. Inżynier Margolis w stopniu majora wojsk lądowych wydawała się zadowolona. W drzwiach pojawił się żołnierz z ochrony i zameldował czyjeś przybycie. Po chwili w progu stał już Maj i mierzył Joan spojrzeniem:

– Cieszę się, że wyraziła pani zgodę.

Na jego widok Joan gwałtownie się poruszyła. Inżynier Margolis spojrzała na konsolę i wydała okrzyk radości:

– Świetnie, świetnie, wszystko działa, niech pan spojrzy, pułkowniku, adrenalina – 140% normy. Poważne pobudzenie nerwowe!...

* Joan – Maj westchnął, jakby z niechęcią przyjmował rolę kata – mogłaby się pani oczywiście nie zgodzić, ale to by pani nic nie dało. Powiedzmy sobie szczerze... t a k i świadek jest dla nich niebezpieczny. Tak czy inaczej jest pani skazana na konfrontację. Nie dziś to jutro. Stoi pani na linii ognia. Spróbujemy ich wyłowić dziś zanim oni wyłowią panią. They'll come for you. You know what I mean?

*

– Shut up! – rzuciła tak niespodziewanie twardym tonem, że Maj aż podskoczył, zacierając ręce.

– No, to do roboty.

Miał na myśli kamery, których instalacja musiała zająć co najmniej kwadrans. Najpóźniej za dwie godziny powinni lądować na lotnisku wojskowym w Mińsku Mazowieckim. Tam przygotowano też dla Joan stanowisko charakteryzacji i transport do Warszawy.

– Dziękuję, pani major – zwrócił się do Margolis – w imieniu Zarządu.

Spojrzała na niego poważnie:

– Pan wie, pułkowniku, że my to t e s t u j e m y? Wszystko może się zdarzyć...

Maj zatarł ręce.

– Mam nadzieję.

Nie widział w Joan niczego, co zasługiwałoby na chwilę zwątpienia.

* * *

ROZDZIAŁ XII

Punkt osiemnasta Kola Jakaczyn ogolony, w zielonej wiatrówce i niezbyt czystych spodniach opuścił stadion kierując się w stronę przystanku tramwajowego. Przeczekał kilkanaście wagoników popstrzonych reklamami i wsiadł do „czwórki”, gdzie bez zwłoki skasował bilet. Najgorsze wpadki zdarzają się z głupich powodów.

W rękę trzymał plastikową torbę z lwem dosiadającym ośła, w którą ręką Hali włożyła na polecenie Dunina proste atrybuty codzienności – popularną gazetę i kanpkę z grubo krojonym salcesonem. Przejechałszy trzy przystanki wysiadł przy rondzie de Gaulle'a i nieśpiesznie, spacerem przeszedł w ciągu kilku minut na Plac Trzech Krzyży. Stamtąd zawrócił w stronę Wisły chodnikiem wijącym się wzdłuż skarpy i po chwili wylądował w małym parku u stóp ulicy Książęcej. Znalazł spokojną, ocienioną ławkę, przystanął. Znał to miejsce sprzed dwunastu godzin. Źródło wody oligoceńskiej w wilgotnej, kamiennej rotundzie, pokryty lekką rzęsą staw, dwa łabędzie i ukryte w skarpie wejście do korytarzy, które Dunin nazywał obco brzmiącym słowem „E l i z e u m”. Sobotnie popołudnie wyludniło parki. Niezauważony rozsiadł się na ławce, wyjął z torby gazetę i długi czas studiował kolejne strony, jakby cokolwiek interesującego było tam napisane. W rzeczywistości nie znał tego alfabetu.

Dochodziła siódma wieczorem. Bolało go ramię, nawet mruknął półgłosem:

– Zastrany zastrzyk...

Wystawił twarz na ostatnie promienie zachodzącego słońca. Dzień był wyjątkowo upalny, jak na chłody, które panowały tego roku.

Wiedział, że spokój tej chwili zaraz minie, a praca, którą miał wykonać w najlepszym razie zakończy się dwadzieścia cztery godziny później, gdy przestąpi próg chaty. Kola Jakaczyn pomyślał, że na wsi przyjemniej żyć niż w smrodzie miasta. I umierać też przyjemniej. Zatęsknił do swoich i z ciężkim sercem ruszył w dalszą drogę.

Jego cel znajdował się nie więcej niż sto metrów od miejsca, gdzie stała ławka, lecz dla siebie tylko znanych powodów minął Szpital Czerniakowski i przeszedł jeszcze pół kilometra dalej, uważnie wypatrując zejścia nad rzekę. Upewniwszy się, że nie spotka na swej drodze żadnych niebezpieczeństw, zawrócił, idąc tym razem chodnikiem pod drugiej stronie ulicy, której nazwę znał od Dunina. Solec. Miał jeszcze kwadrans.

Samochód marki volkswagen Transporter z blaszaną budą i bez żadnych dodatkowych oznakowań stał na Placu Unii Lubelskiej pod nieczynną pocztą. Kierowca dawno już go opuścił i nic nie wskazywało na to, by miał jeszcze tego dnia wrócić. Trudno się było także spodziewać, by za zamkniętymi drzwiami transportera działo się cokolwiek.

A jednak uważny obserwator zauważyłby moment, gdy zareagowały amortyzatory. W środku mógł być pies albo człowiek. W rzeczywistości siedzieli tam troje ludzi rejestrujących najdrobniejsze zmiany obrazów na konsoli zmontowanej z kilku japońskich monitorów. Komentarze, które padały w miarę upływu czasu, zasadniczo nie należały do mundurowego żargonu. Zwłaszcza dwaj mężczyźni zachowywali się swobodnie i bez żenady wymieniali zaczepne uwagi:

– Mówię ci, idioto, zoomem będzie lepiej.

– Nie daję zoomu, t y i d i o t o, bo bym stracił z pola widzenia kupę ludzi – upierał się niski blondyn siedzący pośrodku konsoli.

Trudno było się zorientować, skąd pochodziły obrazy podawane na monitorach – ruchome i tak nieprzewidywalne, jakby nikt nad nimi nie panował.

Trzeci z mężczyzn siedział w skupieniu na wprost ekranu komputera i co pewien czas meldował:

– Adrenalina sto dwadzieścia procent, temperatura w okolicy lędźwiowej podniosła się o dwa stopnie, ciśnienie krwi w normie.

Dwóch pozostałych z temperamentem dopingowało pracę kamer, choć te rzadko reagowały po ich myśli.

– Teraz, do przodu, do przodu! – zasyczał blondyn.

– Zostaw ją, kurwa, niech leci, gdzie chce... – burknął z boku wąsaty brunet w T-shircie. – Zawsze masz coś do powiedzenia!

– Ale sam widzisz, jak się ustawiła! Pod ścianą! – oponował mały.

– Ty byś tam poszedł, to byś się zeszczął ze strachu!

– Proszę natychmiast zaprzestać! – odezwał się poważny głos w intercomie.

Kto by pozwolił na takie zachowanie, gdyby nie fakt, że mały wraz z kolegą byli najlepszymi fachowcami od monitoringu „Skeletonu”, jakich mogła wystawić Akademia Wojskowa! Żaden z nich nie był w służbie mundurowej, co samo w sobie było już nadzwyczajnym złamaniem reguł. Jeden nazywał się Krok, drugi Półtorak.

– Najazd na siwego – padła komenda z intercomu.

Krok kilkoma ruchami zmienił na klawiaturze parametry konsoli i nagle obraz zaczął się przybliżać do twarzy mężczyzny w wieku lat pięćdziesięciu z okładem, który wyraźnie patrzył w sam środek obiektywu.

– Zdjęcie? – zapytał Półtorak.

– Zdjęcie – potwierdził niezadowolony głos oficera, jakby było to coś oczywistego.

Po chwili na trzecim ekranie pojawiła się stopklatka z nieco poruszonym portretem siwego.

– Dalej, przegląd! – zamruczał intercom.

Duży elektroniczny wyświetlacz zegara nad głowami siedzących pokazywał

siódmą dwadzieścia cztery.

– Poszła – Krok wlepił oczy w przesuwające się obrazy bankietu. Choć sprawiało to wrażenie tłumy, mogło być nie więcej niż sto osób.

– Gdzie ona idzie, do cholery?! – obraz z obydwu kamer zamazał się gwałtownie, po czym zobaczyli faktury ścian, szybkie panoramy wzdłuż okien, postacie ludzi były coraz rzadsze, obrazy z kamer przesuwały się, falując w rytmie szybkich kroków biegnącego człowieka.

– Idzie do klopa...

– Półtorak, ciebie trzeba związać – ofuknął go Krok i rzucił w stronę intercomu:

– Co robić?

– Nie interweniować.

Po chwili kamera pokazała obraz marmurowych ścian, wewnątrz ogromnej łazienki.

– Wyrzyga się – zawołał Półtorak.

– Dała nogę... – postukał się palcem w głowę Krok.

Jedna z kamer pokazała wnętrze muszli klozetowej. Po chwili obraz się ustabilizował, dokładnie w chwili, gdy postać tak ściśle połączona z kamerą zaczęła wymiotować masą piany i nieprzetrawionych resztek.

– O, Boże! – tego widoku nikt się nie spodziewał.

– Adrenalina dziewięćdziesiąt stopni, estrogen idzie do zero siedem, ale jest jeszcze w skali, temperatura ciała spadła o pół stopnia do trzydziestu sześciu, meldować dalej?

– Wystarczy.

W budzie volkswagena zapadła cisza. Zobaczyli w lustrze twarz kobiety w nienaturalnie przekrzywionym, rudym koku. Myła ręce – strumień wody w obrazie cyfrowym robił wrażenie gorącej lawy. W końcu kobieta przerwała ablucję i skierowała się do wyjścia. Kamery przesuwały się teraz przez tłum na głównej sali (monitoring odnotowywał zawsze dwa obrazy, z przodu i z tyłu), po czym opuściły budynek. Odczuli wibrację schodów, zobaczyli podjazd, służbowe limuzyny z kierowcami palącymi papierosy i po chwili oddalali się już od ogrodzenia otaczającego teren Ambasady.

– Podjeżdża wóz, taksówka, biały mercedes, numer boczny sto jeden. Skierujcie ją na północ, do Łazienek.

Półtorak otworzył kanał mikrofonu:

– Jesteśmy z tobą, za chwilę zdejmie cię taksówka, biały mercedes, numer boczny sto jeden, idź tak jak teraz, w górę. W porządku?

Obraz zakotłosał się, prawie dotknął ziemi, lecz zamiast upaść kobieta sunęła dalej, co w volkswagenie przyjęto ciężkim westchnieniem ulgi.

– Niech na pasach nie przechodzi na drugą stronę! – ostrzegł głos w intercomie, lecz zanim Półtorak zdążył powtórzyć polecenie, zobaczyli z bliska numer boczny taksówki, kobieta otworzyła drzwi i wsiadła do środka. Jedna

z kamer jeszcze raz pokazała oświetloną fasadę Ambasady, którą taksówka mijająca przez kilka sekund. Pierwszy zagadał Póttorak:

– Cała i zdrowa?

– Fuck off – wyraźnie odpowiedziała kobieta, skrobiąc paznokciem mikroskopijski obiektyw wszyty w kołnierz eleganckiego, wieczorowego bolera.

– Spadaj... – Póttorak wyłączył mikrofon i rzucił na pulpit słuchawki.

Po dwóch kwadransach taksówka podjechała do wysokiego ogrodzenia. Zatrzymał ich wartownik wojsk lądowych. Kierowca odwrócił twarz do Joan i pierwszy raz od dawna usłyszała głos normalnego człowieka:

– Miał być Konstancin – jest Konstancin. Pasuje?

Zsunęła z głowy perukę, rudy, potargany kok.

– Oni mnie tu..., jak to się mówi po polsku...? J e b i ą! Rozumiesz?

Jej fryzura dopiero teraz robiła wrażenie. Była kompletnie łysa, najwyżej dwa milimetry zarostu. Wyglądała jak snajper ze Strefy Gazy. W oczach szofera zobaczyła błysk szoku, bramę już jednak otwarto, a wartownik pokazywał gestem głowy, żeby kierować się w stronę podjazdu.

Wtoczyli się pod budynek wojskowego sanatorium, gdzie w półmroku poznała twarz Maja.

– Cała i zdrowa? – czekał na schodach i zaraz wziął ją pod rękę, a do kierowcy rzucił krótki rozkaz:

– Sierżancie, zameldujcie się u oficera!

– Sierżancie?! – wrzasnęła Joan, wyszarpując ramię z brutalnego uścisku

– Co za gówno!

– Nie teraz – Maj pociągnął ją w stronę uchylonych drzwi – Musisz się rozbroić!

Koła wyszedł ze szpitala bez przeszkód. Był poruszony faktem, że n i c się nie stało. Punktualnie o ósmej stał przy pierwszym oknie na korytarzu ortopedii i przez nikogo nie zaczepiany obserwował skrzyżowanie Księżęcej i Rozbrat.

Rozkazy Dunina były jasne. Najpóźniej kwadrans po godzinie ósmej musiał się stąd zbierać. Tak jak kazano zatknął sterownik za kratę nieczynnej szatni na parterze, a dwóch grafitowych płyt pudełka zamierzał pozbyć się zaraz po wyjściu. Co prawda, w rozkazach Dunina nie było mowy o tym, że stalowoczarny mercedes o numerach WXC 721R w ogóle się nie pojawi, lecz to nie było już największym zmartwieniem Koli Jakaczyna. Jeszcze gdy stał na górze, w szpitalu, wypatrując księżęcej limuzyny było mu obojętne, czy sterownik odpali. Po wszystkim dziękował Batuszce, że do niczego nie doszło. Oblany zimnym potem opuszczał klatkę schodową szpitala. Nie czuł już nienawiści do cara, jaką wmawiano na wiecach w Jekaterynburgu, gdzie na budowie pracowali chłopcy z jego wsi, wznosząc słupy wysokiego napięcia na betonowych autostradach. Czuł inny zimny strach.

– Chyba zdurniałem! – pomyślał, jeszcze raz przesuając palcem po zielonym przycisku tytanowego sterownika.

Wszystko jedno, co dalej, byleby popić dobrego samogona.

Ruszył w stronę rzeki.

– Tak lepiej – pomyślał, niknąc w mroku, który o tej porze zapadał już dosyć wcześnie, kryjąc miasto welonem ciszy. Dobrze, że nic się nie stało.

Przeszedł obok wymurowanego z białej cegły śmietnika, zmiął kilka stron gazety i owinął nimi jedną część grafitowego futerału. Szybkim gestem wrzucił pakunek do pustego kontenera. Usłyszał stłumiony, głuchy dźwięk. Jutro rano wiele worków śmieci przykryje niepozorny i bezużyteczny kawałek niby-metalu, taki sam jak to, czego używano w najbardziej zaawansowanych projektach kosmicznych.

Teraz, zgodnie z rozkazem Dunina kierował się nad rzekę. Zaledwie kilka razy minął spacerowiczów z psami, jakąś tulącą się parę nastolatków, babcię wlokącą z trudem kosz niesprzedanych kwiatów.

Kątem oka zobaczył otwarte drzwi sklepu z jedzeniem. Choćby łyk piwa – pomyślał – żeby się nie wysuszyć do dna. Ostatnie dni były męczące. Kobieta na stadionie, Hala, dobrze już pilnowała, żeby nie mógł się napić. Nieznośnie chciało mu się tytoniu. Sprawdził kieszenie. Tak jak przed godziną – pusto. Kanapka, którą na polecenie Dunina kazali mu nosić w torbie, surowo zakazana. W wiatrówce polskie papiery i druga część sterownika.

– Pieskie życie – westchnął i w końcu przekroczył szeroką dwupasmową aleję prowadzącą wzdłuż rzeki z północy na południe miasta.

Usiadł na betonowych schodach, dosłownie ocierając się o nurt wysokiej wody. Teraz powinien pozbyć się reszty sterownika, który uwierał go w piersi i czym prędzej ruszyć w stronę miasta.

– Nie zwlekaj – zobaczył twarz Dunina sprzed kilku godzin – nie zwlekaj...

Ale Dunina, choć się go bał, nie było teraz na rzeką, nie mógł skarcić go po swojemu, jak psa, jak nie-człowieka. Kto wie, gdzie Dunin!?

– Taka jego mać... – zamruczał Kola i rozparł się na wymurowanym cokole schodów.

Rzeka szumiała, jakby ją zawsze znał, jakby jej mowa była jemu dana. Pomyślał, że na całym świecie jest jedna woda, ta sama tu i w domu, pomyślał o zabawach chłopaków na dmuchanych dętkach od traktora, o bracie, któremu dano Miron, jak Miron do wojska szedł, za najemnika, jak matka płakała, gdy przyszedł list od Czczenów, że go mają, jak sobie obiecał, że da wykup za brata, a śmierci go nie da.

Ciepłe uczucie i błogie zakotłowało nim, wódki nie pił, a jednak coś go złapało... Rozparł się wygodnie, półleżąc godzinę, albo półtorej. Chciał potem wstać, ale nogi... Koło głowy zobaczył rój przezroczystych skrzydeł, ciem czy motyli, które już śpiewały:

– Otcze Nasz, szto jesi na niebiesach...

* * *

ROZDZIAŁ XIII

- Raport? – sierżantka uśmiechnęła się, jak wiewiórka do Maja.
- Raport, sierżant Haniu.
- Mogliby mieć sobie więcej do powiedzenia – pomyślał Maj z nostalgią, patrząc na jej wydatny cycek.
- Kwadrans później, o ósmej trzydzieści został wezwany do Szefa.
- Jestem tu tylko z powodu tej sprawy – Stary stuknął krzywym palcem w stertę papierów. – Nie wymagajcie ode mnie, żebym w niedzielę rano czytał te wszystkie rewelacje! Proszę o meldunek ustny, Maj!
- Tak jest! Zaczę od tego, że akcja była przeprowadzona bardzo sprawnie, dzięki współpracy z Akademią. Po raz kolejny, moim zdaniem, udowodnili swoją przydatność...
- Stary poruszył głowę ze zniecierpliwieniem. Maj bywał rozwlekły.
- Pozwolę sobie także zauważyć, że...
- Dalej, Maj, mówcie dalej... – wyglądało na to, że Stary wpada w irytację.
- Niczego w dalszym ciągu nie wiemy – Maj radykalnie zmienił ton na mniej poufały – Ciągłe analizujemy zarejestrowany materiał, ale jak dotąd nic nam to nie dało.
- ... Maj.
- Joan Chalot przewieziona do Kliniki w Konstancinie, gdzie przez następne kilka dni będzie do naszej dyspozycji. Oczywiście w tym czasie postawimy ją na nogi. Liczymy na to, że się odpowiednio zgłuszysz i bez słowa pojedziesz do tego swojego Paryża, raz na zawsze zapominając o sprawie. Pracujemy na tym, żeby się wyniosła bez rozgłosu.
- Stary podniósł wzrok na Maja. W jego oczach malowało się coś na kształt pogardy. Maj to natychmiast wyczuł. Stał wyprostowany w najbardziej służbowej pozycji, na jaką go było stać. Stary Lis milczał. Nagle wstał i szybkim krokiem podszedł do okna. Na parkingu przed budynkiem stała czarna alfa.
- Czy wiemy, skąd pochodzą zdjęcia, które Jakaczyn przekazał Francuzom?
- Nie.
- Czy wiemy, kto stał za Jakaczynem?
- Nie.
- Czy SI jest na terenie Polski?
- Tego też nie wiemy.
- Stary spojrzał kpiąco.
- Nieźle, Maj. Całkiem nieźle...
- Francuzi nic więcej nie dadzą. Szukamy jednocześnie skutku i przyczyny. Sprawdzamy przez wschodnich agentów, czy wyciek SI-32 nastąpił z bazy

- na Kamczatce. Prawdopodobnie oni mają arsenał. Pisała o tym otwarcie „Bojowa Wachta”, wewnętrzny dziennik marynarki.
- R o s y j s k i e j marynarki, Maj, niech pan będzie precyzyjny.
- Tak jest.
- Co my daliśmy Francuzom?
- Informacje o Iwanowie z tajnych archiwów GRU.
- Skąd my to mamy?
- Z wojska, panie pułkowniku.
- To ta sprawa z kochanką, Francuzką?
- Tak, panie pułkowniku, Christine Keller. Wydała właśnie pamiętniki i Francuzi robią drugą odsłonę. Ich rząd użyje tego do osłabienia partii prawicowych.
- Stary pułkownik skrzywił się z niesmakiem:
- Francuzi muszą martwić się o siebie sami...
- Maj opuścił gabinet w poczuciu klęski. Po jego wyjściu Stary nacisnął przycisk intercomu:
- Sierżant Haniu, mamy meldunek od Chlebowskiego?
- Mamy, panie pułkowniku, przyszedł mailem wczoraj w nocy.
- Proszę wydrukować.
- Po kilku minutach sierżant Hania przyniosła pojedynczą kartkę papieru.
- „23.25.raport końcowy. Symbol 75M914. Wizyta zakończona zgodnie z planem 22.20 na lotnisku Okęcie. Samolot wylądował w Kopenhadze punktualnie o 23.30. Złożono do Archiwum pod sygnaturą 750W12.”
- * Chlebowski – zamruczał półgłosem Stary – czy ty zjesz za nas tę żabę...?
- Wizyta o s o b i s t a! – Zabrzmiało jak głos w sextelefonie.
- Tleniona blondynka, która w stroju pielęgniarki przychodziła sto razy dziennie, żeby mnie zgadać, była agentką. Wszyscy byli agentami. Wszyscy oprócz mnie. Na stopniach tarasu stał zielony tłum w połowych czapkach. Już miałam iść do łazienki na papierosa, gdy go poznałam.
- Joan, cieszę się, że jesteś... zdrowa...
- Chlebowski wyglądał jak Pierce Brosnan. Nie, raczej jak Brad Pitt.
- Chcę wyjechać – rzuciłam się bez namysłu, łapiąc go za kłapy marynarki.
- Możesz mi pomóc?
- Jesteś bardzo niewygodnym świadkiem...
- Jestem obywatelką Kanady! Zwrócę się o pomoc do Ambasady.
- To nie będzie potrzebne. Jutro rano wypuszczą cię sami. Pojedziesz, dokąd zechcesz. Jesteś wolna. Ale powinnaś poczekać jeszcze parę dni... Zostań...
- Nie do wiary! – ryknęłam – Zwrócę się też do waszego premiera! I do Trybunału w Strasburgu!

Złapał mnie za rękę i pociągnął w głąb ogrodu.

– Musisz się opanować! Jeszcze tydzień, jeszcze kilka dni. Tu jesteś bezpieczna. Powinnaś zostać na własne życzenie. Jeśli wyjedziesz teraz, możesz mieć kłopoty. Nie znamy skali zjawiska. Nie wiemy, jak cię ochronić.

Daj nam czas, pozwól wyjaśnić, kto za tym stoi.

– Przecież to jest śmieszne! Wy macie amok! Jesteście wszyscy chorzy!

– Znajdą cię, jak tego Ukraińca nad rzeką!

– Jakiego Ukraińca, do cholery?

– Tego, który miał załatwić ciebie. A sam skończył w betonowych trzewikach. Popatrz na swoją głowę! A to była tylko przymiarka... Ty wiesz, co się teraz dzieje po jedenastym? Nie wiadomo, w co ręce włożyć.

Mogłam dać mu w pysk. Mogłam go zignorować. Zrobiłam to, na co miałam ochotę. Pocałunek był na tyle gęsty, że Konrad nie chciał odejść. Zrobiłam to za niego. Poszłam się pakować.

Następnego dnia rano byłam już w drodze na lotnisko.

Uciekałam pierwszym możliwym samolotem, przez Frankfurt jak najszybciej do Paryża, jak najdalej od Wojennej Piły.

* * *

ROZDZIAŁ XIV

– Aleksander Siergiejewicz?

– Witam, Tatiano Mikołajewna.

– Wasza pasażerka wyleciała pół godziny temu do Paryża.

– Kiedy tam będzie? – Dunin nawet się nie zawahał. Od przyjęcia w Ambasadzie, gdzie stanął twarzą w twarz z Joan, czekał na telefon. Ta ruda żydowska mała była cała i zdrowa. Przeżyła.

– Nieprędko. Leci przez Frankfurt. Trzy godziny będzie czekać na Air France o siedemnastej. Ląduje dziesięć po szóstej na de Gaulle'u.

– Jak najszybciej się tam dostanę?

– Czekać, Aleksandrze Siergiejewiczu, czekajcie... W domu jestem, ale mam tu wszystko u siebie, w laptopie, niech no sprawdzę.... Jest! Czarter do Berlina, ale nie wiem czy zdążycie. Czterdzieści pięć minut...

– Co potem?

– Przesiadka do Paryża. Lufthansa. Ląduje o czwartej trzydzieści.

Dunin spojrzął na zegarek – dochodziła pierwsza.

– Tatiano Mikołajewna, jadę na lotnisko.

– Dobrze. Zaraz dam znać dziewczynom, przeprowadzą was od razu na płytę. Wiecie, jak zaczęli sprawdzać od jedenastego... Aha, stanowisko Aeroftotu jest teraz po lewej stronie, koło kwaciarni. Dawnoście z nami nie lecieli...

– Dzięki, Tatiano, życzę wam wszystkiego dobrego. Zawsze mogę na was liczyć. Będę pamiętał.

– Zaraz, zaraz, Aleksandrze Siergiejewiczu, a nazwisko? Na kogo wystawić bilet?

– Ach tak, rzeczywiście. John Walls.

– Przez dwa „l”?

– Zgadza się, Tatiano Mikołajewna, chyba, że nie przez jedno!

Ostatni pasażer czarteru do Berlina zjawił się dostownie na trzy minuty przed włączeniem silników Ana. Z przepaszającym uśmiechem wyminął polską stewardessę i bez słowa zajął miejsce z tyłu samolotu. Po chwili z kieszeni eleganckiego trencza wyjął „The Wall Street Journal” i na kolejne trzy kwadransy zagłębił się w lekturze.

Lotnisko we Frankfurcie sprawiało wrażenie oblężonej twierdzy.

– Coś podobnego! – pomyślałam – A więc świat tak się zmienił przez ten czas?

Jedenasty września przeszedł nade mną jak cień. Kiedy to się stało, byłam jeszcze w szoku, na oddziale intensywnej terapii.

Ku mojemu zaskoczeniu karta kredytowa zadziałała. Mogłam się spodziewać najgorszego. Przede wszystkim chciałam zawiadomić Marianne o swoim

przyjeździe. Tym razem jej głos z repondera mówił coś wyjątkowo głupiego: „jestem – nie ma mnie – jestem”. Zmroził mnie ten głos, do tego stopnia, że nie zostawiłam wiadomości...

Przez trzy kwadransy wałęsałam się po sklepach, kupiłam karton davidoffów z miniaturą srebrną popielniczką dla brata Marianne (wydawcy moich wykładów z Miłosza). Zamówiłam dużą szkocką w barze z widokiem na tłuste brzuchy airbusów Lufthansy i w końcu po raz pierwszy od trzech tygodni doszłam do wniosku, że życie nie jest takie złe.

– Co dalej, Joan? – usłyszałam głos matki.

Czy dotarła do niej list, jaki napisałam pod naciskiem Maja? Uprzejmie, zbyt uprzejmie i zbyt oficjalnie informowałam Jenniffer, że szkoła jest moim powołaniem, a każde kolejne słowo było jeszcze większym kłamstwem. W głębi duszy miałam nadzieję, że przeczyta ten list dokładnie tak, jak był pisany, na opak. Zaledwie miesiąc wcześniej tłumaczyłam jej w innym liście, czemu rzucam szkołę i jakie względy zmuszają mnie, by dołączyć do projektu Marianne...

Teraz jednak wszystko wyglądało jeszcze inaczej. Był piątek, najpóźniej w poniedziałek wieczorem miałam zamiar lądować w Montrealu. Żadnego Petersburga. I żadnych przypadków.

Odprawa ciągnęła się dłużej niż zwykle, o wiele dłużej. Każdy pasażer przechodził przez bramki detektorów po dwa, trzy razy, stopniowo opróżniając kieszenie ze wszystkich przypadkowych przedmiotów – zapalniczek, wykałaczek, monet, chustek do nosa, lekarstw, prezerwatyw, portfeli. Wszystko lądowało przed nosem oficera, który stalowymi szczypcami grzebał w życiorysach pasażerów.

John Walls pojawił się przy stanowisku Hertza przed szóstą. Należał do klientów dobrze zorientowanych w swoich potrzebach, toteż z rozczarowaniem przyjął do wiadomości fakt, że

wszystkie trzy ople Vectra, będące w dyspozycji biura, były już wynajęte. Ostatecznie zdecydował się na forda Mondeo bez dodatków, za to w przystępnej cenie i, jak przystało na skromnego wydawcę poradników ogrodniczych, z góry zapłacił za dwie doby z promocyjną bonifikatą piętnastu procent. Płacił gotówką, co wywołało zdumienie na twarzy kobiety obsługującej tego dnia klientów wypożyczalni. Pomyślała nawet, że Brytyjczycy mają męczącą skłonność do indywidualizmu, lecz bez dyskusji przyjęła funty i z uśmiechem wskazała klientowi wyjście na podjazd parkingowy. Czerwony ford miał być skwitowany w niedzielę do godziny ósmej wieczorem w amsterdamskim biurze Hertza przy Wielkiej Synagodze, na Jonas Daniel Meijerplein.

Tymczasem zamiast skierować forda wprost na ślimak wyprowadzający

sznur samochodów z lotniska w stronę miasta, wydawca Walls okrążył parking od strony południowej i wylądował z powrotem vis a vis głównego wejścia do sektora przylotów.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła siódma trzydzieści. Pasażerowie lotu numer 532 18 z Frankfurtu nad Menem przechodzili prawdopodobnie do kontroli celnej. Miał co najmniej trzy kwadransy. Nagle poczuł silny głód. Przez chwilę wahał się czy nie poszukać w pobliżu kanapek, zaraz jednak skarcił się za tę nieostrożność. Jedyne na co mógł sobie pozwolić to papieros wypalony przy otwartym oknie z wielką dyskrecją, tak, by najmniejszy pył tytoniu nie pozostawił śladu na tapicerce.

Był dwudziesty trzeci dzień września. O tej porze roku pokrywa nocy spada na Paryż o kilka godzin później niż w Warszawie. Mógł obserwować sylwetki ludzi przelewające się falami przez szklane drzwi budynku, rozkojarzone twarze podróżnych i beznadziejne taksówkarzy. Był pewien, że rozpozna nauczycielkę. Nawet gdyby miała wystąpić w przebraniu, jak na przyjęciu w Ambasadzie. Wtedy wyczuł jej obecność od razu, zanim zdążyła na dobre wejść do hallu wiedział, że wraca „pacjentka”. Na tym polegał dobrze szkolony instynkt agenta. Ćwiczył go przez lata i tylko dzięki niemu trzymał się jeszcze na powierzchni w czasach Wielkiej Tułaczki, jakie nastąpiły dla byłych agentów sowieckiego łagru.

Stała w szklanych drzwiach wcześniej niż się spodziewał. Nie miała sztucznych włosów, ani żadnego maskowania. Głowę przykryła baseballówką. Stała sama i nie przypuszczał, żeby ciągnęła z sobą „ogona”. Polakom to się nie opłacało. Koszty – pomyślał. Nie ma kasy.

Drobna postać przez chwilę stała na podjeździe taksówek, po czym zniknęła z pola widzenia w żółtej renówce.

– No dobrze – wycedził przez zęby. – Pajechali.

Dunin znał Paryż. Nie tak dobrze jak Londyn, lecz po latach tułaczki, jak nazywał ostatnią dekadę, oficera GRU bez przydziału mógł powiedzieć o sobie jedno – był Europejczykiem.

Taksówkarz jechał środkową wstęgą trzypasmówki, Dunin trzymał więc forda lekko po prawej, w odległości dwóch samochodów. W ten sposób mógł być pewien, że żaden manewr żółtej renówki nie umknie jego uwadze. Miejska zabawa w ciuciubabkę najbardziej przypomina grę w motoryzacyjny monopol. Trzeba być albo naiwnym nowicjuszem, albo wytrawnym graczem, by w końcu nie pogubić się w powodzi ulicznych zdarzeń. Choćby teraz – w odległości pięćdziesięciu metrów wewnętrzny pas zablokowany światłami służby drogowej. Za ułamki sekund wszystkie pojazdy z tego pasa będą uciekać na środek, renówka albo ich przepuści, albo zdąży przejechać...

Dunin jednym ruchem wbił nos Mondeo przed maskę granatowego volvo, które ledwie zdążyło tknąć hamulce, żeby nie doszło do zderzenia. Jechali teraz jednym śladem, a wszystkie zmysły tropiciela penetrowały zapada-

jący zmrok, szukając wykroju czerwonych latarni. Od razu na podjeździe lotniska Dunin z fotograficzną dokładnością zlustrował kształt lamp renówki, wiedząc, że będą mu jedynym przewodnikiem przez długie kilometry, aż do rogatek miasta.

Na wysokości niepozornej niebieskiej tabliczki z napisem „Paryż” skorzystał z krzywizny wiaduktu, by przeskoczyć dosłownie o jedną długość przed taksówkę. Od tej chwili czekało go zadanie jeszcze trudniejsze – zamiast śledzić musiał pilotować swoją ofiarę gotowy do natychmiastowej reakcji na najmniejsze oznaki ruchu.

Nie mógł się domyślać, gdzie jedzie Joan Chałat. Była to ruletka, prawdziwa, rosyjska, jak to mówią, podobnie jak telefon od Tatiany Mikołajewnej i przecucie, które mówiło, że ta mała Żydówka będzie chciała za wszelką cenę wypłatać się z rąk polskiego wywiadu i z naiwnym uporem wrócić do swoich spraw. A przecież dla niej nie było już s w o i c h spraw. Wszystkie były wspólne. Miał być Paryż? Jest Paryż.

– Oby tak dalej – pomyślał Dunin, wrzucając prawy kierunkowskaz na ułamek sekundy przed kierowcą renówki dwa samochody dalej. Wyglądało na to, że nie kieruje się w stronę centrum miasta, lecz w okolice Gare du Lion.

– Bardzo dobrze, bardzo dobrze – tym razem zamruczał nawet półgłosem pozwalając sobie na małe rozprężenie.

Wjechali pomiędzy kamienice i ronda niezbyt reprezentacyjnej dzielnicy, gdy nagle taksówka zaczęła oddalać się we wstecznym lusterku. Stała!

Dunin dosłownie porzucił forda na pierwszym wolnym miejscu przy chodniku rue de Charenton i nie dbając o zamknięcie drzwi pilotem, błyskawicznie przebiegł na drugą stronę ulicy. Kobieta wysiadła właśnie z taksówki. Jak wilk okrąża ofiary – Dunin dużym kołem przeszedł na stronę, na której stali tamci, ona i taksówkarz. Po chwili kółeczka torby podróżnej zaczęły podskakiwać na trotuarze jak skrzypiąca drezyna. Taksówka odjechała w pośpiechu w stronę światła niewielkiego ronda, a wieczór był tak ponury i pełen wilgoci, że wszelkie życie na rue de Charenton zamarło. Tylko szum metalowych kółek podskakujących na spoiwach chodnika oddzielał szelest kroków Dunina od uszu kobiety.

Podążał za nią z pochyloną głową, kotniarz trencza stawiając na tyle wysoko, by osłonić się nie tylko od wiatru, lecz także od nieproszonych oczu. Od drzwi wejściowych do sporego kondominium dzieliło ją nie mniej niż pięćdziesiąt metrów. Szybkim spojrzeniem omiółt ulicę szukając świadków zdarzenia, którego był i autorem i szwarzcharakterem. Nie dostrzegając niczego prócz pustki doskoczył do wchodzącej w krąg światła postaci dosłownie na kilka kroków przed budynkiem.

– Madame, madame, excusez moi.

Odwróciła się gwałtownie, zanim spojrział w jej oczy, poczuł bijący od drobnych pleców lęk, jakiś skurcz ramion, a może tylko odgłos gwałtownie

opadającej torby na płyty trotuaru.

Nie zdążyła krzyknąć, a już smuga rozproszonego gazu owionęła twarz. Dunin trzymał w ręku zwykłą plastikową zapalniczkę. Ktokolwiek mógłby z boku widzieć tę scenę nabrałby pewności, że mężczyzna podpala kobiecie papierosa, że zatrzymali się, by porozmawiać jak para kochanków, wieczorem na ulicy. Oczy Joan wyraźnie zaszyły mgłą. Kaszlnęła, lecz poza tym nie wykonała żadnego gestu, żadnej próby odparcia ataku. Stała przed nim niezdolna, by sięgnąć chociażby po pasek torby, pozbawiona sił i woli działania.

Stare, dobre aerozole, cokolwiek by o nich nie mówić, stanowiły za granicą arsenał niezawodny. Plastikowe zapalniczki nawet w dzisiejszych czasach nie budziły zastrzeżeń ani celników, ani policji, ani tym bardziej przypadkowych gapiów.

Gdy wyszli z tagodnego światła latarni, otulił ich mrok. Spokojnym, równym krokiem zbliżali się do czerwonego Mondeo, który czekał z nieodkrytymi drzwiami na wprost wejścia do tabaku. Dunin eleganckim gestem otworzył drzwi od strony pasażera i pomógł Joan schylić głowę pod niskim sklepieniem auta.

* * *

Jechali już dobre pięć godzin i mgła, która ciągnęła się od Cambrais, zaczynała Dunina irytować. Najpóźniej o trzeciej nad ranem chciałby to mieć za sobą, tymczasem do motelu „Dalilah” pod Hasselt przy E313 dzieliły ich jeszcze co najmniej dwie godziny drogi.

Objężdżając Charleroi zląkł się na chwilę zgubiwszy kierunek. Wiedział, że paliwa starczy mu do samego Amsterdamu, lecz czas naglił, toteż kolejne pół godziny zwłoki wprowadziły go w stan frustracji. Mgła była już tak potężna, że niespodziewanie zjechał z autostrady do centrum miasta i tam, chcąc, nie chcąc, musiał znaleźć informację jak wrócić na E42.

Dochodziła pierwsza w nocy. Belgowie spali, podobnie jak Joan oparta w katatonii o drzwi samochodu. Co i raz musiał pociągać ją za ramię, żeby nie stuknęła głową o szybę. Po kwadransie krążenia w białej wacie, gdy po raz kolejny mijał neon hotelu „Dome”, zobaczył wreszcie zapalone światła policyjnego patrolu. Zatrzymał samochód w pewnej odległości, tak, by nie zwracać uwagi na swoją pasażerkę, po czym na piechotę pokonał kilkanaście metrów skweru.

Jak na rasowego Brytyjczyka przystało, nawet nie próbował zagadnąć ich po francusku, lecz z niezmaconym spokojem zapukał w szybę i po angielsku zapytał o wyjazd z miasta. Dwóch Belgów – przyjaznych i znudzonych nocnym patrolem w spokojnym prowincjonalnym miasteczku przy E42 uprzejmie powiodło czerwone Mondeo w kierunku Hasselt. Kilka minut później Dunin z rezerwą skinął głową, nie opuszczając szyby, oni zaś z kurtuazją gospodarzy odprowadzili wzrokiem forda znikającego na ślimaku autostrady.

Stracił nadzieję, że mgła opadnie. Jechał ostrożnie. Na liczniku miał niecałą setkę i nie spodziewał się w ciągu najbliższych dwóch godzin nadrobić opóźnienia.

Joan siedziała teraz z otwartymi oczyma, lecz nic nie wskazywało na to, by miała świadomość. Sprawiała raczej wrażenie zahipnotyzowanego medium, a grymasy, które pojawiały się na jej twarzy przestraszyłyby każdego, lecz nie Dunina. Dla niego była najwyżej kolejną „pacjentką”. Dunin nie myślał o towarzysze podróży, lecz o jej torbie. Chciał się jej pozbyć jeszcze tutaj, w Belgii, lecz wstrzymywała go intuicja, że od kilku tygodni wszystkie porzucone pakuńki traktowane były z najwyższą ostrożnością. Czyjakolwiek uwaga skupiona na bagażu kobiety

mogła mieć fatalne skutki. A więc – rzeka? Kolejowe cargo? Kontenery? O tej porze wszystkie scenariusze wydawały się mieć słabe punkty....

Musiał ten problem odłożyć na później. Niespodziewanie szybko objechał Liege przy doskonałej widoczności. Mgły opadły wokół górniczego miasta z równą nieodpowiedzialnością, jak pojawiły się znowu na dziesięć kilometrów

przed Hasselt.

Znał miejsce, do którego zmierzali. Typowy euromotel, mimo wielce obiecującej nazwy „Dalilah” w godzinach nocnych bez portiera i obsługi, za to całkowicie zautomatyzowany. W małych kajutach podróżni znużeni nocną jazdą przesypiali najtrudniejsze godziny, by rano gremialnie wyruszać w dalszą drogę. Nic innego nie było tam do roboty. Prosty bufet ze śniadaniem serwowana obsługa od szóstej trzydzieści. W godzinach nocnych można się było dostać do motelu wyłącznie przy użyciu karty kredytowej.

Poza tym jednym momentem, gdy gość własnym nazwiskiem potwierdzał płatność przed otwarciem drzwi w elektronicznej rejestracji od strony parkingu, można było mieć pewność całkowitej dyskrecji. Przez nikogo nie widziany John Walls w towarzystwie półprzytomnej kobiety dotarł do pokoju numer jedenaście niespełna kwadrans po trzeciej. Długi zielony sakwojaż i czarna fotograficzna torba, którą Joan trzymała przez ostatnich kilka godzin wciśniętą pomiędzy kolana, zostały w samochodzie.

Zwalił ciało na podwójne łóżko zajmujące niemal całą przestrzeń niewielkiego pokoju. Od razu skuliła się jak embrion i zastygła bez ruchu. Żrenice szeroko otwartych oczu powiększyły się pod działaniem stężonej atropiny, która stanowiła główny składnik aerozolu, tak że cała twarz przybrała nie-naturalny wyraz przerażenia i śmierci. Jednak kobieta żyła. Co pewien czas po jej twarzy przebiegał skurcz. Mężczyzna znał objawy zatrucia alkaloidami i wiedział, że halucynacje są tylko niewinną przygrzywką do autentycznego zapętlenia jaźni, jakie zamierzał jej zgotować.

Scenariusz był prosty – nad ranem sprzątaczką znajdzie stygnące ciało. Zgon nastąpi najpóźniej w godzinę po zwiększeniu dawki datura. Dowody w postaci trzech kwadratowych papierków z czarnymi okręgami wielkości znaczków pocztowych, jakich pełno na rynku narkobiznesu, będą nosić organiczne ślady denatki, ślinę i odciski palców. W komputerowym rejestrze policji znajdzie się wpis o przedawkowaniu skopolaminy. Tożsamość kobiety nie będzie stwierdzona i

nikt nigdy nie znajdzie powodów, by wracać do tej sprawy. Interpol miał teraz zbyt wiele na głowie, by reagować na sygnały z Warszawy, że Polacy nie mogą doliczyć się jednego człowieka.

– So, Mrs Chalot, it was nice to meet you again – wysylabizował, aranżując wyjściową sytuację dla oficera śledczego. Odciski palców na bibułkach nasączonych narkotykiem, resztki śliny...

– O, tak – mamrotał, rozwierając wargi Joan – pocałunek na do widzenia.

Kobieta przeciągnęła językiem po skrawku papieru, jakby chciała mu jeszcze ułatwić sytuację.

Usta miała tak wyschnięte, że wpadł na pomysł, by ją napoić. Szklanka wody na nocnym stoliku robiła korzystne wrażenie. Na śledczych, oczywiście.

Z pewnym trudem szperał przy plastikowej zapalnicze chcąc uwolnić śrubkę zaworu. Już ustąpiła, lecz wciąż nie mógł wydobyć z obudowy Bica ładunku, który zawierał śmiertelną dawkę zmutowanego datura. Jeden nieostrożny ruch sprawił, że nagle wszystko wystrzeliło z rąk. Dopiero teraz zdjął samochodowe rękawice.

– Jeb twoju mać, – syknął, rzucając się na kolana.

Po chwili odnalazł zapalniczkę i platynowy nabój z trucizną, jednym słowem wszystko prócz śrubki, która sprawiła mu tyle kłopotu. Po ciemku próbował wyczuć palcami ostry kształt, lecz z każdą chwilą wysiłki te stawały się bardziej beznadziejne.

Byli tu od sześciu minut, fosforyzująca wskazówka sekundnika pruća ciemność jak spadająca gwiazda. Dunin wiedział, że czas był teraz czynnikiem numer jeden. Nie gorsze były włókna z płaszczka, włos pozostawiony na dywanie, cokolwiek, co mogłoby wpaść do komputera jako informacja o człowieku.

Spojrzał na zegarek. Trzecia dziewięć. Dał sobie półtorej minuty na opuszczenie budynku. Założył rękawiczki, pchnął szklankę, która potoczyła się po blacie stolika, wyrzucając z siebie resztki płynu, przeciągnął ciało na wznak, w końcu przechylił głowę Joan do tyłu, aż wydała chrapliwy odgłos zaciśniętej tchawicy.

Zbliżył do nosa wąski, długi na pięć centymetrów ładunek. Dawka rozpylona na rue de Charenton stanowiła niewiele ponad dziesięć procent tego, co system oddechowy musiał przyjąć w tej chwili. Dunin wiedział, że dosłownie za moment organizm zareaguje wzmożonym ruchem

jelit, wątroba przejmie toksynę i rozpoczną się wymioty, które najpewniej zadławią ofiarę jeszcze przed śmiertelnym spazmem.

Do kieszeni trencza wsunął kilka drobiazgów, jakie przy niej znalazł, niezbyt wiele – prócz paszportu, skózanego portfela z kartami kredytowymi i zwykłym melanżem osobistych spraw, wazelinę do ust z napisem Lufthansa i kilka monet. Z serdecznego palca kobiety zsunął luźny sygnet o orientalnych rytach. Przez myśl przeszło mu, że ta piękna sztuka starego srebra godna jest, by ją zachować. Zniknęła w kryjówce wewnętrznej kieszeni trencza.

To, co zostawił przy Joan musiało wystarczyć belgijskim specom z policji kryminalnej. Karta kredytowa na nazwisko Andreas Schubert, wystawiona ponad rok temu przez drezdeńską filię francuskiego. Po skasowaniu ostatniego noclegu zostało tam niewiele ponad dziewięćdziesiąt marek. Sam właściciel, równie wirtualny jak kawałek plastiku, istniał wyłącznie dzięki mechanizmowi „sztucznych zapłodnień”, jak Dunin nazywał powoływanie do życia martwych dusz na kontaktach bankowych w Wiedniu, Londynie, a nawet Nairobi. Do dziś, choć nie miał już takich potrzeb, robił to rutynowo, utrzymując zawsze na stanie kilka „czystych” kont.

John Walls przekręcił kluczyk w stacyjce Mondeo i zniknął z pola widzenia za lepką ścianą mgły.

Wkrótce po jego wyjściu ciałem kobiety wstrząsnęły konwulsje. Z głośnym charkotem tryskała wydzieliną do chwili, gdy silny skurcz dosłownie rzucił ją na skraj łóżka. Gdy następny atak torsji miał już wykonać wyrok śmierci, zalepiając oczy, usta i nos lepkiem płynem z odrobinami nie strawionych resztek, ciałem targnęło na nocny stolik. Krew wypłynęła w miejscu, gdzie twardy róg laminowanej płyty wydrążył półtora centymetrową dziurę w skórze skroni. Ciało z głuchym jękiem potoczyło się na podłogę.

Dunin przekroczył granicę holenderską niespełna trzy kwadransy później i jechał teraz w kierunku Aachen autostradą siedemdziesiątą szóstą, wypatrząc kolorowych neonów. Wiedział, czego mu potrzeba.

– Jest... – zadowolony zjechał na podjazd McDonalda. Zamówił dużą kanapkę, frytki i brunatny, słodki płyn w papierowym kubku.

Na parkingu zaledwie dwa samochody, przesadny bezruch nawet jak na tę porę nocy. Tym łatwiej zaparkował Mondeo tak, by przestonić tylną klapę kufra przed wzrokiem dziewczyny obsługującej okienko „drive in”. Bez pośpiechu, krokiem zmęczonego kierowcy poszedł do tyłu pogrzebać w zielonej torbie. Kilkanaście książek, które „robiły” wagę, ubrania, drobiazgi osobiste, jak to u kobiet. Z rzeczy ważnych – laptop. Zajrzał do torby fotograficznej. Znalazł talię pokrytych zapiskami kart, butelkę koszernej wódki, aparat małoobrazkowy Nikon F3. Dobra marka, szkoda – pomyślał, ważąc w rękę kawał żelaza.

Zapiski schował do trencza. Sprawdził komorę Nikona. Musiał zapalić lampę w samochodzie, by mieć pewność, że film zostanie całkowicie prześwietlony. Warkocz celulooidu owinął papierem po kanapce i ruszył w stronę baru. Pryszczaty chłopak z zieloną miotłą właśnie wymieniał worek na śmieci.

– Do you mind? – zamruczał Dunin, ładując do środka resztki swojego posiłku.

Włączył się w ruch na autostradzie i w oddali wypatrzył obiecujące lampy tira. Jeśli w kolumnie będą trzy lub dwa – nie musi długo czekać na okazję. Przyspieszył, chciał jak najszybciej zrównać się z ciężarówką.

– Haraszo, riebiata – trzy kolosy toczyły się równym rytmem, powyżej stu czterdziestu.

Wyprzedził ich teraz środkowym pasem, zdystansował na odległość co najmniej pięciuset metrów i, nie zwalniając, jedną ręką sięgnął do drzwi pasażera. Strzałka obrotomierza podeszła do czerwonego pola. Sto osiemdziesiąt. Trzeba było doświadczenia, by przy tej szybkości utrzymać samochód na torze jazdy. Drzwi nie ustąpiły za pierwszym razem, dopiero przy drugiej próbie pociągnął klamkę wystarczająco mocno, by do środka wdarł się wilgotny pęd powietrza. Musiał jednocześnie utrzymać kierunek jazdy i, nie puszczając drzwi, wypchnąć torby. Za jakieś dwadzieścia do trzydziestu

sekund rozpędzona kolumna chłodni powinna po tym wszystkim przejechać z masą nie mniejszą niż osiemdziesiąt ton.

– Nu, haraszo – wymamrotał, zatrzasnąwszy po wszystkich drzwi Mondeo.

Teraz mógł zwolnić i obserwować tylne lusterko. Za chwilę dotarły do niego światła zbliżającego się równym rytmem smoka.

– Pooo...szedł – pomyślał z ulgą i w końcu mógł pozwolić sobie na odprężenie

– na dzisiaj koniec, Aleksandrze Siergiejewiczu...

* * *

ROZDZIAŁ XVI

Gdy o dziewiątej trzydzieści sprzątaczką stanęła w drzwiach, ciągnąc przemysłowy wózek ze środkami czystości, wnętrze pokoju wypełniał przykry, kwaśny odór.

Yasmina podeszła do okna i rozsunęła zastony. Rzuciła okiem na łóżko. Było zmierzwiłone i pokryte czymś, co spodziewała się zobaczyć – zaschniętymi wymiotami. Podróżni używali hotelu „Dalilah” do uprawiania wszelkich zakazanych sportów – pijaństwa, sodomii, ostrych jazd narkotykowych... Dopiero po pewnej chwili krzyknęła, dławiąc dech ściereczką antystatyczną. Zza łóżka wзираła stopa w czarnym bucie. Dziewczyna stała, bojąc się ruszyć spod okna. Przerażonym wzrokiem szukała pomocy na parkingu, lecz w końcu pochyliła głowę i przemknęła w kierunku drzwi, nie podnosząc oczu. Karetka przyjechała w ciągu dziesięciu minut. Tego dnia Yasminę zwolniono z pracy tuż po rozmowie z menedżerem hotelu, który pojawił się w ciągu kwadransa.

Nikomiu nie wspomniła o śnie, który przyszedł do niej nad ranem. Widziała w nim postać kobiety z błękitnym rysem na czole. To było jak pieczęć, coś na kształt kwiatu lub dłoni. Yasmina przywiązała kobiecie sznurek do stopy i zaciągnęła na wydymę, gdzie mętny ocean próbował dosięgnąć ich obu. Ślizgał się po nich, a nie znajdując oparcia, odpywał, tocząc pianę. Do wieczora trzęsła się z przerażenia, błagając o pomoc Allaha. O dziewiątej zadzwonili z motelu, że na Prekelinden udało się uratować życie tamtej.

Dunin dojechał do Amsterdamu o w pół do siódmej rano. Czterogwiazdkowy hotel „Esplanade” w standardzie dla vipów był dobrą kryjówką. Przespał się, wziął prysznic, zamówił do pokoju dwie porcje boefa Strogonoffa i tak odprężony odpalił w końcu laptopa. Nie szukał konkretnych informacji, raczej interesujących śladów, lecz po kilku godzinach grzebania w brzuchu komputera musiał się poddać. Z jego punktu widzenia twardy dysk nie przedstawiał sobą żadnej wartości. Wyczyścił go, głęboko grzebiąc w programach instalacyjnych, i w ten sposób spędził czas do wieczora.

W niedzielę w ogóle nie wstał z łóżka. Pokojowy wjechał około dwunastej w południe z porządnym lunchem, a Dunin, ostro pokrapiając wódką, whisky i dżinem, które znalazł w minibarze, do późnej nocy raczył się zimnym bufetem i pornografią, za którą dopisano mu potem do rachunku dobre piętnaście funtów.

Na Tuinstraat dotarł dopiero przed piątą po południu następnego dnia. Nie miał zamiaru kręcić się niepotrzebnie po mieście. Zbyt wiele oczu mogłoby go tu rozpoznać, nawet te znajome i „życzliwe” nie powinny wiedzieć o niespodziewanej wizycie dawnego rezydenta GRU. Dunin znał Amsterdam dość dobrze z wczesnych lat dziewięćdziesiątych. Bywał tu częstym gościem w Ambasadzie, wówczas jeszcze Sowieckiej. W pierwszym lom-

bardziej na Tuinstraat, do którego zajrzał, nie targował się o cenę zużytego laptopa. Sprawdzona metoda wyprania elektroniki, choć i ona miała słabe punkty. Tym razem jednak nie widział lepszego rozwiązania. Wziął pięćset guldenów i odjechał w kierunku centrum miasta.

W kiosku z gazetami kupił największy model wielofunkcyjnego szczyrora Victorinox, a kwadrans przed siódmą był już pod Starą Synagogą, wypatrząc siedziby Hetrza. John Walls z typową angielską flegmą, choć bez zbędnych komentarzy, oddał samochód do wypożyczalni i taksówką udał się na Centraal Station.

Najpierw zajrzał do toalety, gdzie Victorinox pociął na strzępy paszport i dwie karty kredytowe Joan Chalát. Całą garść skrawków i pusty portfel wsadził do kieszeni. Nie minęło pół godziny, jak pozbył się tego wszystkiego w kilku koszach na śmieci, niespiesznie spacerując po peronach. Kupił bilet drugiej klasy na pociąg do Hasselt. Zgodnie z rozkładem, który sprawdził jeszcze w hotelu, ekspres do Hagi przejeżdżał przez Amsterdam o dziewiątej. Zdążył napić się kawy w dworcowej jadłodajni i bez zwłoki udał się na peron trzeci. Yasmina mieszkała na obrzeżach miasta, w małym parterowym domu przy ślepej ulicy. Razem z nią mieszkały tu jeszcze młodsze siostry, matka, typowa Muzułmanka spowita w chustę i ojciec, biały muzułmanin, prosty robotnik z fabryki papieru.

Żyli skromnie, lecz bez przesady, można powiedzieć, że niczego im nie brakowało. Od dwóch miesięcy Yasmina jeździła nawet własnym samochodem, dziewięcioletnim hyundayem, który ojciec kupił od sąsiadów, państwa Dimm, po bardzo atrakcyjnej cenie. Jurgen van Tiegle, wysoki, chudy blondyn o czerwonej twarzy znaczonej śladami ospy przyjął wiarę Allaha pod wpływem pięknej Tiszy, matki Yasminy, choć w imię Najwyższego nie stał się ani o włos mniej Holendrem.

Tego ranka Yasmina wbiegła do kuchni w pośpiechu, przeczesując grzebieniem gęste, ciemne włosy. Miała szczery zamiar opowiedzieć Tiszy sen, który od kilku dni nie dawał jej spokoju, lecz o dziwo nigdzie nie znalazła matki.

– Gdzie rodzice? Nie wiecie? Nigdzie ich nie ma.

Siostry, wyraźnie uszczęśliwione, nie przepuściły okazji do żartów:

– To ty nie wiesz?

– No nie wiem, powiedzcie mi zaraz...

– Yasmina jest za ...ko ...cha ...na – wysylabizowała Margarita, jak ojciec duża i jasna.

– Yasmina patrzy tylko na Osmana... – najmłodsza, Badži, wysunęła z łazienki głowę owiniętą ręcznikiem i zanuciła:

– „...błagam cię, Panie, nocą i dniem, byś skrzydłem jastrzębia uczynił mnie”...

– Badži! Jakie głupstwa chodzą ci po głowie! Gdzie rodzice? Mów!

– Rodzice pojechali do Leclerca, głupia! Dziś są twoje urodziny!

Aż podskoczyła. Rzeczywiście... Urodziny! Dwudzieste pierwsze! Pogroziła palcem, udając gniew:

– Jadę do pracy, ale pamiętaj, że wieczorem będziesz mi śpiewać jeszcze ładniej! I nie takie głupstwa!

– Ale też o Osmana?

– Ty, Badži, zaśpiewasz mi o bracie Osmana. Widziałam, jak tańczyliście, kiedy wrócił z wojska ...

Badži pisnęła jak spłoszona mysz i schowała się za drzwiami łazienki.

Yasmina zajrzała do kuchni. W lodówce znalazła nietknięty kawał libańskiej chałwy. Zapakowała go do torebki i jak większość krótkowidzów, marszcząc nos, sprawdziła stan termometru za oknem. Plus siedem stopni....Wyjęła z szafy długi, granatowy płaszcz i pędem rzuciła się do wyjścia. Błękitny hyundai szeroko się uśmiechał.

– W czym mogę pomóc? – pielęgniarka recepcji Szpitala Muncypalnego Haagerslaan na Prekelinden też powitała ją uśmiechem, widząc jak przez dłuższą chwilę stoi niepewnie przy kontuarze.

– Szukam... szukam kobiety, która przyjechała z naszego motelu... „Dalilah”... Dwa dni temu, w sobotę.

Ruda dziewczyna w zielonym uniformie wysunęła klawiaturę komputera.

– Jak się nazywa?

– Nie wiem.

– Przykro mi, ale mamy tu ponad dwustu pacjentów.

– Niestety, nie znam nazwiska. Ale wiem, że przywieziono ją bardzo...była bliska...

– Rozumiem. – Pielęgniarka zmarszczyła nos i przez ten moment wyglądała jak negatyw Yasminy, w podobnym wieku, podobnego wzrostu, z tym samym zmrużeniem oczu. Spod spiczastego nakrycia głowy wypadła kosmyk jasnych włosów, równie gęstych i lśniących jak koński ogon, który Yasmina upinała co rano, idąc do pracy.

Spojrzały sobie w oczy. Na szyi pielęgniarki dyndał szpitalny identyfikator. Z tej odległości Yasmina nie byłaby w stanie przeczytać ani jednej litery.

– ... Pracuję w „Dalilah”. Sprzątam.... To ja ją znalazłam... W jedenastce. Bardzo się cieszę, że ona żyje. Rozumie pani? To było dosyć okropne... Zobaczyłam jej stopę...

Pielęgniarka pokiwała głową. Błękitne źrenice strzeliły blikiem.

– Chyba wiem, która! Chce ją pani odwiedzić?

– Właśnie po to przyszłam.

– Muszę sprawdzić, czy to możliwe... niech pani poczeka.

Odwróciła się plecami do Yasminy i sięgnęła do intercomu.

– To ja, Sara, doktorze Vienders. Przyszła kobieta, która chce się widzieć z tą pacjentką z izolatki... tą, którą przywieźli z motelu...

Po drugiej stronie najwyraźniej padło jakieś pytanie.

– Tak, sprzątaczką, która ją znalazła...

Wyjaśnienia były krótkie, bo zaraz skończyła połączenie.

– Niestety, bardzo mi przykro, ale to jeszcze niemożliwe...

– Dlaczego?!

– Pacjentka przeszła komę. Jest bardzo osłabiona. Doktor Vienders jutro zdecyduje, kiedy będą możliwe odwiedziny.

Yasmina stała nieruchomo, wbijając wzrok w identyfikator podskakujący na piersiach pielęgniarki.

– Siostró, a jak ona się nazywa?

– Trudno powiedzieć. Proszę, to wszystko, co wiem – odstąpiła ekran komputera i postukała palcem w miejsce, gdzie powinno być imię i nazwisko chorego.

Yasmina przebiegła oczami po ekranie. Pokój dwadzieścia trzy. Dane osobiste nieznane. Wiek około trzydziestu pięciu lat. Brak numeru ubezpieczenia.

– Jak długo będzie tu leżeć?

– Nie wiem. Naprawdę. – Pielęgniarka rozłożyła ręce.

Yasmina już miała odejść od kontuaru, gdy jedna myśl przysła jej do głowy...

– Chciałabym zostawić swój numer telefonu. Na wszelki wypadek. Może trzeba będzie jakoś pomóc. Nazywam się Van Tiegle...

– Van Tiegle?!

– Tak. Czy to panią dziwi?

– Yasmina van Tiegle?

– Ależ tak!

– A ja jestem Sara van Tiegle... – pielęgniarka w spiczastym czepku uśmiechnęła się do Yasminy, pokazując równe jak kukurydza zęby. – Jestem córką Josefa...

Yasmina, niewiele myśląc, sięgnęła po identyfikator zwisający z szyi Sary. Podsunęła go pod zmrużone oczy:

– Rzeczy..wiście! Allah jest wielki!

Dokładnie w tym momencie do recepcji wpetzła kolorowa stonoga połączonych niebieskim sznurkiem przedszkolaków.

– Mamy dzisiaj małych gości. Pokazujemy im szpital. Muszę się nimi zająć... – Sara pogłaskała przepaszając ciemną dłoń Yasminy. – Koniecznie musimy się spotkać. Bardzo chciałam cię poznać. Zawsze. Jeszcze dzisiaj... Mam dyżur do piątej. Może się spotkamy...? Wiesz, gdzie jest „Havana Club” przy Filharmonii?

– Do piątej. Będę czekała.

Yasmina minęła drzwi z napisem TYLKO DLA PERSONELU i chwilę później stała już na chodniku przed budynkiem.

– Nie idź w ślad za tym, o czym nie masz wiedzy wcale – usłyszała w głowie.

– Co to znaczy...? – Czy był to głos dobry, pobożny, prosty czy też głos złego dzina, który przychodzi, by męczyć?

– Sama wiesz, sama wiesz – zaśmiał się głos i przepadł jak kamień.

Poranne mgły w końcu opadły nad Hasselt, a depresja dziesiątego miesiąca rozproszyła się na ten jeden moment. Po chwili Yasmina jechała w stronę „Dalilah” czteropasmówką, pod nosem nucąc starą piosenkę Sefardyjczyków.

Córko moja miła, litość, litość, litość miej

Nie rzucaj się w morza toń,

Czarna ryba tam cię pożre,

A wraz z tobą miłość twą.

* * *

ROZDZIAŁ XVII

Żyłam. Komuś, kto rano idzie do pracy, potem je lunch, odwiedza kilka sklepów, idzie do kina, kocha się, kupuje nowy samochód trudno poczuć dreszcz życia. Życie przychodzi do Ciebie, gdy się rodzisz i gdy umierasz, cała reszta jest fikcją, kinem, bulwarową tandetą miasta.

Patrzyłam na zielone czepki pielęgniarek, próbując zgadnąć co się dzieje. Mój mózg był pozbawiony żagla na oceanie, znikąd pomocy – jedynie nieposkromiony żywioł czasu. Mijały godziny, dni czy lata? – zastanawiałam się jak tylko wracała mi świadomość (nie ból, a matnia rurek i kroplówek).

Zaraz wejdę w komę i pofrunę do góry, myślałam. Moje ciało było nieprzytomne, jednak ja sama, prowadziłam całkiem przyjemną akrobację po zwojach mózgu.

Ma-ter De-i ... jak bęben biło we mnie rytmem Ma-ter De-i, pod sklepieniem powiek, grzęznąc w każdej literze, łkałam prosząc Mater Dei o pomoc. Bo jak nie Ona, to kto?

Bar „Havana Club” był tego wieczora pełen ludzi. Yasmina i Sara siedziały przy stoliku koło tancerzy mambo. Zamówiły Heinekena, kanapki ze śledziem i od serca pogadały o sprawach rodziny. Ta niezbyt pasjonująca historia przywodziła im na myśl klasyczną noc świętego Bartłomieja. Starszy brat ojca Yasminy, Josef, nie akceptował Jürgena w roli Muzułmanina. Jakiś wpływ miała na to zapewne jego żona, Sara z domu Vildman, od trzech pokoleń import koszernej wódki.

Spędziły razem prawie pięć godzin i nie mogły uwierzyć w swoje szczęście. Nie chciało im się jednak gadać cały czas o rodzinie. Widziały się pierwszy raz w życiu i miały sobie do powiedzenia o wiele więcej.

Następnego dnia rano Sara zjawiła się na dyżurze wcześniej niż zwykle. Poszła do szatni po uniform, lecz nie od razu zgłosiła się w recepcji. Wzięła z segregatora plik zleceń do magazynu leków i pojechała windą na poziom minus jeden. Tam otworzyła awaryjne drzwi dla karetek wychodzące na tyły szpitala i wpuściła czekającą Yasminę. Oddała jej swój fartuch i czepek, po czym sama zamknęła się w kabinie łazienki, gdzie spędziła następne dziesięć minut. Punktualnie o dziewiątej Yasmina pojawiła się na korytarzu poziomu minus jeden.

– Rozmawiałam z nią, Sara. Musimy to zrobić.

– Ale czy się uda?

– Na pewno!

– A więc do jutra!

– Do jutra, kochana Sara.

Tymczasem anioł Yasminy (albo jej dżin) parsknął śmiechem:

– Nie mów o niczym: „Z pewnością uczynię to jutro!”, nie dodawaj: „Jeśli

zechce tego Bóg!”

Osman był rasowym Jemeńczykiem. Szczupły, wysmukły jak liść kata, miał zawsze wesołe oczy i dużo wolnego czasu na rozmowy. Yasminę kochał miłością mężczyzny, który wie, kiedy, dlaczego i z kim zamierza się ożenić. Cała reszta Osmana była całkowicie niedojrzała do małżeństwa.

Yasmina znalazła go jak zawsze w kuchni, przy zmywarce. I jak zwykle stała w drzwiach przez dłuższą chwilę, zanim zajęty snuciem życiowych planów zwrócił na nią uwagę.

– Osmanie, kiedyś cię stąd wyniosą, a ty nawet tego nie zauważysz – skarciła go, mierząc wzrokiem spod ślimaka rzęs.

– To ty, Yasmina, nie wiesz, o czym ja myślę...?

– Na pewno zastanawiasz się czemu Najwyższy dał ci tyle wolnego czasu.

Pogroziła mu palcem i posuwając się nieco do przodu, wymamrotała:

– Muszę porozmawiać z tobą, Osmanie...

Zesztywniał, rozłożył szeroko ramiona, oblał się promieniem i spojrzał w górę, wołając Allaha na świadka:

– „Bądź cierpliwy z tymi, którzy rano i wieczór wzywają Pana!”

– Osmanie, twój samochód...

– Samochód? Czy potrzebujesz samochodu, Yasmina? Mój samochód należy do Ciebie!

– Samochód mi nie wystarczy, Osmanie. Potrzebny mi też dobry kierowca i przyjaciel, który nie puści pary z ust.

– Chcesz powiedzieć, że we mnie wątpisz? Oto jakie są dzisiejsze dziewczęta!

Śmiał się przy tym i zrzucając fartuch, ciągnął Yasminę na wąski korytarz przy zmywalni.

– Mów, co chcesz, dziewczyno, a nie zawiedziesz się na Osmanie.

– Pamiętaj...! – z jej twarzy zniknął uśmiech. Patrzyła uważnie w jego ciemne oczy, stawiając pieczęć milczenia. – Osmanie, musisz pojechać do Niemiec.

– Kiedy!? – Osman ryknął, jakby mu przypalono wąsa.

Yasmina położyła palec na ustach i od tej chwili nikt już nie słyszał ich rozmowy.

Dzień po przyjeździe do Hasselt John Walls zdecydował się na wieczorny spacer po mieście. Obejrzał podświetlone witryny w pasażu eleganckich domów, zaszedł do wyludnionej plaży w domu towarowym, zjadł talerz frutti di mare u Włocha i jeszcze przed dziesiątą wrócił do hotelu „Palace”. Mimo późnej pory przez dłuższą chwilę kręcił się w recepcji, prowokując w końcu zainteresowanie niskiego blondyna w prążkowanej, śliwkowej koszuli.

– Czy mogę panu pomóc?

– Nie. To znaczy – tak. Nie czuję się najlepiej. To atak... Nie jestem pewien czy obejdzie się bez lekarza.

Dunin oparł się ciężkim gestem o kontuar i wbił cierpiące oczy w blondyna. Tamten miał niewiele ponad dwadzieścia lat i żadnej wiedzy o tropikalnych chorobach jelit.

– Czy byłby pan uprzejmy – Dunin z rozkoszą torturował recepcjonistę, cedząc przez zęby każdą sylabę z osobna – podać mi informacje o szpitalach w tym mieście?

– Życzy pan sobie wezwać lekarza?

– Nic podobnego, atak powinien przejść w ciągu kilku minut. Dla zasady, rozumie pan, chciałbym wiedzieć, gdzie mogą mi pomóc...

– Oczywiście... rozumiem. W Hasselt mamy pięć szpitali.

– Który jest najbliższy?

– „Święta Wiktoria”. Dostłownie pięć minut stąd.

– Uspokoił mnie pan. Dziękuję. Od razu lepiej się poczułem. Na wszelki wypadek chciałbym wziąć do pokoju książkę telefoniczną.

– Ależ w każdej chwili służę wszystkimi telefonami tu w recepcji. Wystarczy, żeby zadzwonił pan z pokoju przez dziewiątkę.

Dunin zgiął się w pół demonstrując grymasu bólu, który przebiegł mu po twarzy, dokładnie w chwili, gdy ciałem wstrząsnęły dreszcze.

– Jednak zdecydowanie wolałbym mieć tę książkę przy sobie. Może znajdę... właściwego specjalistę... od chorób tropikalnych.

– Jeb twoją mać, durak – pomyślał z satysfakcją i powłóknął nogami w stronę windy z książką telefoniczną pod pachą.

W pokoju zmienił sylwetkę i rozluźnił skurcz twarzy. Nie był już Brytyjczykiem dręczonym amebą, lecz sobą samym. W jednej osobie bojarem i chamem. Dopiero teraz poczuł, że dosięga go zmęczenie tych dni. Z kieszeni trencza wyjął półlitrowkę whisky i plan miasta, kupione w nocnym tabaku. Podczas gdy opróżnienie brązowej butelki zabrało mu nie więcej niż kwadrans, aż pół godziny poświęcił mapie i książce telefonicznej. W końcu nabrał pewności, że w każdym przypadku chorzy z motelu „Dalilah” są przewożeni bądź do Hôpital Lyonnaise przy Route de Lennik, bądź do Szpitala Muncypalnego na Prekelinden. Nie było innego wyjścia.

Sprawdził czas. Pociąg relacji Antwerpia-Frankfurt miał go zabrać z dworca kolejowego Hasselt o piątej dwadzieścia po południu. Poświęcił skromne śniadanie w szwedzkim barze, by mieć pewność, że zmieni się recepcjonista. W istocie, o dziesiątej za kontuarem stała atrakcyjna blondynka, której urodę Dunin skwitował dwufuntowym napiwkami.

– Czy życzy pan sobie taksówkę? – spytała widząc, że zbiera się do wyjścia.

– Nie, dziękuję. Mam coś do załatwienia w pobliżu.

Dunin nie kłamał. Spacerem dotarł do arkad muncypalnego muzeum sztuki, gdzie poprzedniego wieczora wypatrzył dyskretnie ulokowane aparaty telefoniczne.

Po pierwszej rozmowie poczuł się pewnie, zapalił papierosa i z satysfakcją uznał, że nauczycielki trzeba będzie szukać w kostnicy. Niski głos w szpitalu lionńskim stanowczo zaprzeczył, jakoby z piątku na sobotę rano przyjęto pacjentkę z objawami ciężkiego zatrucia. Do szpitala na Prekelinden zadzwonił właściwie dla sportu. Mówiąc po francusku, zawsze odnosił wrażenie, że słyszy w swoim głosie pewną niedoskonałość, choć ekstremem wymagający lektorzy z instytutu wojskowego niezmiennie wystawiali mu najwyższe noty z trzech języków europejskich.

Tym razem postarał się, by akcent brzmiał ciężko, z niemiecka.

– Czy jest prawdą, że przywieziono do waszego szpitala moją przyjaciółkę w stanie ciężkiego zatrucia?

– Kiedy? Proszę o nazwisko?

– W sobotę z rana. Nocowała w motelu. Bodajże „Dalilah”.

Kobięcy głos zaciął się po drugiej stronie słuchawki. Gdy po chwili odezwał się znowu, czuć w nim było wahanie, ledwie wyczuwalne, lecz pewne.

Dunin zamarł, by dobrze usłyszeć to, na co już czekał, czego nie mógł już zmienić...

– Z motelu „Dalilah”?... Jest taka pacjentka.

– Czy może mi pani powiedzieć, gdzie mógłbym ją znaleźć?

Tym razem Dunin nie rzucił już pytań z głupia frant jak zaczepki. Naprawdę chciał usłyszeć odpowiedź i naprawdę wiedział, że ...

– Niestety, bardzo mi przykro. Przez telefon nie udzielamy żadnych wyjaśnień.

Odłożył słuchawkę. Spojrzał na zegarek. Jedenasta.

W zamyśleniu sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza szukając czegoś, co wyleciało mu z pamięci. Na dnie wyczuł kształt sygnetu, który przed trzema dniami tak rozgrzał jego serce, a teraz przyprawiał o dreszcz chłodu.

* * *

ROZDZIAŁ XVIII

Sara van Thiegle odłożyła słuchawkę i pędem rzuciła się do torebki. W małym błyszczącym notesie, od razu na pierwszej stronie, Yasmina wyrysowała drobnym pismem rząd równych cyfr, jak to Arabka, pięknie.

– Yasmina? To ja, Sara. Słuchaj, stało się coś dziwnego. Jakiś mężczyzna pytał o... no...o nią. Nie, nie przedstawił się. Ale dokładnie wiedział, kogo szuka. Znał nazwę motelu! Tak, naprawdę! Zaczynam się niepokoić. Po tym wszystkim, co mi mówiłaś! Może trzeba się zatrzymać. Nie robić tego. Dobrze. Więc dokładnie za godzinę, tam gdzie wtedy.

Przez dłuższą chwilę głos w słuchawce wznosił się i opadał mieszając Sarze coraz bardziej w głowie.

– Yasmina, czy jesteś pewna? Czy wiesz co robisz? Co r o b i m y?

Stare renault 5 turbo Alpine podjechało do szpitala od strony Ninoofses-treenweg. Dochodziła dwunasta. Sara powinna być już na dole, po drugiej stronie drzwi, które widzieli z oddali, podjeżdżając na awaryjny pomost dla karettek. Nie stało tu zbyt wiele samochodów, lecz niepozorna, stalowoszara renówka nie budziła żadnych zastrzeżeń.

Yasmina szła spokojnym, niespiesznym krokiem kierując się w stronę znajomego wejścia. W ręku niosła dużą kraciatą torbę z TricTraca. Miała szczęście. Ruch na podjeździe zamarł od dobrej godziny i nie znalazł się nikt, kto zwróciłby uwagę na dziewczynę w długim granatowym płaszczu. Sara czekała już za drzwiami.

– Pospiesz się.

Zaraz zniknęły w nieuczęszczanej łazience na magazynowym korytarzu, a po minucie Yasmina szła w stronę windy w nienagannie spasowanym uniformie. Szczęście jej dopisało. Jechała windą sama i nie napotkała nikogo, kto mógłby zwrócić na nią uwagę. Pod pachą niosła plastikowy koszyk wypełniony pudełkami erytromycyny. Nie mogła myśleć o tym, co się zaraz stanie, t o m u s i a ł o zdarzyć się samo, bezwiednie szła w stronę, gdzie kilka godzin wcześniej obca kobieta powiedziała do niej: „on chce mnie zabić”.

Tego dnia rano Yasmina otworzyła Koran na XVIII Surze i przeczytała słowa proroka:

Wyślijcie więc jednego z was do miasta
z waszymi pieniędzmi,
aby się rozejrzał, kto ma najlepsze jedzenie,
I przyniósł wam od niego zaopatrzenie;
lecz niech on działa ostrożnie
I niech nikogo o was nie powiadomi.
Bo jeśli oni was odkryją,
to was ukamienują

albo nawrócą was na swoją wiarę,
I wtedy nigdy nie będziecie szczęśliwi.

Czy mogła się jeszcze wahać? Ani przez chwilę nie zamierzała zawrócić z korytarza. Jeszcze dwa numery, kilka metrów, nacisnęła klamkę i pchnęła drzwi.

Zdziwiony wzrok starszej pielęgniarki w spiczastym czepku wyrażał najwyższą dezaprobatę.

Yasmina stanęła niepewnie w progu, oburącz trzymając się koszyka z erytromycyną.

– Gdzie identyfikator? – spytała po dłuższej chwili milczenia Jeanne Matilde, bez cienia litości marszcząc czoło, co miało w domyśle zapowiadać straszliwe konsekwencje dla młodej pielęgniarki.

– O, przepraszam, ja jestem dzisiaj pierwszy raz, mamy staż i zupełnie zapomniałam, że... – z oddali dosięgały ją ostatnie słowa Sary, która tak właśnie kazała się tłumaczyć przy jakimkolwiek spotkaniu. Tylko co dalej? Yasmina czuła, jak schnie jej w gardle.

– Z której szkoły?

Oczywiście! T a nazwa! To było...

– Z Instytutu Weissmena, proszę pani.

Przełożona nie kryła irytacji:

– Aha! Stażystka z W y t s m a n a!? Z roku na rok wasze czoła są mniej skażone jakkolwiek myślą... Niech zatem stażystka przespaceruje się do siostry dyżurnej i przyniesie dwie butelki wody dla pacjentki, bo jak widzę, od dawna tu nikt nie zaglądał.

Jeanne Matilde oszczędziła tym razem innych uwag, jakimi miała w zwyczajcu raczyć dziewczyny ze szkoły pielęgniarskiej, ilekroć tylko dostała je w swoje ręce. Zza jej pleców Yasmina widziała zaledwie fragment tóżka, aluminiowe rękawy kroplówki, dłoń na seledynowym prześcieradle, wszystko prócz twarzy.

Nie było innego wyjścia, musiała się wycofać. Postusznie zawróciła na pięcie i wymaszerowała na korytarz. Gdzie znaleźć wodę? Skręciła w lewo. W oddali zobaczyła przeszklony boks czegoś, co mogło być dyżurką.

– Dzień dobry. Mam zanieść wodę dla pacjentki.

Tym razem szło już lepiej. Dyżurna siostra nawet nie podniosła głowy znad klawiatury komputera.

– Tylko nie z lodówki – mruknęła.

Chwilę później Yasmina wracała do numeru dwadzieścia trzy, przytrzymując z trudem dwie butelki wody i koszyk erytromycyny. Musiała wyglądać dość dziwnie, bo czuła na sobie wzrok dwóch innych pielęgniarek nadchodzących od strony korytarza.

Dwadzieścia pięć, dwadzieścia cztery, dwadzieścia trzy... jest!

Jeśli w środku będzie ktokolwiek poza kobietą na łóżku, nie ma sposobu, by ją stamtąd wyciągnąć.

Zawahała się przed pchnięciem drzwi, nacisnęła łokciem klamkę, podniosła wzrok i jak na loterii sprawdziła numer, który wygrał. Bingo! Były w pokoju same. Yasmina i kobieta ze snu.

Pędem rzuciła się do krawędzi łóżka.

– Madame, madame, c'est moi, Yasmina. Vite, vite. Depechez vous!

Kobieta otworzyła oczy. Przez moment zdawała się nie widzieć nic, czy nie rozumieć, lecz Yasmina pociągnęła ją za ramię tak mocno, że jej twarz nagle przejrzała błyskiem świadomości. Rychło w czas, można by powiedzieć. Yasmina musiała teraz zerwać z siebie zielony fartuch, pod którym miała jeszcze jeden, identyczny. Spinąca go na obcej kobiecie, jak zatroskana siostra.

Chwilę potem wysunęły się na krawędź korytarza. Szły zbyt blisko, zbyt ciężko, zbyt chromo, by nie wzbudzać podejrzeń. W ostatniej chwili Yasmina dostrzegła kątem oka czerwoną strzałkę przy drzwiach windy i pociągnęła kobietę w stronę drzwi z napisem TYLKO DLA PERSONELU. Zanim dźwigny wypuły z sykiem garść zielonych fartuchów, kobiety znikły już u szczytu schodów. Ktokolwiek wysiadł teraz z windy widział już tylko ich znikające plecy.

Bez przeszkód dotarli do łazienki. Z kabiny wychynęła spocona twarz Sary. Po minucie na poziomie minus jeden nie było już nikogo. Yasmina w cienkiej, gabardynowej marynarce i postać w granatowym, długim płaszczu zniknęły z terenu szpitala, przekraczając rampę dla karetek.

Dunin był zaszępioty bardziej, niżby to chciał pokazać współpasażerom z przedziału drugiej klasy ekspresu Antwerpia-Frankfurt. Szczęśliwie odnalazł swoje miejsce przy oknie, co pozwalało mu unikać wzroku kilkuletniej dziewczynki o jasnych włosach skręconych w dwa cienkie warkoczki, która, na przekór dyskretnym upomnieniom rodziców, uparcie próbowała zajrzeć Duninowi prosto w oczy.

Świadomość, że natura nie ulegała człowiekowi wprawiła go w osłupienie. Ostatnia próba dotarcia do nauczycielki, już w szpitalu, mogła się skończyć zupełnie idiotycznym incydentem. Gdyby nie lata doświadczeń...

Chcąc ominąć recepcję, skręcił do białych drzwi z tabliczką TYLKO DLA PERSONELU. Zaraz na schodach zdjął płaszcz i przewiesił go pewnym gestem, jakiego nabywają rodziny notorycznie odwiedzające swoich chorych.

Wszedł na czwarte piętro – wyżej już się nie dało i z satysfakcją przyjął do wiadomości, że wylądował na chirurgii. Tu zabłąkany mężczyzna bez fartucha nie mógł budzić żadnych skojarzeń z pacjentką, która wedle reguł gry powinna znajdować się na internie. Śmiało wszedł na korytarz, patrząc uważnie na to, co z grubsza musiało się powtarzać na każdym piętrze. Trzydzieści sześć pokoi, jakieś pięćdziesiąt metrów korytarza do przejścia, na

samym końcu przeszklona dyżurka, którą należało omijać z daleka.

– Czy mogę panu w czymś pomóc? – milutka pielęgniarka o wesołych oczach i włosach z wyptowiątego żagla podeszła do mężczyzny, który szedł z płaszczem przewieszonym przez ramię.

– Szukam mojej siostrzenicy, na oddziale wewnętrznym.

– Proszę zejść dwa piętra niżej, tu mamy chirurgię. A... niech pan jednak nie zapomni zostawić płaszcza w szatni. O ile wiem, na internie są bardzo wrażliwi na te sprawy.

– Dziękuję, siostrze, – Dunin uprzejmie wycofał się w stronę windy i ze zwinnością człowieka, który bywa częstym gościem w szpitalu przepuścił grupę zielonych fartuchów wylewającą się z elewatora na korytarz.

– Na drugie piętro jechał sam, więc zdołał jeszcze sprawdzić czy nabój z numerem „dziewięć”, który spoczywał w kieszeni trencza, innymi słowy generyk arseniku, był prawidłowo zabezpieczony.

Dawał sobie nie więcej niż trzy minuty. W tym czasie musiał otworzyć wiele drzwi, obejrzeć wielu chorych. Zegarek pokazywał za pięć dwunasta dokładnie w chwili, gdy drzwi windy rozsunęły się przed nim z szelestem. Nie podniósł od razu głowy, lecz dobrze wyszkolone oczy penetrowały tunel korytarza. Nie było tam nikogo. Postawił pierwszy krok.

Instykt kazał mu szukać izolatki, otwierał i zamykał kolejne drzwi, wsuwając przepaszający uśmiech roztargnienia. Tak też powitał ostry ton pielęgniarki, która niespodziewanie stanęła przed nim jak hybryda. Mówiła po flamandzku, a on bezradnie rozłożył ręce:

– Excuse me, I'm a little bit lost.

– Your coat, sir! – wycedziła wyraźnie zbulwersowana i bez ogródek wskazała wypraszącym gestem drogę w kierunku windy.

Zostało mu do sprawdzenia dokładnie szesnaście pokoi, cel był zbyt bliski.

– Siostrze, pani wybaczy, jestem taki zakłopotany. Przyjechałem do Hasselt na spotkanie z autorką, sam jestem wydawcą, pani rozumie... Ku mojemu zaskoczeniu dowiedziałem się właśnie, że w stanie ciężkiego zatrucia została przywieziona do tego szpitala. Sam nie wiem, czy to prawda, chciałbym się upewnić...

– To nie zwalnia pana z obowiązku pozostawienia płaszcza w szatni.

Jeanne Matilde stanowczo nacierała na intruza.

– Jak się nazywa chora?

– Christine Vier.

– Vier, Vier... nie kojarzę. Proszę za mną, zaraz sprawdzimy czy leży u nas pacjentka o tym nazwisku. Jest pan pewien, że przywieziono ją do naszego szpitala? Kiedy to było?

– Trzy dni temu. W sobotę rano. Zatrzymała się w motelu... bodajże „Dalilah”... Spiczasty czepek nastroszył się jeszcze bardziej.

– W motelu, powiada pan?!

Stanowczym krokiem ruszyła w głąb korytarza z wiadomym sobie tylko zamiarem, lecz Dunin wyczuł niepokój i podniecenie bijące z jej pleców. Krok stał się nagle szybki i zdecydowany... Właśnie mijali drzwi prowadzące na schody. Zanim kobieta zdążyła usłyszeć trzask, Dunin pędził już, przeskakując po dwa stopnie, a po chwili wypadł przez główne wejście wprost na odjeżdżającą właśnie spod szpitala taksówkę.

Jadąc w kierunku dworca kolejowego, nie czuł nic poza irytacją i żalem, że tak proste zadania okazują się czasem tak beznadziejnie niewykonalne.

Tymczasem przełożona pielęgniarek, zbulwersowana zachowaniem wydawcy, gwałtownie wkroczyła do izolatki oznaczonej numerem dwadzieścia trzy. Znieruchomiła. Przez chwilę mogła mieć jeszcze nadzieję, że chora jest w toalecie, że wyrwany wenflon kroplówki, z którego wysączyła się już na posadzkę porządna kałuża płynów fizjologicznych świadczy wyłącznie o zaniedbaniach dyżurnej pielęgniarki... Jednak po chwili ocknęła się i bez zwłoki zawiadomiła doktora Viendersa, że chora, prawdopodobnie niejaka Christine Vier znikła w niewyjaśnionych okolicznościach bez wiedzy personelu, pozostawiając po sobie jedynie szpitalny bawełniany szlafrok...

* * *

ROZDZIAŁ XIX

Osman nie jechał szybciej niż setką. Oczywiście, gdyby to było w jego mocy, chętnie zniknąłby na autostradzie do Aachen z prędkością ferrari. Niestety kultura techniczna nie była mocną stroną Osmana, który przykry dla postronnych widok wstęgi dymu z palonego oleju tłumaczył dziurą w tłumiku. Był to ostatni taki pojazd Beneluksu, dlatego też inni kierowcy z podziwem mijali rozpędzoną renówkę, nie bez powodu uznając, że dopuszczona do ruchu musi przedstawiać sobą jakąś szczególną wartość.

Granica Niemiec mignęła w lusterku niespełna trzy kwadransy po tym, jak opuścili szpitalny podjazd. Kobieta wbita w zwartą kolebkę sportowego fotela nie odezwała się ani słowem. Osman chciałby ją może i zagadać, lecz za każdym razem gryzł się w język i z głębi duszy wołał na pomoc Allaha.

Yasmina nie powiedziała mu, gdzie pasażerka ma wysiąść, ani tym bardziej do czego to wszystko miałyby prowadzić. Po prostu kazała wsiąść i jechać:
– Osmani, nie zawieź mnie, – usłyszał tylko i pierwszy raz w jego sercu zagościł smutek.

– „Dzisiaj są wam dozwolone dobre rzeczy i kobiety cnotliwe spośród wierzących” – znany werset Sury obudził go z letargu, a ponieważ żaden Jemeńczyk nie lubi samotności, przekreślił gałkę radia i włączył kasetę z ulubionym kawałkiem „El Szarah”.

Pół godziny później wjeżdżali do Aachen od północnej strony miasta.

Kobieta oparła głowę o zagłówek fotela, jednak jej źrenice wyraźnie pracowały, wypatrując być może znajomego widoku, być może jakiegoś szczególnego znaku. Tego Osman nie wiedział. Zanim wjechali do miasta, usłyszał jej zduszony głos:

– Ici.

Osman rozejrzał się. Mogła mieć na myśli wyłącznie stację benzynową Shella. Nic innego nie było widać w promieniu pięciuset metrów.

Podjechał pod kompresory. Nie zwlekając, kobieta otworzyła drzwi i z determinacją zaczęła opuszczać wnętrze pojazdu. Po chwili zatrzymała się jednak, cofnęła lub po prostu wpadła z braku sił z powrotem do środka i po raz pierwszy spojrzała w ciemne oczy Osmana.

– Merci.

Uśmiechnął się szeroko z nadzieją, że pasażerka nie zechce przedłużać ceremonii pożegnalnych i zdecyduje się niezwłocznie zniknąć mu z pola widzenia. Pokiwał głową i z ulgą patrzył jak oddala się krok po kroku sunąc w kierunku dystrybutorów. Czym prędzej przekreślił kluczyk w stacyjce. Aparat zapłonowy wydał znajomy dźwięk. Za drugim razem usłyszał to samo, i za trzecim...

– To nie może być prawda! – krzyknął i rzucił się do maski silnika.

Przez ułamek sekundy mignęła mu postać kobiety, która sunęła w stronę zielono-żółtego tira.

Poruszył klemami obrośniętymi jak kadłub łodzi i znowu spróbował odpalić. Tym razem renówka ze skowytym pociągnęła zapłon. Mijał tankujące samochody, nawet nie próbując odnaleźć wzrokiem granatowego płaszcza. Chciał jak najszybciej z tego miejsca się oddalić.

Przeszła mu tuż przed maską. Właściwie nie szła, lecz przedzierała się z ogromnym wysiłkiem stawiając kroki, jakby trotuar uciekał jej spod stóp. Osman nie wierzył, że Mesjasz jest Synem Boga, lecz na widok nieszczęsnej chrześcijanki i jemu ścisnęło się gardło, i on nie mógł zapomnieć, że kto nie daje jałmużny podróżnemu w drodze dla tego Allah będzie miał godną zapłatę, wieczną drogę męki i strapienia. Gwałtownie zahamował i wrzucił wsteczny bieg. Nie zważając na wyskakujące spod dystrybutorów auta kluczyły, próbując zajechać drogę kobiecie. Stała przy wejściu do sklepu, z rękami w kieszeniach, niepewna czy iść dalej.

Musiał zatrąbić, żeby podniosła wzrok. Zbliżyła się do renówki, a gdy Osman otworzył jej od środka drzwi, usłyszał jeszcze jak mamrocze

* Mater Dei...

*

Człowiek, który pędził renówkę jak wielbłąda, trząś portkami ze strachu o wiele bardziej niż ja. Coś zmusiło go jedna, by zapakować mnie z powrotem do środka i gnać na złamanie karku w głąb Reichu. A ja potrzebowałam tych kilku godzin, by ogarnąć sytuację i dojść do jakichkolwiek konkluzji.

Zadawałam sobie pytanie, kim była dziewczyna, która wyprowadziła mnie ze szpitala. Widziałam ją pierwszy raz w życiu, a sądzę, że ona także nie знаła mnie wcześniej. Jak na anioła postępowała całkiem racjonalnie – ubranie, kierowca z samochodem i dwa pięćdziesięciomarkowe banknoty, które wsunęła mi do kieszeni płaszcza były solidną tratwą dla takiego rozbitka jak ja. Należało wziąć pod uwagę, że była agentką, jak wszyscy których spotykałam od paru tygodni, lecz to po prostu przestało mnie w tej chwili interesować.

A jednak, tak czy inaczej wszystkie drogi musiały mnie teraz prowadzić do j a k i e g o ś agenta, a właściwie do bardzo konkretnego agenta..

– Frankfurt – powiedział nagle Arab pokazując oznakowanie autostrady.

Co dalej? Gdzie mój paszport? Ja...? Ze stoma markami w kieszeni cudzego płaszcza, o tej porze, na zjeździe z autostrady do Frankfurtu nad Menem? Z moją reputacją nauczycielki angielskiego, bez paszportu i żadnej tożsamości? A ktoś chce mnie zabić?!!

Spałam nie wiedząc ile – godzinę, może dwie... wśród wiaduktów i zjazdów. Wjechaliśmy od strony dzielnic przemysłowych, brudnych, jak cała ta zakurzona cywilizacja. Renówka pięta się ulicami gęstniejących domów, kierowca znał drogę i wiedział jak należy jechać. Samochód tykał spaliny, a

dym przepalonego oleju uciskał skronie. Chciało mi się płakać.

Wtedy pomyślałam nagle, że powinnam wracać. Do Polski. Tylko człowiek szalony ma jakąś szansę.

– La Pologne...?

– La Pologne?! Oui. Oui. Frankfurt. –Uśmiechał się dalej kompletnie bez kontaktu.

Pomiędzy betonowymi blokami biegały dzieci. Mimo marnej pogody i zapadającego zmierzchu widziałam skaczące w reflektorach kurtki, ciemne arabskie twarze, wjeżdżaliśmy w typowy slams blokierski dla obywateli gorszej kategorii. U nas, w Kanadzie nie było takich widoków, lecz w Paryżu widziałam to na codzień...

– Madame – wybuchnął nagle, jakby go paliła przepona – nie wiem o co w tym wszystkim chodzi, a nawet myślę, że Yasmina też nie wie, a może nawet pani nie wie, ale... ale... wiozę panią do rodziny. To dobry Muzułmanie. Oni przyjmą panią do siebie i tam pani będzie myśleć o dalszej drodze. Jeśli taka jest wola Najwyższego, niech tak będzie.

Niedługo potem stałam w pokoju wylepionym kolorowym, wzorzystym papierem, na dywanie walały się zabawki i dzieci, a cały dziesięciopiętrowy dom buczał i pachniał jak knajpa z kebabami, w której kiedyś zmywałam talerze. Niemłoda już kobieta z oczami wielkimi jak pomarańcze zdjęta ze mnie płaszcz i natychmiast przyniosła szklanekę wody.

Kierowca zniknął jak duch.

– Salam alejkum.

* Alejkum Salam.

Joan wysunęła głowę z pokoju na korytarz. Zaraz schowała się jednak i zawróciła do okna. Sądząc po ożywionym ruchu na chodnikach, sześć pięter niżej, dzień zaczął się już na dobre.

– Guten Morgen – usłyszała zza pleców. Głos kobiety używał zabawnej, gardłowej intonacji.

Odwróciła głowę. Przed nią stała roześmiana dziewczyna o przesadnie okrągłych kształtach. Jak wszyscy tutaj była Arabką. Co do tego Joan nie miała najmniejszych wątpliwości.

– Guten Morgen. Sprechen Sie deutsch?

– I speak english... Parlez-vous francais?

– En-GLISH, en-GLISH – dziewczyna pokiwała głową i wyciągnęła rękę, jakby chciała dotknąć twarzy Joan.

– Break-fast – wysylabizowała w końcu – eat..., eat... – odwróciła się na pięcie i zniknęła za drzwiami.

Po chwili wbiegła z miniaturową zastawą na mosiężnej tacy. Parzona kawa roztaczała zapach, który obudził zmysły Joan.

– Oh, thank you, I can't believe that! A cup of coffee... – zaśmiała się do własnych myśli – before I go... What-is-your-name?
– A-ji-ja, A-ji-ja – wesółka kulka postukała się kciukiem w pierś – Ajija. Zaufanie. To było coś, czego Joan bardzo teraz potrzebowała.
– Joan, my name is Joan.
– Jo-an – powtórzyła Ajija z takim namysłem, jakby chciała zapamiętać zapach tego słowa. – A-ji-ja-from-Pakistan. Jo-an from...from.. A-me-ri-ca?
– Joan from Canada.
– Oh, from-Ca-na-da... – dziewczyna otworzyła szeroko oczy i pokiwała ze zrozumieniem głową. – My-fa-mi-ly-Ca-na-da – too.
Utknęły obie.
– What time is it?
– What-time-is-it? – Ajija dosłownie rozplynęła się w uśmiechu. Pokazała palcem na plastikowy zegar pokryty opalizującymi kryształkami minii.
– Three.
Joan podeszła do okna lustrując wilgotną, schłodzoną ulicę. Jesienne widoki miasta. Trzecia godzina, to mogła być prawda, tylko...którego dnia?
– Mon-day, thues-day, wends-day...thurs-day! – wykrzyknęła radośnie Ajija, odgadując jej myśli.
Joan poczuła, że świat wokół niej topnieje. Nie, to ona topniała i tysiącami kropel lała się na miękki dywan.

* * *

ROZDZIAŁ XX

Ibrahim, ojciec Ajiji pracował w fabryce narzędzi tnących Würgera. Był dobrym Niemcem, płacił podatki i nigdy nie wchodził w konflikt z prawem. Mimo to wciąż mieszkał tu, na Eschenwaldzie, w najmniej niemieckiej dzielnicy miasta, gdzie kłopoty ma każdy bez wyjątku, nie wychodząc z domu. Ibrahim, jak rzadko który ojciec cieszył się, że nie ma synów. Allah obdarzył go czterema córkami na znak, że Ibrahim ma prowadzić proste życie dobrego muzułmanina, żadnych kradzionych sprzętów, samochodów, magnetowidów, a tym bardziej amfetaminy. Tymczasem kłopotliwy gość, w dodatku kobieta, którą niemądry Osman przyciągnął tu aż z Hasselt, sprowadzała na biedną głowę Ibrahima to wszystko na raz i Allah raczy wiedzieć co gorszego. W drodze z pracy, chcąc nie chcąc, Ibrahim odwiedził sąsiada z trzeciego piętra, starego Ismaela.
– Bądź zdrow, Ismaelu.
– Bądź zdrow, Ibrahimie. Allah jest wielki. Co cię sprowadza w moje progi? Dawnośmy się nie widzieli.
– Jak wiesz ciężko pracuję. Mam na utrzymaniu całe stado kobiet i ani jednego syna do pomocy. Tobie Pan pobłogosławił. Masz trzech dorodnych synów i wielką pociechę na stare lata.
– Nie przystoi narzekać na dzieło Najwyższego, Ibrahimie, ale jak wiesz niesprawiedliwość nie odstępuje mojego rodu ani na krok odkąd stanęliśmy na tej ziemi. Dwóch najstarszych siedzi w więzieniu...
– Słyszałem, słyszałem. Przykro wiedzieć, że taka troska spotyka sąsiada...A czy prawdą jest, co mówią, że oskarżono ich o handel bronią?
– Jeśli tak mówią, może to i prawda, ale droga prawdy jest długa i daleka. A oskarżenie i sąd szybkie i bliskie.
– Ismaelu, jak widzę ciężkie czasy przyszły do twego domu. Ale powiedz mi czy to prawda, że znaleziono przy nich fałszywe dokumenty, karty kredytowe i paszporty...?
– Ibrahimie! Czego to nie opowiadają kobiety! Zdaj się na Allaha i nie wierz we wszystkie brednie.
– O, to wielka szkoda, Ismaelu, wielka szkoda dla mnie, że nie znaleziono przy nich paszportów...
– A to dlaczego, drogi sąsiedzie? Czemu cię to trapi?
– Bo, widzisz, Ismaelu. Gdyby twoi synowie mieli taki paszport, choć jeden taki paszport, to ja chętnie bym go od nich kupił. Dobrze bym zapłacił, uczciwą cenę!
– A co? Wybierasz się w podróż, Ibrahimie?
– Nie ja, Ismaelu, nie ja. Mam gościa...
– Słyszałem coś nie coś o kobiecie z drogi, ale czy możesz jej ufać? Napi-

sano wszak: „I dawaj krewnemu, co mu się należy, i biednemu, i podróżnemu; lecz nie rozrzucaj nadaremnie! Zaprawdę rozrzutni są braćmi szatanów, a szatan jest niewdzięczny względem swego Pana”

– Ismaelu, mam wielki szacunek dla twej mądrości, lecz powiedz mi skąd ci wiadomo, że przybyła do nas ta kobieta ...?

– Wiesz przecież, że Bóg stworzył pewną liczbę dżinów, aby nas ostrzegali przed niewiernymi i w porę dawały odpór szatanom!

– Co więc zrobisz?

– Jutro wieczorem, po modlitwie przyprowadzisz ją tutaj, a dostanie wyprawę na drogę.

– Mówię: „Szukam schronienia u Pana ludzi, Króla ludzi, Boga ludzi, przed złem kusiciela, wycofującego się skrycie, który podszeptuje pokusę w serca ludzi – spośród złych dżinów i złych ludzi.”

Do wieczora matka Ajiji nie zakłócała spokoju gościa. Kobieta z drogi, kimkolwiek była, potrzebowała spokoju. Co pewien czas, na zmianę z Ajiją bezszelestnie zbliżały się przykładając ucho do piersi Joan.

– Śpi – kiwała stara odganiając małe główki, które kłębiły się u progu.

Ibrahim wrócił do domu nieco mniej strapiiony. Od wejścia spojrział pytająco na żonę.

– Śpi – skinęła głową i zabrała się zastawiania stołu.

Pół godziny później siedzieli już całą rodziną wokół pachnących kurkumą naczyń z warzywami i kuskus, gdy w drzwiach stanęła Joan. Matka Ajiji bez słowa zdjęła z kolan najmłodsze, półroczne dziecko. Nieco starsza, kilkuletnia dziewczynka jednym skokiem dosięgła Ajiji, chowając głowę za oparciem krzesła. Ibrahim natychmiast pokazał jej miejsce przy stole i wyciągnął obie ręce tak zachęcająco, że Joan bez wahania przyłączyła się do posiłku. Poza wszystkim była naprawdę głodna. Jogurtowy aromat przyprawił ją o mdłości, lecz szczęśliwie przemogła się, a w nagrodę poczuła, że nigdy, przenigdy w życiu jedzenie nie było tak dobre. Myślała o tym wylizując ostatnim kęsem chleba sos z ratanowej miski. Myślała tylko o tym.

I to nie było jak strach, jak wstyd, lecz jak łagodna przeprawa przez spieniony nurt rzeki. Wszystko dokoła huczy, a ty jednak czujesz się bezpiecznie. Chroni cię łagodność ludzi, których jedynym językiem są słowa Boga. Na zawsze zmieniają pokarm twojej duszy jedną miską kaszy, modlitwą.

Ajija nalegała:

– Ojciec pyta. Gdzie?

– Gdzie?

– Gdzie chcesz jechać, Joan?

Sił miałam tyle by żyć, oddychać. Ale myśleć?

Więc powiedziałam to, co mi przyszło do głowy:

* Poland.

Ibrahim wiedział o Polsce mało, lecz Polaków miał co dzień pod bokiem. Jadąc rano do pracy szybkobieżnym autobusem przecinającym miasto na dystansie ponad czterdziestu kilometrów z południa na północny wschód, intensywnie myślał, jakim sposobem wyprawić kobietę dalej, do Polski. Widział jedną osobę, która mogła mu w tym pomóc. Dziewczyna na wielkim wózku sprzątała hale w przerwie obiadowej. Nazywała się Maria – różowy płatek róży o uśmiechu bystrym i grzmiącym jak potok.

Ibrahim nie szukał kobiet, miał dosyć własnych, lecz na nią lubił patrzeć, gdy przesuwano z wolna wysoką górę szczotek. Wydawała się miła i swojska dla oka, odkąd ktoś mu powiedział, że ona też przybyła z gór, wysokich strażnic Pana, jak oni. Podeszedł do niej na przerwie wyłamując się z żółtego nurtu kombinezonów, które płynęły z hali fabrycznej na stołówkę.

Zagadał po niemiecku. Popatrzyła pyskająco buzią, wesole oczy kręciły się jak koła, wreszcie zaczęła gadać po swojemu, płacząc niemieckie słowa, głównie „sprechen Polen”.

Po dwudziestu minutach mężczyźni wrócili do maszyn, Ibrahim chcąc nie chcąc stanął przy swojej i pomyślał, że szkoda czasu na takie rozmowy. Jednak nie minęło pół godziny, jak Maria pojawiła się znowu, tym razem w towarzystwie innej kobiety, też z Polski, tyle że grubej i mocnej jak pień. I ta dobrze mówiła po niemiecku.

Dogadali się bez problemu. Brat Marii, woził z Polski do Reichu transporty koni dla niemieckich handlarzy. Właśnie miał jechać z powrotem w konwoju trzech samochodów. Jeden pasażer więcej, w dodatku kobieta – w sam raz dla górali.

Ibrahim wrócił do domu zadowolony. Wziął na ręce najmłodszą córkę, wycalował pozostałe kobiety i tuż po wieczornej modlitwie zawołał do siebie Ajiję:

– Powiedz jej, niech się zbiera.

– Gdzie, ojciec?

– Odkąd to kobiety w moim domu zadają takie pytania, Ajija?

Ajija spuściła głowę i przez dłuższą chwilę myślała jaką dać odpowiedź:

– Ona taka nie jest. Jej musisz powiedzieć.

– Dowiedz się w swoim czasie. Powiedz jej, niech się zbiera.

Joan nie pytała jednak o nic. Była blada i słaba. Poza tym już przyjęła reguły tego świata, w którym o niczym nie mogła decydować. Decydowali oni. Poszła za Ibrahimem. Następny szary blok. Młody Arab w dżinsowej kurtce kazał jej stanąć koło białego ekranu do wyświetlania przeźroczy. Polaroid. Nawet nie drgnęła jej powieka.

Na zdjęciu, pół godziny później, zobaczyłam się w nowym, błyszczącym paszporcie.

Nie, to nie byłam ja, tylko Cristine Koch. Tak napisano.

Ismael postukał palcem w fotografię.

– Ihre neue name, Cristine Koch...

– Cristine Koch, – powtórzyłam na głos, lecz nie zabrzmiało to zbyt przekonująco.

Poważnie zaczęłam się jednak zastanawiać nad tym co się stało z Joan Chalat. Czy zmarłam?

I czy ta nieżywa ja patrzyłam na siną twarz Cristiny, której nigdy nie było?

– To ty, to ty, to ta sama, to ciągle ty i ta.

Zaczynałam słyszeć swojego dżina. Więc, jeśli to prawda, że ja nie żyję, niech moje nowe życie będzie tego warte, pomyślałam.

W pierwszej chwili nie chciałam wierzyć, że muszę opuścić azyl, nagle, we śnie. Spałam w ubraniu, w swetrze i spodniach, włókna przylgnęły do mnie jak kokon. Pod powiekami miałam wciąż sen. Nie przeraźliwy i mroczny jak dotąd, lecz zalany słońcem łagodny obłok. Chciałam zatrzymać miękkie dłonie, które przeczesywały moje włosy, błogie uczucie, że ktoś mnie dotknął jak... Jak?...

– You-go-po-land

Ajija głaskała mnie ciepłą dłonią po policzku. A więc to nie był sen.

Już przy samochodzie wsunęła mi w rękę małą, celofanową paczkę związaną czerwonym sznurkiem.

– Co-ffee. Cardamon. Special. – powiedziała.

Poczułam, że budzi się we mnie życie. Chciałam jej ofiarować coś, co należałoby do mnie, zdjęć z palca pierścień, lecz wtedy... tak mną targnęło na maskę landrovera, że ten aż stęknął jak człowiek. Pierwszy raz dotarło do mnie, że nie mam już nic, co byłoby moje. Zostałam okradziona. Ze wszystkiego.

Samochód oddalał się w szarej poświacie zmierzchu w stronę czegoś nowego, czegoś co nie miało jeszcze formy.

– Jak dobrze – myślałam poddając się równemu rytmowi szosy. Koło mnie siedział Kazek. Miał wesołe oczy i taką energię w głosie, że chciało się żyć.

– Kazek? – powtórzyłam nie wiedząc jeszcze co odpowiem, „Joan Chalat” czy „Cristine Koch”...? – You go Poland?

– Yes, yes, Waksmund, Waksmund, you know „Za-ko-pa -ne”? Tatra Mountains? Kasprowy Wierch?

– Ja mówię po polsku...

– No to hej, miła pani. Jedziemy do naszych.

* * *

ROZDZIAŁ XXI

Od kilku dni Konrad Chlebowski był chory z żalu i niepewności. Marianne

Dahl, do której dzwonił co pewien czas, uparcie powtarzała:

– Nie dzwoni. Nie daje znaku życia.

– Gdyby się odezwała... może zostawię pani jeszcze raz numer telefonu do siebie... ?

– A pan z Polski? – Znajomy, przyjaciel Joan?

– Tak, ...znajomy,... przyjaciel...

A potem:

– Dzwoniła pani do Kanady, do matki?

– Dzwoniłam, nic nie wiadomo.

Po czwartym telefonie miał już pewność, że kobieta nie kłamie. Joan nigdy nie dotarła do jej mieszkania na rue de Charenton, choć w piątek przyleciała rejsowym samolotem z Frankfurtu do Paryża. To zostało sprawdzone.

Były dwie możliwości – albo zmieniła plany, zaszyła się gdzieś, mógł to być Paryż, Prowansja, Walia, cokolwiek, albo wróciła do Kanady. To drugie rozwiązanie wydawało się mniej prawdopodobne. Dzięki uprzejmości osoby, która miała szczególne interesy z Dodo, sprawdził na własną rękę wszystkie rejsy z Paryża do Toronto i Montrealu pomiędzy piątkiem a poniedziałkiem. Zostawały oczywiście jeszcze statki, samoloty czarterowe z innych punktów Europy, podróż do Azji – właściwie cały świat, a jednak Konrad instynktownie nie przyjmował takiego rozwiązania.

Chciała wrócić do życia, – myślał trzeci dzień spacerując bez celu po korytarzach Urzędu, – nie chciała u c i e k a ć.

Dla zabicia czasu znajdował tysiące powodów, by nie siedzieć w swojej celi na drugim piętrze. Rozliczał stare delegacje, odwiedzał czytelnię międzynarodową, gdzie przeglądał numery „Literaturnej Gaziety”, zaglądał do laboratorium, by pooddychać wywoływaczem w fotograficznych kuwetach. Znowu dużo myślał o sobie. Sprawdzał stan swoich uczuć, powody, dla których wciąż jeszcze tu tkwił.

Urodzony w zakładzie karnym, w metryce czwarty sierpnia pięćdziesiąt sześć, marzył, że gdzieś w tym budynku leży szara, wypłowiata teczka, sygnatura pisana kopiowym ołówkiem, w środku zeznania oficera, wyrok śmierci i raport z egzekucji...

To był jego mit... Konrad wybrał na ojca bohatera, choć równie dobrze mógł być synem złodzieja.

Grób matki na cmentarzu komunalnym w Starogardzie niczego mu nie przypominał. Zapadnięta kupa piachu z wyblakłą tabliczką „Elżbieta Radzymińska, lat dwadzieścia jeden”, którą kazał odmalować srebrną farbą. Niczego więcej dla niej nie mogę zrobić – myślał wyjeżdżając stamtąd na zawsze. Wiedział jak umarła, w więziennym lazarecie wydając na świat syna.

Teraz znowu siedział u siebie przeglądając fruujące kupy gazetowych wycinków.

– Cholera. Gdzie ona jest?

Zapalił papierosa. Więc jednak nie mógł pracować. Nie mógł robić nic i n n e - g o. Tylko to, co wydawało się tak beznadziejne, szukać jej, znaleźć ją. Nie matkę. Joan.

Dziś mijał właśnie tydzień od zeszłej środy, Maj prowadzący „Innowiercę” przepadł i w całym Urzędzie nie było ani jednego człowieka, który wiedziałby jak go znaleźć.

Konrad miał uczucie, że Stary nie spuszcza z niego oka, lecz sierżant Hania w sekretariacie Zarządu była nieugięta:

– Pułkownik jest bardzo zajęty, niech pan zostawi raport, poruczniku, odezwę się jak tylko dostanę znak od szefa.

Raport:

„Pierwszy października. Dziewiąta trzydzieści. W miejscu. Stwierdzono, że Joan Chalat nie dotarła do wskazanego miejsca w ustalonym terminie/piątek/ dwudziesty ósmy września. Rodzina w Kanadzie nie potwierdza jej przybycia. Informacje podaje niezależny kontakt/ Paryż. We wnioskach sugeruję podjęcie poszukiwań z a g i n i o n e j, ze względu na ważne informacje w sferze intelektualnej, które z a g i n i o n a posiada jako ś w i a d e k.”

Minęło czterdzieści osiem godzin i nic. Bez odpowiedzi. Dodo był lepszy. Potrzebował trzech minut, by na biurku Konrada znalazła się odpowiedź na krótki list:

„Roszada. Chodź zajarać.”

„Ok. Zaraz tam będę.”

Konrad złapał w locie kurtkę, nie zamierzał tu dzisiaj wracać, nie mógłby siedzieć w biurze w takim stanie, wolał wyjechać na miasto, przewietrzyć alfę.

W palarni Dodo stał już skurczony pod drzwiami starej, towarowej windy, której od lat nikt nie używał, obaj lubili ten zachowany fragment starego reżimu, jak lochy Bastylii odrapany i straszny.

– No, bracie, stawiasz flaszkę, albo i co innego!, – Dodo śmiał się całą gębą, jak błędny rycerz.

– Twarz miał niesamowitą, na swój sposób piękną i szlachetną, po dłuższej chwili, gdy wzrok oswajał się z blizną, rozbryzganą atramentem pod prawym okiem.

– Mam coś.

– Ciekawego? – Konrad poczuł nieprzyjemny ucisk na myśl, że nie chodzi jednak o Joan.

– Braaaacie, tydzień nad tym siedzę.

–.....?

– Nad monitoringiem geologicznym. Nie mogłem się wcześniej zabrać, wiesz, miałem kupić papierów do przerobienia z „piątego”, a tam, jak zawsze, dopieszczanie dupereli, pucowanie, bracie, na glanz. Ale ten klient tak ma..

– No, dobra, dobra, Dodo, aleś się rozgadał, mów w czym rzecz!

– Bierzesz mandzur, bracie, i robisz wypad w teren!

– ... No... – Konrad gwizdnał ciągnąc go za język

– E l i z e u m? Mówi ci to coś?

– Nie kojarzę.

– Pomyśl. Jakież ruiny w Łazienkach, jakiś stary teatr albo burdelik?

– Poniatowskiego...? – przez dłuższą chwilę Konrad stał w milczeniu z niepewną miną ucznia wywołanego do tablicy.

Dodo z zadowoleniem kręcił głową to w prawo, to w lewo.

– Mało, bracie, za mało.

– Konserwator zabytków, jakiś przekręt, dzierzawa?

– Nie tędy droga. Powiem ci, co tu jest najważniejsze: róg Księżęcej i Rozbrat. Sam zaznaczyłeś tam punkt kontroli. Okazuje się, że jest przejście w podziemia, całkiem spory tunel. Zdaje się, że to prowadziło do Starej Pomarańczarni...

– No wiesz, takie rzeczy są w całym mieście. Mogę to sprawdzić, ale..

– Mówię ci, że tam coś jest. Czuję przez skórę. Wyobrażasz sobie, że tego nie ma na żadnych konwencjonalnych mapach?! Przejrzałem wszystko. Nie ma! A skany lrydy pokazują, że jest drożne wejście z parku, naprzeciwko szpitala. I jest punktowe promieniowanie lambda o pochodzeniu technologicznym.

– Co to może być?

– Radioodbiornik, zegarek elektroniczny, cokolwiek, ale na pewno nie kupa kamieni i piachu. Przy czym nie ma tam żadnych sieci energetycznych, żadnych czynników znanych, które mogłyby emitować taką falę.

– Co jeszcze?

Dodo urażony do głębi zgasił papierosa.

– Przecież sam mi kazałeś szukać. Czego chcesz więcej? Więcej to sam musisz sobie znaleźć.

– Pomóż mi znaleźć ją.

– Kanadyjkę? Nie powiesz mi, że ci wyssała płyny mózgowie, człowieku?! Po co jej szukasz? Niech jedzie, kobieta, gdzie chce. Wy jednak macie zdolność udręczania ludzi.

Konrad popatrzył na niego ze smutkiem.

– Nie wiesz, o co chodzi... Jakbyś coś miał, daj znać na komórkę.

Odwrócił się szybko, jakby chciał ukryć wyraz twarzy, coś, co zagrało zbyt szczerze, nie na poziomie tego urzędu.

Gdy zniknął na krętych schodach tuż za windą, Dodo myślał, że dobrze wie, dlaczego tak go skręcało.

Alfa nie lubiła tego klimatu. Była delikatna i wrażliwa jak mezzosopranistka z Neapolu, jesienią trzęsła się z zimna i wilgoci przy każdym odpalaniu silnika. Zwykle już w listopadzie musiał ją wozić do podziemnego garażu w Sheratonie, gdzie do końca marca wynajmował dla niej mieszkanie za

stoną forszę. Dziś powietrze było tak nasiąknięte wodą, że przez kilka minut alfa parskając jak klacz w zbyt wysokim brodzie, nie był pewien czy w ogóle zdoła ją odpalić. W końcu poszła. W jednej chwili stała się tenorem, przeszła w barytonowy bas, zahuczała echem po parkingu na Rakowieckiej i z gulgotem opuściła legowisko. Lubiła jechać, nie stać.

Konrad nie myślał o tym, by kierować się na Książęcą. Właściwie nie planował następnych godzin, w głowie miał taką pustkę, że swobodnie krążył przelewając się przez Chałubińskiego,

Koszykową, MDM, potem zawrotka na Placu Unii, Aleja Szucha, i znowu Koszykowa, Mokotowska. Pojechał na kawę do starych ubeków, tak zawsze myślał o dziwnych facetach pod siedemdziesiątkę, w sentymentalnych płaszczach i kapeluszach żywcem wyjętych z pedetu. Mały bar z rzadka w tym mieście dający widok na prawdziwe życie ulicy, ruch samochodów, bryłę „Grand Hotelu”, świetne ciastka, klasa supersocjalistyczna, pomarańczowe kremy, karpie, sandacze w galarecie, ryba po grecku, pachnąca kawa i zawsze te same twarze kelnerek, wściekłych matron. Lubił ich wszystkich, lubił patrzeć jak go nie dotyczą, jak siedzą obok na wysokich stołkach, odbici w lustrach pamiętających czasy peerelu.

Zjadł galantynę z ryby, wypił kawę. Chciał zapalić papierosa, więc zaraz wyszedł z akwarium i na dworze spojrzął z daleka w stronę alfy. Dzień tak rozbity dla nich dwojga. Czy dla n i e j także? Czy Joan miała dziś jakiś dzień? Nie chciał myśleć o najgorszym, lecz tak wielki, dziecięcy żal dławił mu oddech, że sam nie umiał tego opanować.

Skręcił w prawo i przeszedł kilkanaście kroków do sklepu z cygarami. Wybrał najmocniejsze Reemsta i po jednym hauście dymu poczuł, że się przewraca. Przyjemne uczucie strumienia, żeby nie czuć pustki, do której się wraca.

Zjazd Książęcą był tak raptowny, że od razu wyniósł go pod flagową siedzibę komunistów na Rozbrat. Zatrzymał samochód. Przyszło mu do głowy, by się rozejrzeć, rzucić okiem na rewelacje Dodo. Przeszedł na stronę małego parku i spojrzął na skos przez skrzyżowanie. Pięć pięter Szpitala Czerniakowskiego, z okien zapewne doskonały widok na całą okolicę. Po lewej parkan zrujnowanego cyrku, czegoś na kształt hali, od dziesięcioleci zapadniętej i bezpiecznie porzuconej.

Dwa pozostałe skrzydła na zbiegu ulic porośnięte drzewami. Po przeciwnej stronie parku schowany w zaroślach pawilon z tablicą „Lecznica dla Zwierząt”. Teraz mógł się odwrócić twarzą na zachód, tam gdzie trzeba by znaleźć koniec liny rzuconej przez Dodo.

Nie śpieszył się tego dnia nigdzie. Mógł tu błędzić godzinę, dwie, bez ograniczeń. Cały teren zajmował jednak nie więcej niż hektar rzadkich drzew, trochę krzaków, ławki popstrzone odchodami gołębi, walające się butelki po denaturacie, pogniecione puszki, wszelkie odchody miasta.

Wszedł do środka niewielkiej rotundy. Mosiężne krany ciurkające strumyka-

mi lodowatej wody i surrealistyczny szklany klosz, w którym jakiś nieobecny człowiek uczynił sobie legowisko, miniaturę normalnego życia z kartonem mleka i telewizorem. Próbował otworzyć niskie drzwi, lecz były dobrze zabezpieczone, choć na pierwszy rzut oka zamek robił wrażenie łatwego do sforsowania.

Wyszedł na zewnątrz. Z powrotem okrążył sztuczny staw, niewielki drewniany pomost, chwilę kręcił się wokół wysokiego na cztery, pięć metrów kopca ziemi, do którego prowadzić miały masywne, szare drzwi. Nie ruszane od lat. A może jednak?

Zbliżył się bez nadziei. Ziemia u spodu drzwi była starta i jakby przewalkowana, co mogło znaczyć jedynie, że drzwi otwierano. I to niedawno.

Pociągnął je do siebie. Drgnęły, ruszyły o włos, lecz zatrzymała je potężna kłódka, jeszcze starego typu, na zwykły, prosty klucz. Z górnej belki cementowego stropu posypał się na niego szary i suchy pył. Strzepał go z kurtki i odruchowo podniósł poszarzałą dłoń do nosa, żeby powąchać.

Nie było nic, co miałby tu do zrobienia, przynajmniej nie w tej chwili. Zawrócił do samochodu. Jeszcze z daleka spojrzął w tę stronę, skąd przyszedł, sam siebie pytając czy warto tu jeszcze wracać...

– I to prędko, – zobaczył w głowie twarz Dodo z ogarkiem papierosa w zębach.

Dobra, stary, zrobię to jak najprędzej – odpalił motor i wybrał najbardziej wątpliwą z dróg, na Rakowiecką.

* * *

Nie był nauczony, by działać poza prawem. Miasto? Zarząd Dróg Publicznych? Konserwator? Usiadł do telefonu i w ciągu godziny ustalił kto n i e m a kluczy do Elizeum. Trochę rozbawił go potok słów, którymi urzędnicy kryli nieznamość tematu. W końcu wiedział przynajmniej, że od lat nikt z Miasta nie przestępował progu szarych drzwi. Kluczy nie znalazł pod żadnym z prawdopodobnych adresów.

Anarchia była mu teraz na rękę, czuł się pewniej wiedząc, że nikt nigdy nie sprawdzi kiedy i jak porucznik UOP dobierał się do czegoś, co było dobre dla etnografa, archeologa, może dla kloszarda..., lecz z pewnością nie dla agenta.

Dochodziła czwarta trzydzieści, zmierzch z wolna kładł się na miasto jak tenisowy balon. Konrad miał plan tak słaby i cienki, że poczuł lekką żenadę, jednak z braku innego pomysłu czekał na moment, gdy na tyle się ściemni, by mógł zbliżyć się do Elizeum z lewarkiem.

Kwadrans po piątej opuścił budynek Urzędu i bez ostentacji odjechał na Dolny Mokotów. Na Sobieskiego zatankował v-power, lecz zamiast skrócić w prawo i wjechać w osiedle kilkupiętrowych bloków, gdzie wynajmował betonową norę, która kilka razy w miesiącu służyła mu za nocleg, wyjechał ze stacji z powrotem w kierunku Starego Miasta.

Tym razem wybrał inną drogę, jechał wzdłuż Wisły, na wysokości Syreny zawrócił i raptem znalazł się pod arkadami Mostu Poniatowskiego. Samochód postawił tak, by żaden przechodzień nie zwrócił uwagi na doskonałą sylwetkę alfy, przycupniętą w największym mroku, za pojemnikiem na śmieci. Teraz musiał pokonać odległość jakichś pięciuset metrów z lewarkiem w rękę. Dla pozorów wziął też pięciolitrową butelkę oleju, idąc trzymał ją zdecydowanym ruchem człowieka, który ma zamiar grzebać przy samochodzie. Z rozjazdu ulic pod arkadami wylewał się raz na minutę potok czerwonych reflektorów, które znikwały na Rozbrat. Pieszycy nie było prawie wcale, minął zaledwie kilka osób kulących się pod nocnym chłodem w iluminacji transatlantyku – biurowca. Gdy przeciął bruzdę ziemi odartą z trawy wpadł w czeluść, gdzie nie sięgała już poświata.

Park z wolna przestawał żyć, choć wciąż odbijał szum i puls miasta. Konrad przez chwilę krążył w mroku, po pełni mało co widać w zakamarkach, w końcu znalazł to, o czym mógłby tylko marzyć. Ławka, z której mógł patrzeć na panoramę ulic miała tę zaletę, że sama pozostawała niewidzialna, wpłątana w gąszcz na skraju pagórka.

Z minuty na minutę ruch na biegu Książęcej i Rozbrat stawał się coraz mniejszy. Odczekał jeszcze kwadrans i ruszył w kierunku kopca. Zbliżał się teraz od samego szczytu, po chwili na nim stanął, podszedł do krawędzi i spojrzał w dół. Kłódka wisiała tak, jak poprzednio. Przykucnął i z góry zaata-

kował szczelinę drzwi. Stalowe ramię wryło się na głębokość zaledwie kilku centymetrów. Prawą stopą zaparł się mocno o wystający z ziemi korzeń i lekko poruszył lewarkiem, sprawdzając opór ościeżnicy. Usłyszał szorstkie skrzyknięcie kłódki i cofnął rękę. Stąd nie dawało się zrobić nic więcej.

Zbiegł na dół po stoku kopca i przywarł plecami do drzwi nie spuszczać z oka otwartej panoramy ulic. Nikt nie nadchodził. Z wewnętrznej kieszeni kurtki wyjął pas twardej gumy. Sprawnym ruchem opasał nim głowę i powtórnie sięgnął do kieszeni. Japoński noktowizjer miał postać zwykłych okularów w masywnej oprawie, choć ważył tyle co nic. Przez chwilę Konrad zamarł jak nietoperz. Odwrócił się przodem do drzwi i włączył mikrolatarkę w gumowym pasie nad czołem. Przekręcił w palcach pierścień diody, rozpraszając strumień lasera...

Tego widoku nie mógł się spodziewać, a jednak kłódka była o t w a r t a. Pociągnął ją teraz, ustąpiła bez szczególnego oporu, choć dało się odczuć, że nieczęsto była używana.

– A więc przez cały czas było otwarte... – pomyślał, choć jeszcze nie był w stanie nadać znaczenia temu odkryciu.

Drzwi musiał ciągnąć z całą mocą, jak wąż czotgowy. Stalowe cielsko ledwie ruszyło, lecz szpara była na tyle duża, że mógł się przez nią wślizgnąć. Wyłączył źródło światła i z lekkim mrowieniem tydek wstąpił do środka.

Znalazł się w wymurowanym korytarzu z cegieł. Obraz czytany przez noktowizjer był dosyć słaby, lecz upewniwszy się, że nie dochodzą sygnały termicznej obecności człowieka czy dużych stworzeń zapalił laser. Teraz mógł obejrzeć wnętrze kopca dość dokładnie. Widok ten zapierał dech w piersiach. Krótki, nie dłuższy niż pięć metrów korytarz otwierał się na przedziwną małą arenę, obmurowaną dokoła starym, ceglany murem.

Rozproszył światło największym pierścieniem i spojrzał w górę. Nad sobą miał trzy kondygnacje z rzędami łoża, zwieńczone kopułą. Całość podobna była bardziej do gniazda szerszeni niż do teatru, o którym wspominał Dodo.

Kątem oka zobaczył kolonię zaspanych nietoperzy, lecz żaden z nich o dziwo nie drgnął, jakby zaspane niewidzialną mgłą nie potrafiły odebrać sygnału wysyłanego przez człowieka.

– Idziemy, – mruknął półgłosem sam przed sobą udając, że czeluść nie budzi lęku.

Jedyną drogę widział po lewej stronie, korytarz widocznie od razu gdzieś skręcał, bo światło lasera penetrowało wyłącznie mur. Szedł ostrożnie stawiając stopy na zmurszałym klepisku.

Nie zamierzał zapuszczać się głębiej. Najwyżej dziesięć, dwadzieścia metrów – tyle, by rzucić okiem na dalszy ciąg. Spodziewał się kolejnych rozwidleń, lecz o dziwo tunel szedł prosto, jak się zdawało, przecinając teren pod ulicą Książęcą. Otaczał go jednolity, zniszczony mur o niskim sklepieniu. Idąc

miął je tuż nad głową, na wysokości najwyżej dwudziestu centymetrów. Co mógł tu znaleźć? Szczury, nietoperze, w najlepszym wypadku zapadnię lub szkielet, jak Indiana Jones. Znajdował się blisko ulicy, dochodziła go już wibracja ziemi, głuchy i pusty rumor Książęcej.

– Wracam – zdecydował po pięćdziesięciu dokładnie odmierzonych krokach.

Odwrócił się w miejscu, widok wciąż ten sam, światło lasera przemykało po zmurszałych stropach. Nie miał zamiaru zwlekać. Ruszył przed siebie w stronę areny. Spojrzenie stało się mniej czujne i w ułamku sekundy mógłby przegapić widok, który sprawił, że w końcu stanął bez ruchu, naprężył struny zmysłów i poczuł gwałtowne uderzenie adrenaliny. Po prawej ręce, na wysokości metra od ziemi, zobaczył teraz czerwone światełko diody. Podłużny sześcian nie był większy od kartonu papierosów, z boku wystawała dziesięciocentymetrowa szpica, która mogła być anteną.

Zgasił światło lasera i spojrzał przez noktowizjer. Nie wiedział z czym ma do czynienia, obiekt mógł być czuły na światło, eksplozywny, dopiero teraz zbliżył się na odległość wyciągniętej ręki i uważnie zbadał zjawisko.

Bez wątpienia obiekt ingerował w substancję otoczenia, ktoś musiał przeprowadzić jego instalację, co należało łączyć z faktem, że kłódka była otwarta. Sześcian miał homogeniczną powierzchnię, żadnych szczelin, otworów, czujników, zegarów. Jedynie żarząca się na czerwono dioda i wystający z boku, pokryty tworzywem szpic anteny wskazywały, że środek mógł być zaawansowanym technologicznie odbiornikiem. Miał do wyboru albo zbliżyć się i przystąpić do demontażu, albo natychmiast zameldować w Centrali, że niezidentyfikowany sześcian...?

– Tak! – zadudniło w korytarzu nienaturalnym tembrem.

Przez jedno krótkie mgnienie zwątpił, czy słyszał własny głos. Echo dławilo się każdym krokiem, gdy wracał na arenę, skąd już po chwili się wy dostał łowiąc w oskrzela świeżość nocy. Dopiero teraz poczuł zapach wilgotnych, stęchłych murów. Park buczał podmuchami październikowej, mokrej brei, lecz wyjątkowo teraz odczuł jej ożywczą moc.

Do samochodu biegł, ściskając w rękach stalowy lewar i butelkę shella. Zgodnie z procedurami alfa, jako samochód poza służbą, nie miała połączenia z dyspozyturą. Radiotelefon „czternastki”, służbowej częstotliwości, leżał jak zwykle zamknięty w szufladzie biurka Konrada na Rakowieckiej. Korzystał z niego wyłącznie na wyjazdach dyżurnych, nie więcej niż to było konieczne. Dobrze rozumiał, że meldując Staremu o swoim odkryciu stawiał się w trudnej sytuacji. Samodzielne działania nie były nigdy dobrze widziane. Poza tym wkraczał w kompetencje Maja, a już żadnym sposobem nie byłby w stanie wyjaśnić, co robił w tak nieformalnych okolicznościach w podziemnej norze.

Telefon komórkowy Starego znał na pamięć. Korzystał z niego rzadko, jak

najrzadziej – dotychczas może trzy, cztery razy.

– Neeee, – jęknął patrząc na wyświetlacz komórki. Wskaźnik baterii mrugał resztkami sił.

Odpalił motor i nie minęło dziesięć minut jak biegł po korytarzu na piątym piętrze przy Rakowieckiej.

Sierżant Hania stała już w płaszczu.

– Jest pułkownik?

– No, co ty?! Nie ma! Popatrz, która godzina! Zapraszam jutro.

– Hanka, muszę zadzwonić.

– Pospiesz się, mam imprezę, – wydawała się obrażona i z ostentacją stanęła przy drzwiach mieląc w ręku klucz do pokoju.

Po pięciu dzwonekach komórka Starego odpowiedziała automatycznym głosem.

– Abonent nie jest osiągalny. Zadzwoni później.

Konrad odwiesił słuchawkę i od niechcenia sięgnął do klosza z cukierkami.

– Hania, powiedz, gdzie Stary mieszka?

– Chyba żartujesz?! Wychodź! Zamykam.

– Ty, Hanka, nie wygłupiaj się! Mam pilny temat.

– Niestety nie udzielam takich informacji. Pracujesz tu tyle lat i nie wiesz, gdzie znaleźć Szefa? No, wiesz! To twoja sprawa!

– A ty gdzie jedziesz?

– Do domu, muszę się przebrać. Są urodziny Waldka.

– Czarnego?

– Czarnego, Czarnego. No, zbieraj się. – Stała już na korytarzu z miną obrażonej krowy.

– Może pójdziemy razem...?

– I...? – jej spojrzenie nagle zmieniło fazę. Stało się miękkie i wyzywające.

– Chciałaś iść sama? Nie mogę się na to zgodzić!

– No, nie wiem... Może, może – zmierzyła go spojrzeniem.

Podszedł tak blisko, że poczuł duszny zapach perfum. Położył rękę na klawce w miejscu, skąd kobieta podniosła chwilę przedtem swoją dłoń.

– Jadę z tobą, – nawet nie starał się wygładzić tonu, szedł wprost do celu, jak ona bezwzględnie patrzył w miejsce, gdzie dwa nabrzmiałe silikonowe prężyły się pod śliwkowym futerkiem płaszcza.

– No to chodź. – Nie było żadnych pytań.

W małym pokoju na szóstym piętrze panował chaos tak wielki, że przyparł ją w łazience, jedynym miejscu, gdzie nie walały się stosy porzucanych ubrań. Chciała tego. Krótko i głośno zdobył jej wnętrze, głęboko wszedł, aż wyła z bólu. Jak dzika koza wierzgając stopą zrzuciła szklaną półkę z kremami. Runęły z hukiem tocząc się po posadzce w chwili, gdy miał jej oddać częśćkę swego fellatio. Wszystko stanęło. Nie dał rady z powrotem zebrać energii do strzału.

Wysunęła się z zawieszenia, na którym trzymał ją tuż nad wanną. Spojrzała w dół, tam gdzie opadał i kurczył się, jakby w balonie zabrakło powietrza:

– Ale masz twarde jaja! – krzyknęła na widok dwóch sterczących ponad skalą jąder.

– Nie – odpowiedział. Miał gdzieś, że mu opadło, miał gdzieś samego siebie, nienawidził tak zwanych sytuacji, pomyślał, że poszło za daleko.

– Czerwona dioda wydała się teraz dziecinnie śmieszna. T o było naprawdę. Kobieta w rozkroku, śmierdząca kosmetykami i wydzieliną, jak szprotka.

Zapalili po papierosie. Ona nie płosząc się zupełnie wkładała między nogi wazelinową kulę.

– Zawsze tego używam. S p r a w d z o n e... Nawet jak do niczego nie dojdzie, tak jak teraz. – zaśmiała się, a on stał jak bocian na jednej nodze.

Nie było nic, co mógłby dać tej kobiecie.

– Gdzie znajdę Starego?

– Mądrala! Bracka siedem.

Alfa niecierpliwie rwała do przodu.

Godzinę później trzech młodych chłopców, elektroników prosto po szkole zdejmowało ze ściany Elizeum sześciokąt, o jakim NATO mogło tylko marzyć. To była nowość. Jedna z najważniejszych premier tego sezonu.

O piątej rano Konrad rozłożył karimatę na skrawku podłogi w swoim biurze. Musiał się przespać przed spotkaniem z Zarządem zapowiedzianym na ósmą rano.

* * *

ROZDZIAŁ XXIII

Dunin wrócił do siebie późnym wieczorem. Myśli miał ciężkie i trudno mu było wrócić do formy. W domu przywitał go chłód, kilka dni temu w pośpiechu, jadąc na lotnisko zapomniał o termostacie kaloryferów.

Przekreślił włącznik światła. Nie zadziało.

– Cholera, – mruknął po swoim i sprawdził czy w łazience jest woda. Kran zachrzęścił, wypuścił głośnego bąka i strużka rdzawej posoki potoczyła się do umywalki.

– Diabli nadali, – był wyjątkowo wściekły. Chciał się wymoczyć w gorącej wodzie, a tu zapomnij.

Nawet nie zdjął płaszcza. Pociągnął ku sobie stalowy barek i otworzył szklany klosz. Smirnoff, Stoliczna, Samogon, Jack Daniels, bourbony. Wybrał samogon. Dobre, czyste szkło. Zapadł w fotelu jak kamień i pilotem włączył automatyczną sekretarkę telefonu zasilaną akumulatorem.

– Wiem, że jesteście na Krymie, Aleksandrze Siergiejewiczu, proszę, zadzwońcie do księgowości po powrocie. Mówiła Tamara.

– Nic ważnego – pomyślał wysłuchawszy tej wiadomości.

Przewinął nagranie dalej:

– Aleksandrze Siergiejewiczu Dunin – głos Ludomiry Makarenko, Pierwszego Sekretarza Ambasady Rosji, brzmiał zastanawiająco poważnie. – Zaraz po powrocie pan Ambasador czeka na spotkanie. Proszę przychodzić niezwłocznie.

– A ten czego chce? – imiennik, Aleksander Siergiejewicz Wiertow, nie cieszył się ani sympatią, ani szacunkiem Dunina.

Wiadomość trzecia, monotony sygnał odłożonej po chwili słuchawki. Następna tak samo, i następna.

Nalał kolejną szklankę wódki, a pot wystąpił mu na czoło. Zatrzymał sekretarkę. Miał o czym myśleć. Jak było do przewidzenia dentysta upominał się o wizytę i natarczywie szukał swojego pacjenta.

– Jeb twoju mać – powtarzał trąc czoło lepką dłonią.

Dunin zaczynał dostrzegać, że t a robota, warta mniej więcej pięćdziesiąt tysięcy papierów, z czego połowę wzięt już w zaliczce, jego samego może kosztować o wiele wyższą cenę. Lub niższą, zależnie od punktu widzenia. Czym bowiem było życie? Jego wartość z biegiem lat się zmienia. Może nadchodził czas, by przejść na emeryturę. Robota zlecona przez Sektę wydawała się taka prosta... Bez obrazy, ale na tym to Dunin znał się dobrze. Zresztą do czasu wszystko szło jak najlepiej. Niecałe dziesięć kawałków starczyło, by wyłowić SI aż zza Kamczatki. Dziecinna robota. Gdzie nie popatrzeć sami koledzy z Instytutu Floty. Ale sekciarzom zachciało jeszcze mieć pokaz pirotechniczny w Warszawie! Ot i szkopu!

Od kilkunastu godzin minuta po minucie, punkt po punkcie przerabiał całą

lekcję od początku. Szukał błędu, a wszystkie słabe punkty zbiegały się w jednym miejscu, w rękę jednego człowieka, u cholernego Jakaczyna – świeć, Panie, jak to mówią, świeć nad jego duszą. Gdyby swotocz nie wkręcił się Francuzom w ich zasraną rzyć, Dunin nie musiałby teraz gonić po całym świecie szukając jakiejś cholernej baby! Ta też nie lepsza! Gadzina! Mało jej było „dziewiątki”?!
Dentysta jest fanatykiem. Najgorszy typ. Będzie się ze wszystkiego tłumaczył temu swojemu Mistrzowi. Już ci z Gorącego Słońca wiedzą jak prac mózgi swoich. Lepiej to robią niż Nikita na Łubiance. Nie mogą się dowiedzieć, że istniał świadek, który widział plany, lecz gdzie sięgają macki cholernych sekciarzy? Wystarczy, że mają kogoś po polskiej stronie, by informacje jak bumerang wracały, nawet po czasie. Nie wyglądało to zachęcająco, jednak nie zamierzał odpuścić spotkania. Miał u nich jeszcze kupę forsy.

Tak czy inaczej zrobił swoje, dziecinna akcja z Grigorijem to był ich pomysł. Nawet Jakaczyn to był ich człowiek. On, Alek Dunin był tylko specem do wynajęcia. Miał znaleźć odpowiednią broń, zainstalować, prowadzić akcję. SI-32 dotarło z samej Kamczatki na czas. A że nie wyszło z powodu zmiany jakichś tam osobistych planów kogoś, kto skręcił nie tam, gdzie trzeba, pojechał inną drogą...

– Diabli nadali, – burknął i w mroku sięgnął po jedną z dwóch komórek, które trzymał w stalowym barze, razem z wódkami.

– Dobry wieczór. Tu Aleksander Siergiejewicz Dunin. Chciałbym umówić wizytę u doktora Sinclair’a...? Tak, tak, jak najprędzej. Jutro o trzeciej? Świeć.

Jutro o trzeciej... Do tego czasu musiał się wyspać i przygotować plan jak z dentysty wyciągnąć trzydzieści kawałków!

Nadina Gulka w stopniu majora stała za obrotowym krzesłem, na którym wiercił się jej bezpośredni przełożony, Dawid Zoszczenko, podpułkownik Głównego Razwiedywawczego Uprawnienia. Stała i patrzyła na dwa ciemne i rozmyte ekrany, na których widać było umeblowane mieszkanie i siedzącego w fotelu człowieka.

– Nadina, co ty z tego rozumiesz?

– Prądu nie ma, pułkowniku. Po prostu prąd wyłączyli...

– Nic nie widać... Co on robi..?

– A co ma robić? Chła!

– Dwie godziny? Dopiero co wrócił po pięciu dniach i nie ma nic do zrobienia? Załamany czy co?

– Załamany, pułkowniku.

– Czy to ma związek z dentystą?

– Wygląda na to, że coś mu nie wyszło. W ostatnim meldunku, któryście dostali jeszcze w Moskwie pisałam, że dentysta nie wie, gdzie jest Dunin. On wyjeżdżał na własną rękę i to jest właśnie jedno z pytań.

– Skąd ta pewność?

– Wiem od dentysty tyle, ile sam mi powie. Dokładnie rzecz ujmując to on mnie zapytał co tam u Dunina, myśląc, że widziałam go tego dnia u Ambasadora. Stąd wniosek, że sam niewiele wie. Pracujemy...

– Pracujecie, pracujecie tylko efektów nie widać...- zaśmiał się czerstwo Zoszczenko.

– No, no, – pogroziła mu palcem poufale, – bo jak się postaram... Dentysta dobrze płaci. Miesiąc temu chciał mieć kserokopie wszystkich listów, jakie przychodzą do Ambasadora.

– Co mu powiedziałaś?

– Że nie mam dostępu...

Zoszczenko pokiwał głową w zadumie. Nie był tak głupi, na jakiego wyglądał. Był jednym z najskuteczniejszych ludzi bezpieczeństwa wewnętrznego Rosji.

– Gotowi do obserwacji?

– Trzech, pułkowniku. Będą go śledzić dzień i noc. Polacy, zupełnie czyści, za to świetnie wyszkoleni.

Podniósł zdziwioną brew.

– Czyżby?

– Ręczę za nich, pułkowniku, to ludzie z „drugiego obiegu”, absolutnie pewni, soliści, robili dla nas już dwie roboty... Choć jak mówiłam mnie się wydaje...

Przerwał jej skinieniem ręki. Z dezaprobatą pokiwał głową.

– Wy nie wierzycie w obserwację, majorze Gulka, a ja tymczasem osobiście przyjeżdżam, żeby wam doradzić co i jak. Macie znaleźć nitki, zanim nam sprują Dunina na Kremlu!

Notorycznie podnosił brew po każdym słowie.

– I musisz tego dokonać sama, Nadina. Nie wiem jak! Wejdz im do łóżka! Temu „dentyście”, i Duninowi, komu chcesz!

– Patrzyła na niego wzrokiem pełnym pogardy. Od pięciu lat major Nadina była kochanką Zoszczenki.

– Powtórzę tezę mojego meldunku. – Cedziła każde słowo przez zęby. – Nie wolno aż tak ryzykować, trzeba go zwinąć. Każdy kontakt z Duninem może być niebezpieczny. To co ta bestia trzyma w lodówce wystarczy na „czapę”.... O, wstał!

Nadina miała rację, Dunin podniósł się właśnie z fotela i ruszył przed siebie. Wyszedł z pola widzenia, więc błyskawicznie zmieniała kod na konsolce miksującej obrazy z pięciu kamer rozmieszczonych w całym mieszkaniu.

Dunin nie myślał o rzeczach ważnych. Swobodnie przewijał pliki w głowie, szukając jakiegokolwiek myśli potrzebnej w natłoku nic nie znaczących zdarzeń. Jednak w lawinie wątków skojarzył nagle, że brak energii elektrycznej mógł mieć rozległe skutki. Rzucił się w stronę kuchni.

Oboje z Zoszczenką przyłgnęli oczami do ekranu. Widać było zaledwie mroczne wnętrza w słabej poświacie ulicznej latarni lub księżycy.

Dunin pociągnął górne drzwiczki zamrażalnika i aż odskoczył. Wilgotna plama gwałtownie ściekła mu na ubranie. Cała lodówka płynęła od wielu godzin unosząc w strudze co po niektóre lżejsze pudełka i pojemniki.

– Diabli nadali, – parsknął jak koń pociągowy, któremu ściągają za mocno lejce.

Zamrażalnik tryskał fontanną rozpuszczonego lodu i trudno było przewidzieć rozmiary katastrofy. Przewracając krzesło rzucił się w stronę szafek kuchennych. Nieprzyjemny hałas potrąconych naczyń odbił się echem od mikroportów fonicznych kamer.

Zaraz też wyciągnął spod sterty nieużywanych nigdy zastaw ogromny porcelanowy półmisek, jedyne co w tych ciemnościach wpadło mu w ręce i zawrócił, by łowić laboratorium. Łapał w ręce rozmoknięte kartony, paczki, fiolki i miniaturowe flakony, przede wszystkim zaś skarb tych zasobów, o jakim większość mikrobiologów wojskowych mogłaby tylko marzyć.

W tej części świata był jedynym człowiekiem, który miał w swej dyspozycji taki bakteriofag. Specjalny prezent dla dentysty, studium genomutantów powodujące zaburzenia elektronowe, zdolne w ciągu godziny doszczętnie zniszczyć system psychofizyczny człowieka. Zniszczyć od środka, a nawet od zewnątrz.

Jedyne, co mogło wstrzymać transdukcję poza wszelką kontrolą i multiplikację na dowolnych pożywkach, nawet nieorganicznych, to niska temperatura, zamrożenie. Idealne warunki – Antarktyda. Wszędzie poza tym kolonia zamknięta w szklanym pojemniku musiała budzić strach i wprawiać w zdumienie efektami. Przenoszone mechanicznie, przez dotyk, w podmuchach wiatru genomutanty miały jedną poważną wadę. Choć żyły długo, działały natychmiast powodując widoczne zniszczenia zaatakowanych organizmów. Szybko dawały o sobie znać i nie wchodziły w reakcję z żadnym szczepem przeciwnym, który mógłby się im przeciwstawić. Do tej pory nie stosowane na człowieku, sprawdzone na małpach, kapucynkach, w tajnej, wówczas jeszcze radzieckiej fabryce broni biologicznej Vector. Podobno osiągnięto wyniki lepsze niż enterotoksyna gronkowaca B, nie mówiąc o węgliku, Ebola, czy pałeczkach Brucella.

Teraz przebierał palcami namoknięte kawałki papierów wytuskując co tylko się dało. Ostrożnie kładł znaleźiska na porcelanie, jak gotowane w winie mule stukwały fiolki i ampułki. Przemęczony rytmem ostatnich dni, otumaniony alkoholem szarżował. Dobrze wiedział, że należało wziąć latarkę, lecz był tak wściekły, że tracił nad sobą panowanie.

Wygarnął wszystko co się dało z zamrażalnika i zamiast odejść otworzył jeszcze brzuch lodówki. Doszedł go stamtąd przykry zapach stęchłej wilgoci, lecz tu zniszczenia nie wydawały się tak poważne, było mniej wody. Zostawił

otwarte drzwi i jak bezradny ślepiec wykonał pół obrotu w stronę drzwi.

Runął przez całą długość wąskiej kuchni. Lecąc przed siebie wiedział tylko, że to cholerny trencz gdzieś się zaczepił w mroku, nie wiedzieć o co i jak. Półmisek roztrzaskał się o krzesło, nie dosięgając nawet podłogi, szklane ampułki i pojemniki toczyły się z głośnym brzękiem we wszystkie strony, a on sam wył, jak dobijane zwierzę.

Nie, to nie mogła być prawda! Jeszcze nie wierzył, że otaczała go epidemiologiczna chmura starych jak świat wynalazków, toksyczno-wirusogenna magma. Gorączka doliny Rift, krymsko-kongijska gorączka krwotoczna, gorączka Lassa, wirus Puumala, yersinia pestis, wszystko, co chcecie i wiele więcej. Hantawirusy, trucizny, stężony sarin...

Zbrojne szkło musiało przecież wytrzymać... Płakał jak dziecko.

Nadina wbiła paznokcie w oparcie krzesła. Zoszczenko siedział w milczeniu.

Nie było nic, co mógł powiedzieć. Widzieli, a i słyszeli wściekłość Dunina. Na skrawku Rosji, w sercu Polski, przy ulicy Belwederskiej powiało grozą.

Przeklinał Boga, sowietów, matiuszkę Rasiję i własną matkę. Czuł, że zapętleł spiralę czasu. Skąd miałby wiedzieć, że kwestią kilku dni mogło być nawet aresztowanie? A przecież wiedział. Czuł, że się kończy gra. Niefart to niefart.

Nadina bała się wstać. Syknęła tylko, gdy usłyszeli gwałtowny rumor i wściekłe wycie Dunina. W mroku nie mogli jednak dostrzec nic poza tym. Obraz z pięciu kamer był nagrywany, mieli go przesać prosto do Moskwy, stamtąd kto wie, gdzie dalej, może i do Nowosybirsk?

Nie mogli widzieć, jak własnym kolanem miażdży pojemnik z pancernego szkła, który tym razem nie odparł ataku. Widzieli, że wraca po samogon, że pije resztkę wódki jednym, głębokim haustem. Chwilę później w świetle latarki Dunin oglądał coś na kolanie.

– Płacze, – szepnęła Nadina ledwie ruszając wargami, wpatrzona w ekran jak w kinie.

Zoszczenko raptownie wstał, krzesło aż poleciało pod ścianę.

– Kpina! – warknął, – trzeba go zdjąć natychmiast. Wnyki zdławiły starego wilka, za chwilę nie będzie polowania.

Podniósł słuchawkę i rzucił tonem rozkazu:

– Trzech ludzi, piąty stan zagrożenia, Aleksander Siergiejewicz Dunin.

– ...

– Ten sam, możecie jechać. Chcę go tu mieć żywego.

Zanim dotarli do mieszkania na Belwederskiej rzeczywiście nie było co zbierać. Zatrzymanie pracy serca, objawy podobne do zaccadzenia, w rzeczywistości zastój czynności fizjologicznych pęcherzy płuc oraz konwulsje typowe dla botuliny.

– Był człowiek, nie ma człowieka – Dawid Zoszczenko filozoficznie pokiwał głową odbierając meldunek od oficera.

– Zamrozić – zawyrokował i poszedł się przespać. Miał zamiar zabrać Dunina ze sobą do Moskwy. Przedtem jednak musiał wziąć do raportu tego starego durnia, Ambasadora.

Czwartek kończył się niezbyt optymistycznie. Spalony lont i dużo dymu.

* * *

ROZDZIAŁ XXIV

Mały drewniany kościół był pełen ludzi. Mieściło się tu niewiele ponad pięćdziesiąt osób. Dwa razy tyle stało na zewnątrz nie zważając na siekający mróz, prawie zamieć. Nadchodził halny, lecz jeszcze nie czuć było podmuchów ciepła, ludzie kulili się, większość w jesiennych płaszczach i butach zupełnie nie na tę pogodę. Widać było, że przyjechali tu z miasta, może z Krakowa, może z samej Warszawy.

Trumna stała na pięknym cyfrowanym katafalku. Wieńce świeżych kwiatów rozwarły pąki przytulone do prostych desek. Od pół godziny kościół milczał. Nikt nie odważył się zamącić ciszy – żywi i zmarli pełnili wartę dla poety. Joan stała z boku wciśnięta w tłum półkożuszków, kobiet w chustach lanych złotem, z ogromnymi koralami w uszach. Z daleka widziała tylko fragment trumny, właściwie tabliczkę z nazwiskiem zmarłego. Nic jej to nie mówiło, lecz czuła żal, że go nie ma, że k t o s p r z e s z e d ł, tak wielu ludzi zostawiając w smutku.

Podniosła oczy na ołtarz. Raz jeden, w Meksyku, Madonna z Guadelupy wydała się świętą, bo któż inny przyciągałby takie tłumy na klęczkach, setki, tysiące metysów, Indian, białych ? Lecz zaraz potem zapomniała, stojąc na szczycie Teotihuacan, czekając na Piąte Zaćmienie uwierzyła Aztekom, że modlić się trzeba do słońca, nie do krzyża.

Madonna tego ołtarza nie była wielka, lecz tak nabrzmiała i srebrem i purpurą i świętą wonią kadzidła, że trudno było oderwać oczy. Ona też spozierała na swój lud pod haftki gorsetów i płaszcze. Mater Dei.

Joan poczuła ciepły promień w najczulszym miejscu, to jednak był tylko skrawek światła, który przez kolorowy witraż z jeźdźcem dopadającym smoka wlał się na pochylone głowy ludu. Nie minęła faza tęczy, żółci i błękitu, jak z kościelisk usłyszeli dźwięk nienowy, dźwięk przyrody, spod sklepienia skrzypiec pienia. Skąd to przyszło do niej, nie wiedziała jeszcze, a już mogła tak jak oni nabrać w płuca pęd powietrza:

Nad Tatrami słońce zachodzi

Ono mej miłości nie zagrozi.

Gdybym ja wiedziała, że będziesz mój,

gdybym ja wiedziała, że będziesz mój,

tobym ci oddała pierścionek swój.

Szła z innymi. Po godzinie cmentarz już wychynął z łuku szosy. Dobrze się chodziło trochę w górę, trochę w dół, nigdy prosto. Czterech mężczyzn równo pracowało. Usypali mocny kopiec. Wygładzili topatami.

– A krzyż? – stary grabarz pytał wdowę.
– Nie ma krzyża, będzie jutro.
Ludzie stali skwiercząc z zimna, sztywne kwiaty kładli wprost na kupę ziemi, pod wysokim, sinym świerkiem.

Murowany wielki dom, trzypiętrowy, ze spiczastym dachem, który sphywał jak szczyty gór, co nas okręzały, mógł pomieścić kupę ludzi. Zaczęła się stypa. Wciąż nie rozumiałam, kogo pochowali. Artystę? Przyjaciela? Wielkiego człowieka?

Pili jak Irlandczycy. Górale tacy sami wszędzie. Siedziałam na drewnianej ławie, przy stole zastawionym kiełbasą, wódką, smażonymi pierogami, kapustą. Dobry chleb, szary i twardy, pachniał rękami, które go robiły, jak piach.

Czułam, że wódka mi wchodzi. Mocny spirytus ze śliwek jak filtr oczyszczał żyły. Żona Kazika patrzyła na mnie i czułam, że chce przeniknąć moje myśli, zazdrosna o męża. W końcu przyszła, usiadła obok i nalata po dobrej setce do wysokiego szkła.

– Skąd to pani jedzie?

– Nie – pani. Po prostu... Cristine.

– O, u nas to nie zwyczajnie mówić tak do starszych. Taka nasza tradycja. Jak ktoś starszy to – pani.

Zaczęłam głupio chichotać:

– A ja do ciebie jak – też pani?

– Janina. Może być Jasia, jak kto chce.

– Twój chłopak przez całą drogę opowiadał o waszym dziecku...

– To mąż, nie chłopak.

– O, przepraszam, u nas taka tradycja. Jak kto młody to się mówi, chłopak, dziewczyna, wiesz...

– A u was to gdzie? – palnęła od razu, jakby czekała tylko na okazję.

– U nas wszędzie...

– Ale paszport to pani ma niemiecki!

– No, tak. To po mężu. Był Niemcem. – Dziwnie jakoś kłamstwo mi się udało bez mrugnięcia powieki.

– Aha, to po mężu... – zastanowiła się przez chwilę i znowu nalata. – A tu do nas pani przyjechała w jakiej sprawie? Wypocząć? Normalnie to przyjeżdżają, zimą najwięcej, samochodami, na narty, nad Morskie Oko...

– Mam w Polsce sprawę... szukam kogoś.

– Moja pani szuka kogoś! Ale gdzie? U nas? We Waksmundzie? – czujki penetrowały każdy milimetr mojej twarzy. Była wścibska i podstępna, ale też budziła sympatię.

– Nie, w Warszawie. – Wiedziałam, że prędzej czy później będę musiała c o ś powiedzieć. Może właśnie teraz? – Muszę znaleźć przyjaciela.....

– Aaaha, – spojrzała przeciągle na Kazka, który po drugiej stronie stołu krzyczał coś mocno pijany do chłopca w futrzanej czapce. Mało co, a wzięliby się za bary.

– A może moja pani chce zadzwonić? Ja pomogę.

– Pomóż.

Kiwnęła głową i poszła.

Dochodziła piąta po południu. Konrad siedział nad stosami notatek i czuł, że nie potrafi pogodzić się z klęską. Maj pokonał go doświadczeniem gabinetowych pojedynków, technicznym nokautem w ostatniej rundzie, kiedy – jak się zdawało – szala przeważała na jego stronę. Teraz, kiedy chłonał po doznanym ciosach, mając czterdzieści osiem godzin do namysłu, zbierał się do rewanżu, tym razem ostatecznego.

Wątki tej sprawy były tak pogmatwane, że – inaczej niż zwykle – usiadł przy biurku, rozpiął temat na kilkunastu kartkach i od nowa ustalał ich sens. Nie miał certyfikatu dostępu do informacji specjalnego znaczenia. O postępie sprawy „Innowiercy” wiedział zaledwie tyle, ile mogło wynikać ze standardowego raportu, do jakiego miał wgląd na czwartkowej odprawie. Uczestniczył w niej ze względu na odkrycie dokonane poprzedniego dnia w Elizeum po to jedynie, by wyjaśnić kolejność zdarzeń. Nie wspomniał o Dodo. Nie wspomniał o Joan. Nie wspomniał o krzemie.

Tymczasem Maj taknął krwi. Pojawił się na odprawie spóźniony, kwadrans po ósmej i od razu przystąpił do zbijania celu. W długim wystąpieniu twierdził, że Konrad prowadzi własną grę, że nastąpiły przemilczenia dotyczące wizyty Księżnej, odcinające Zarząd od kompendium wiedzy. Oskarżenie szło dalej. Niefortunne wejście brygady antyterrorystycznej do sąsiadów Rozmusa nazwał „klasycznym puszczeniem dymu” w celu degradacji Urzędu. Zapachniało zdradą stanu. Maj powoływał się przy tym na sojusznicze zobowiązania NATO i współpracę z amerykańską Agencją Rozpoznania Obronnego, podjętą po ataku na WTC. Brzmiało to groteskowo w ustach faceta, który pracował w resorcie od wczesnych lat osiemdziesiątych, kiedy polskie dzieci straszono Ronaldem Reaganem. Teraz dokonywał cudu w dziesięciominutowym monologu nie przemycając ani jednego zdania, które zawierałoby jakąkolwiek treść poza gazetowymi ogólnikami.

Oprócz Maja i Chlebowskiego w gabinecie Szefa siedzieli trzech innych oficerów UOP i podpułkownik wojsk lądowych przedstawiony jako Marian Kapusta z Zarządu Rozpoznania Wojskowego P2, którego widzieli po raz pierwszy w życiu. Mężczyźni pochylili głowy nad teczkami z raportem i na dobry kwadrans w gabinecie zapadło milczenie.

– Słucham, panowie. Kto chciałby zabrać głos? – swoim zwyczajem Stary pozwalał każdemu wystrzelać się do woli.

– Jak długo UOP zamierza utrudniać nam działania, do których jesteśmy

powołani konstytucyjnie? Będziemy domagać się, żeby P2 dostało pełną informację o tej sprawie. To niedopuszczalne, żeby wojsko było nadal odsuwane. Przypominam, że mamy natowski certyfikat „top cosmic”, a tym samym dostęp do informacji wszystkich wywiadów wojskowych NATO. – podpułkownik Kapusta zawiesił głos z dramatycznym fasonem.

Stary chrząknął i z niechęcią przeniósł wzrok na okno.

– W tej sprawie wojsko musi rozmawiać z resortem. Coś więcej, panowie? – powiedział nie odrywając oczu od dźwiękoszczelnej zastony.

Konrad nie zabierał głosu. Intensywnie próbował połapać się co jest grane przerzucając kartki raportu. A więc, po pierwsze – notatka osobowa na nazwisko Aleksander Siergiejewicz Dunin, porucznik byłego GRU, obecnie członek korpusu dyplomatycznego Rosji w Warszawie.

Krótką historią międzynarodowej bojówki parareligijnej, liczącej ponad sześć milionów członków, także spośród wpływowych elit politycznych, oraz jedno zdanie komentarza. „Prawdopodobne jest łączenie narkobiznesu z możliwościami operacyjnymi sekty w celu trwałej destabilizacji politycznej i gospodarczej EU i jej związków transkontynentalnych z Rosją, Azją i Ameryką.”

Przeczytał raport do końca i nie znalazł nawet słowa o krzemie. Zadał więc sobie pytanie: dlaczego, mając bezsprzeczny dowód na istnienie bomby krzemowej, autorzy raportu napisali:

„W podziemiach systemu urbanistycznego miasta znaleziono ładunek wybuchowy dużej mocy o konstrukcji nieznannej, zainstalowany w okresie ostatnich czterech tygodni, w stanie gotowości, uaktywniony.”

Wrócił do siebie i zatrzasnął drzwi celi. Nie minęły dwie godziny, jak zapaliła się dioda intercomu. Sierżant Hania miała ton lepki i porozumiewawczy. Nie chciał niczego pamiętać.

– Szef prosi do siebie na piątą.

– Siadaj, Konrad.

Stary był w mundurze, co stanowiło widok tak niestychany, że Konrad zbladł.

Tym bardziej zadziwiał go ojcowski ton i poufale gesty Szefa Zarządu.

– Co z tą dziewczyną, z tą nauczycielką? Znalazła się?

– Nie, panie pułkowniku. Nie mam żadnych sygnałów.

– Rozumiem. Ale szukasz jej, prawda?

– Nie miałem takiego rozkazu, – Konrad był ostrożny, nie zamierzał grać w otwarte karty.

– Rozkazy! Rozkazy! Przy mnie nie musisz się stawiać. Ta sprawa, jeśli w ogóle jest jakaś sprawa ma tyle wątków, że trzeba porządnie ruszyć głową..

– Myślałem, że Maj tym kręci.

– Maj... Maj jest aszłużony w aparacie. Może to był błąd, że zostawiono go w Urzędzie, wtedy, kilka lat temu? Trudno powiedzieć. Teraz znowu nie

można go ruszyć, stoi na lewej nodze. Ale pamiętaj, że w gruncie rzeczy on jednocześnie stąpa po lodzie. W każdej chwili mogą wezwać go do wyrównania rachunków za dobre życie, jakie tu miał. Dlatego, dlatego... mam, powiedzmy... ograniczone zaufanie do tego człowieka. Nie jestem w stu procentach pewny jego zasad.

Konrad słuchał w milczeniu.

– W tym wszystkim brak poważnej perspektywy. Kręcimy się w kółko w rejonie pięciu ulic wykonując dziesiątki pozornych ruchów...

Stary zawiesił głos.

– Czego pan ode mnie oczekuje, pułkowniku?

– Wiem, że jesteś urażony. Wydaje ci się, że zostałeś odsunięty. Ale mówię ci, że firma potrzebuje takich jak ty. Bez względu na to, co sądzi o tym Maj. Ale, sam rozumiesz, są sytuacje, kiedy trzeba działać bez rozgłosu...

Stary lis chrząknął i nagle zmienił ton:

– To wszystko, poruczniku Chlebowski, możecie wracać do swoich zadań.

– Do Joan Chałat? Do krzemu? Co pan chce mi powiedzieć, panie pułkowniku?

– Róbcie tak, żeby było dobrze. Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi.

* * *

ROZDZIAŁ XXV

Przez cały piątek Konrad nie wychodził z nory. Przekopał dziesiątki dokumentów, po wielokroć rozrysowywał plan sytuacji, w końcu doszedł do wniosku, że Joan nie żyje.

Wprawiło go to w stan otępienia. Stupor minął dopiero w sobotę rano. Zadzwoiła komórka. Usłyszał głos Starego.

– Wiesz, gdzie mieszkam. Przyjeźdź zaraz, żona przygotowała śniadanie.

Gdy trzy godziny później wchodził z powrotem do budynku przy Rakowieckiej, miał wrażenie, że tym razem Stary go nie opuścił. Jeśli prawdą był „ruski” przeciek, że człowiek o nazwisku Dunin już nie żył, można było mieć nadzieję, że wkrótce wydarzy się coś nowego, coś, co przepcha korek w tym ścieku.

Oficjalnie Maj miał być zdjęty ze sprawy w ciągu dwudziestu czterech godzin, a teczka z „Innowiercą” zamknięta.

Konrad wrócił na Rakowiecką. W kieszeni miał klucz do zakonspirowanego mieszkania (nowy adres – Grzybowska pięćdziesiąt trzy mieszkania tysięcy sto dwanaście), czek in blanco na dwadzieścia pięć tysięcy funtów oraz sześć dyskietek z pełną informacją o ustaleniach polskiego kontrwywiadu na temat Silexu. Stąd był już tylko krok do SI-32.

Zebrał ze swojej kanciapki notatki, kilka rzeczy osobistych, trochę specwyposażenia i skierował się do wyjścia. Miał tu wrócić najwcześniej za tydzień.

Strażnik przy drzwiach wejściowych wypadł zza kontuaru w ostatniej chwili.

– Panie poruczniku, panie poruczniku! Ktoś do pana dzwonił.

Podniósł wzrok.

– Wie pan, kobieta, ale nie połączyłem. Jak nie zna bezpośredniego, to nie wiem czy łączyć. W zasadzie nawet mi nie wolno...

– Mówiła coś?

– Nic nie chciała powiedzieć. Zostawiła telefon. O, tu mam karteczkę. Jakiś dziwny kierunkowy „osiemnaście dwadzieścia sześć”...

Konrad wyjął mu z ręki notatkę i zamknął za sobą drzwi.

Po drugiej stronie przywitał go mroźny, zimny podmuch, zapowiadający ostrą zimą.

Musiał czekać, aż zawołają Joan do telefonu. Gdy w końcu usłyszał jej głos, wiedział, że wraca z daleka. Rozmawiali tylko chwilę. Ustalił adres i kazał jej czekać.

Zadzwoił do Kotleta. Nie mógł być nigdzie widziany, alfa romeo nie wchodziła w grę.

– Kotlet, mów co masz. Jakiegoś streetfightera?

– No, nie mam. Wszystko mi na maxa zabrali. A na kiedy?

– Muszę jeszcze dziś w nocy być na Podhalu.

– A co z alfą?

– Alfa „stoi po latarnią”.

– To może varadero?

– Co to za sprzęt? Nie znam.

– Honda, bardzo przyzwoita maszynka, trochę na teren, trochę przecinak, taki mix. Ale te dwieście dwadzieścia robi.

– To co, dałbyś?

– Co mam nie dać. Bierz.

– Kotlet...

– Mów.

– Potrzebuję jeszcze dodatkową małą skórę i drugi kask.

– Coś się znajdzie, jak przyjedziesz.

Pół godziny później w warsztacie Kotleta Konrad zakładał zielony skórzany kombinezon po mistrzu Polski, Adamie Badziaku. Do siodła przytroczył drugi kask i kombinezon dla Joan.

Honda szła jak należy. Ładnie składała się w łukach i lekko brata wiatr, który pchał w plecy aż pod samą Jasną Górę. Przemarzył do szpiku kości, lecz nie chciał zwlekać. Czas był teraz najważniejszy.

Tuż po drugiej skręcał w prawo, koło poczty w Waksmundzie, który tej nocy wcale nie spał. Słychać było muzykę i głosy ludzi. Zatrzymał motocykl, przekręcił silnik. Kilkadziesiąt kroków do drewnianej furtki pokonał na piechotę. Zobaczył ją od razu. Czekala na dole.

– Masz jakiś bagaż?

– Nie. To znaczy... mam. Popatrz, co mi tu dali.

Otworzyła zamkniętą dłoń. W mroku nie widział tego, co chciała pokazać. Wziął ją za rękę i wyprowadził do strugi światła, która sączyła się z latarni przed domem. Trzymała w ręku coś bardzo małego.

– Co to jest?

– Medalik. Mam jeszcze kawę z kardamonem.

– Jechałaś kiedyś motocyklem?

– Nie, to będzie pierwszy raz.

Trzymał na szybkościomierzu setkę – nie chciał jej przestraszyć. Musiała być słaba, wycieńczona. Jeszcze przed świtem byli z powrotem w Warszawie.

– Kamczatka, Flota Pacyfiku, Kapsztad..., nie wierzę ci w ani jedno słowo.

– Była jak dziecko,

naiwna i rozbawiona. Tylko dziecko mogło tak łatwo zapomnieć, co przeszła. Bawić się jego członkiem, jak kotkiem.

Potem spali dwadzieścia godzin. Wtuleni w siebie jak syjamskie koty. Po południu nagle zażądał od niej paszportu.

– Co chcesz zrobić z moim paszportem? – chciała zaprotestować, lecz ugryzła się w język.

– Dostaniesz lepszy, – zawyrokował.

- Po co mi lepszy?
- Bo musimy to wszystko wyprostować.
- I ty mi w tym pomożesz...? – chciała usłyszeć, co powie.
- Na razie pomogę ci we wszystkim, co chcesz.
- Zaczęła się śmiać.
- Na razie w s z y s t k o, co chcę?
- Tak.
- To jeszcze raz. – Wiedziała czego się po nim spodziewać...
- Wieczorem znowu był dla niej tym, za kogo się podawał, porucznikiem Chlebowskim. Zasadniczym i oschłym. Więc przeszła do ataku.
- Już zdecydowałam.
- Przemyśl to jeszcze raz. Agentem jest się na zawsze. Nie ma odwrotu.
- Wiem. To jest dla mnie do przyjęcia.
- Wysoką cenę chcesz zapłacić... Za co?
- Za pewność, że wiem co robię. Chcę być gotowa. Poza tym coś mi ukradli...
- Joan, on nie żyje...To już przeszłość.
- Nie w tym rzecz, Konrad. Chcę się dowiedzieć co jest dalej. Właściwie – co ze mną dalej. Nie sądzisz chyba, że umrę jako Cristine Vier, albo Joan Chalat. Tamto życie już mi zabrano. Muszę znaleźć jakieś nowe.
- Jeśli tak – pojutrze lądujesz w Kapsztadzie.
- Potem?
- Zainstalujesz się. Przez pierwszy rok co miesiąc będziesz dostawać pieniądze. Potem musisz sobie radzić sama.
- Jakie mam zadanie?
- * Dowiesz się w odpowiednim czasie. Kapsztad to początek nowej drogi...

Dokładnie dwadzieścia dwie minuty po dwunastej, dziesiątego października, w środę samolot, którym leciałam, podchodził do lądowania. Wyjrzałam przez okrągłe okno. W dole zobaczyłam jakieś miasto. Żeby się tam dostać, musiałam zapomnieć o Joan Chalat.

Wyjęłam z kieszeni paszport wystawiony na nowe nazwisko. Bez wahania weszłam do rękawa, który prowadził na drugą stronę świata. Zamierzałam poznać tajemnice tej ziemi i z pomocą Mater Dei wrócić pewnego dnia do siebie samej.

* * *

EPILOG

Cachorro siedział na werandzie swojej rezydencji obserwując, jak Chico z głośnym sapaniem wspina się na strome schody prowadzące do bram posiadłości „Tres rosas”. Kiedy w końcu Pedro Navarro vel Chico dotarł do werandy jak zwykle nie mógł złapać tchu i przez dłuższą chwilę siedział bez słowa ocierając z czoła tłuste krople potu.

Cachorro wylewnie podał go najlepszą szkocką whisky i zawyrokował:

– Spasteś się, jak świnia, Chico. Nie przychodź tu dopóki nie nabierzesz formy. Na co mi taki wieprz w oślej skórze.

Wybuchnął śmiechem i wychylił się z fotela, żeby poklepać go po ramieniu.

– Żartuję, przyjacielu. Mam dobry humor. Rozwaliłem tej suce łeb, więc świętuję.

Chico podniósł na niego wylężnione spojrzenie.

– Właśnie słyszałem. Najświętsza Panienko! Co się stało?!

– Nie uwierzyłybyś! Ta suka pracowała dla Ruskich! Przez cztery lata dymałem ją jak żabę, a trzeba było to truchło od razu rzucić na pożarcie aligatorom! Agentka wywiadu! Rozumiesz? Agentka w moim łóżku!

Chico dolał sobie whisky i jednym haustem wychylił całą szklankę, jakby dezynfekował bolesną ranę.

– Rozumie się. Musiałeś ją rozwalić. Ale...czy sądzisz... Czy ona dużo wiedziała?

W jednym momencie Cachorro zmienił wyraz twarzy. Uśmiech zniknął z jego oczu i ustąpił miejsca zaszepieniu.

– Mogę cię zapewnić, przyjacielu, że to, co wiedziała przypadło razem z nią... pod ziemią.

– A sekciarze?

– Sekciarze? – Cachorro wybuchnął głośnym śmiechem. Oni nie mają co-jones. Zapominamy o nich.

– Aha..... Więc co mam teraz robić?

– Teraz, Chico, przyjacielu, zrobimy taki taniec, że nie będzie agenta, który odważy się zbliżyć do nas choćby o krok. Afryka! Tam przenosimy laboratorium! To nasza nowa planeta!

– Afryka, Cachorro ? Ale dlaczego?

– Pustynia, dzikusy, słonie... nieograniczone możliwości. Porty, lotniska, wszystko co chcesz do twojej dyspozycji, przyjacielu.

– Straszne muchy...

Cachorro ryknął ze śmiechu.

– Musisz być dobrze przygotowany, amigo, żeby się która nie przykleiła do twojej tłustej dupy!

– Obyś nie powiedział tego w złą godzinę, senior.

– Jutro tam będziesz. Wieczorem masz samolot, przyjacielu. Najgorsze jeszcze przed tobą.